Naszym Czytelnikom i Sympatykom najlepsze życzenia Świąteczne i Noworoczne
składa zespół redakcji „Odgłosów"

odgłosu

21—28. XII. 1969 r.
51—52 (631—632)
Cena 3 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Fot. A. Wach

Dziś w numerze:

DRZEWKO ŚPIEWA NARODZINY

WARTOŚCI I NADZIEJE

WIERSZE O POLSCE

NAJCIEKAWSZA KSIĄŻKA ROKU

ŁODZIANIE 1969

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

INŻYNIEROWIE SMAKU

FRANCUSKIE A B C

NAJLEPSZE PRZEDSTAWIENIE ROKU

STRZAŁ SAMOBÓJCZY

JA NOSZĘ KALOSZE...

FANTAŚCI

LISTY Z PIĄTĄ KLEPKĄ I BEZ NIEJ

KONKURS

KRZYŻÓWKA LITERACKA

To miejsce tradycyjnym zwyczajem przeznaczamy w świąteczno - noworocznym numerze „Odgłosów" na złożenie naszym Czytelnikom życzeń, na chwilę zadumy. Bo kiedyż jeśli nie na końcu starego roku, w przededniu wkroczenia nowego, pozwolić sobie można na kilka refleksji. Ta jednostka czasu, dzieląca się na 12 miesięcy, 52 tygodnie, 365 dni... itd. jest przecież także jednostką naszego życia. Nie w dniu urodzin, o którym z wiekiem chętnie zapominamy, ale właśnie na końcu roku kalendarzowego mamy skłonności do popadania w zadumę. Już rok 1950, 1960, 1970, już minęło nam tyle a tyle lat życia. Dobrze je przeżyliśmy, pożytecznie, dały nam satysfakcję, czy przyniosły klęski? A ten rok, który się kończy, spełnił nasze małe życiowe plany, posunął naprzód plany duże, dalekosiężne?

Żyjemy w czasach bogatych w wydarzenia, może nawet nieco zbyt bogatych, żyjemy w świecie pełnym paradoksów, sprzeczności, konfliktów, ale przecież w świecie rozwijającym się, postępującym naprzód. Jesteśmy mimo wszystko dumni, że jesteśmy ludźmi na planecie Ziemia. Wierzymy, że zdołamy opanować kosmos, odkryć jego tajemnice, opanować i wykorzystać dla naszych celów.

W tym sensie rok 1969 był rokiem przełomowym. Człowiek po raz pierwszy w historii ludzkości dotknął stopą powierzchni innej planety. Rozpoczęła się era podróży międzyplanetarnych. Nie popadajmy jednak z tego powodu w zbytnią dumę. Ten sam człowiek, który odbył podróż międzyplanetarną i szczęśliwie powrócił do domu, nie potrafi sobie poradzić z kłopotami w tym domu, na starej, dobrze znanej Ziemi.

Ale przejdźmy do spraw nam najbliższych. Dla naszej redakcji rok 1969 był dobrym rokiem. Sukcesem uwieńczone zostały nasze starania o powiększenie objętości „Odgłosów",w tym roku zaczęliśmy ukazywać się na 12 stronicach, otrzymaliśmy również lepszy gatunkowo i ładniejszy papier. Największe jednak znaczenie ma dla nas fakt, że powiększył się znacznie nakład pisma, bo traktujemy to jako dowód sympatii i uznania ze strony Czytelników. Będziemy się starać, by nie utracić tego zaufania, by zasłużyć na jeszcze większe. Pragnęlibyśmy więc, by nasi Czytelnicy pisali do nas często, by dzielili się opiniami o naszych artykułach, także wówczas gdy nie są to opinie pozytywne, by pisali czego od nas oczekują, o czym chcą w naszym piśmie czytać.

Naszym Czytelnikom życzymy miłych, zdrowych, spokojnych Świąt, pomyślnego, szczęśliwego Nowego Roku. Jesteśmy przekonani, że ten nowy 1970 rok, będzie rokiem pomyślnym dla świata, dla naszego kraju i dla każdego z nas.

1969

Ważniejsze wydarzenia międzynarodowe

CZAS biegnie szybko. Przynosi on wiele wydarzeń. Jedne komplikują jeszcze bardziej złożoną sytuację międzynarodową, inne przynoszą odprężenie. Wsłuchani codziennie w wiadomości radiowe i telewizyjne, z gazetą w ręku — śledzimy ich bieg. Obserwujemy bacznie nie tylko to, co dzieje się wokół nas, czy też na naszym kontynencie, ale wszystko, dosłownie wszystko, co rozgrywa się na międzynarodowej arenie. Dostrzegliśmy już bowiem dawno, że świat się skurczył, że nie ma zjawisk izolowanych, że to, co dzieje się na odległym kontynencie dotyczy także nas. Częstokroć doświadczaliśmy tego. Poznaliśmy też prawdę naszej doby: codziennie, nieustannie ścierają się w świecie dwie tendencje: za pokojem i przeciwko niemu, za zapewnieniem narodom bezpiecznego życia i samodzielnym decydowaniem o dniu jutrzejszym i przeciwko temu prawu, za wykorzystywaniem pięknych osiągnięć ludzkiego umysłu w celach li tylko pokojowych i za wprzęganiem nauki przeciwko ludzkości...

Wciągnięci i świadomie zaangażowani w tę walkę wyłuskujemy wszystko to co przybliża lub oddala trwałą pokojową perspektywę.

Z końcem roku dobrze więc jest obejrzeć się za siebie, zastanowić się choć przez chwilę, JAKI TO BYŁ ROK. Temu służyć ma roczny przegląd wydarzeń międzynarodowych. Tradycyjna to już pozycja noworoczna w naszych czasopismach, ale przecież pożyteczna. Pomoże skonstatować, z jakimi pomyślnymi perspektywami i jakim bagażem nie rozwiązanych problemów wkraczamy w lata siedemdziesiąte.

STYCZEŃ

Nowy rok rozpoczyna się przypomnieniem najważniejszych problemów współczesnego świata. Pierwsze dni stycznia, jak soczewka zbierają bieżące konflikty:

— Przedstawiciel Demokratycznej Republiki Wietnamu stanowczo protestuje przeciwko trwającym prowokacjom USA, a zwłaszcza naruszaniu obszaru powietrznego kraju. W Wietnamie Południowym następuje dalsza intensyfikacja działań bojowych. Szwecja — ku wielkiemu utrapieniu Stanów Zjednoczonych — uznaje DRW. W Paryżu rozpoczynają się 4-stronne rozmowy w sprawie politycznego uregulowania konfliktu.

— Izrael dokonuje nalotu bombowego na lotnisko w Bejrucie. Rada Bezpieczeństwa jednomyślnie potępia tę militarną akcję. Sekretarz generalny NZ — U Thant opowiada się za podjęciem przez 4 wielkie mocarstwa rozmów na temat pokojowego rozwiązania bliskowschodniego konfliktu. Rząd radziecki akceptuje tę propozycję.

— ZSRR wyraża gotowość podjęcia poważnej wymiany poglądów w sprawie wzajemnego ograniczenia ilości strategicznych środków przenoszenia broni nuklearnej i ograniczenia budowy przeciwrakietowych systemów obronnych. Trzeba będzie jednak jeszcze 10 miesięcy, aby rokowania takie się rozpoczęły.

◆ **Schodzący z politycznej sceny prez. Johnson wygłasza swe ostatnie orędzie „O stanie państwa". Podnosi zasługi partii demokratycznej, ostrzega administrację Nixona, aby nie odstępowała od jego linii politycznej. Richard Nixon zostaje zaprzysiężony jako 37 prezydent Stanów Zjednoczonych. Obserwatorzy zastanawiają się: jakimi kartami zagra Nixon swą prezydenturę?**

— Nowy minister spraw zagranicznych Czechosłowacji — J. Marko oświadcza: „najważniejszym naszym zadaniem jest znormalizowanie stosunków z sąsiadami". Tymczasem w kraju dochodzi do nowych ekstremistycznych wystąpień. Mają miejsce akty samopalenia.

◆ **Na orbicie okołoziemskiej statki kosmiczne: „Sojuz-4" i „Sojuz-5". Po raz pierwszy w dziejach kosmonauci przesiadają się ze statku na statek.**

LUTY

— Rząd NRD kieruje noty do trzech zachodnich mocarstw, aby zapobiec bezprawnemu odbyciu posiedzenia Bundestagu w Berlinie zachodnim. Wbrew protestom parlament zbiera się jednak na terenie Berlina. Wybiera on nowego prezydenta NRF. Zostaje nim socjaldemokrata Gustaw Heinemann.

W Niemczech zachodnich tymczasem konstytuuje się nowa organizacja neohitlerowska — Ogólna Socjalrewolucyjna Wspólnota Walki. Klimat NRF służy, jak widać, neofaszystom.

◆ **Prezydent Naser wysuwa pokojowe propozycje w sprawie kryzysu bliskowschodniego. Ale Izrael nie jest zainteresowany pokojowym rozstrzygnięciem. Rzecznik izraelskiego MSZ oświadcza szczerze, że jego kraj „nie ma powodu do entuzjazmu z powodu akceptowania przez Nixona propozycji rozmów wielkiej czwórki". Min. Eban z góry zapowiada odrzucenie przez Izrael wszelkiego porozumienia, które przygotowane zostanie bez jego zgody.**

— W Bolonii odbywa się XII Zjazd Włoskiej Partii Komunistycznej. Sekretarzem generalnym zostaje ponownie Luigi Longo. Sytuacja społeczno-polityczna we Włoszech komplikuje się coraz bardziej. Dochodzi do strajku powszechnego.

— Na granicy radziecko-chińskiej nowe prowokacje. Rząd ZSRR ostro protestuje przeciwko militarnym poczynaniom Pekinu.

MARZEC

— Najwyższa delegacja partyjno-rządowa PRL prowadzi rozmowy w Moskwie. Główny temat — stosunki bilateralne, ale dokonuje się również wymiany poglądów na aktualne tematy międzynarodowe.

Do Moskwy przybywa również premier CSRS — Czernik. W czasie rozmów ustalono kierunki koordynacji planów na lata 1971—75 oraz potwierdzono wierność Układowi Warszawskiemu.

◆ **W Budapeszcie zbiera się na kolejne posiedzenie Doradczy Komitet Polityczny Państw — Stron Układu Warszawskiego. Uczestnicy narady konkretyzują swoją propozycję zwołania konferencji na temat europejskiego bezpieczeństwa. Znajduje to wyraz w apelu do wszystkich krajów Europy. Na posiedzeniu zapadają także decyzje o udoskonaleniu struktury i kierowania Układem Warszawskim.**

— W Genewie wznawia obrady Komitet Rozbrojeniowy 18 krajów. U Thant w swym orędziu podkreśla — wydatki na zbrojenia znów wzrosły. Rocznie do ponad 180 mld dolarów.

— Nixon kończy swą pierwszą prezydencką podróż po zachodniej Europie. Witają go antyamerykańskie demonstracje.

KWIECIEŃ

— Sytuacja wewnętrzna w Czechosłowacji nadal trudna. Prawica nie składa broni. W Pradze zbiera się na plenarne posiedzenie Komitet Centralny KPCz. Na stanowisko I sekretarza wybiera on Gustawa Husaka. Czechosłowacja zaczyna wchodzić na drogę stabilizacji.

— W Pekinie ogłoszono komunikat o zjeździe KP Chin. Oficjalnie już podano do wiadomości, że Lin Piao jest następcą Mao Tse-tunga.

— XXIII sesja RWPG obraduje w Moskwie z udziałem przywódców partii i rządów 8 socjalistycznych krajów. Zapadają ważkie decyzje o połączeniu wysiłków na polu gospodarczym. Sesja określa, co można dla integracji zrobić już dziś, a co w perspektywie.

◆ **De Gaulle przegrywa referendum w sprawie zmiany podziału administracyjnego kraju i zmiany uprawnień senatu. Jako że wcześniej postawił na szali cały swój autorytet — zrzeka się funkcji prezydenta. A więc koniec gaullizmu, czy też gaullizm bez de Gaulle'a?**

—W Paryżu i Nowym Jorku toczą się równolegle: czterostronna konferencja w sprawie Wietnamu i konsultacje czterech mocarstw w sprawie konfliktu bliskowschodniego. I tu i tam bez wyraźnego postępu.

— Doktryna Hallsteina załamuje się. Republika Iracka i inne kraje arabskie uznają Niemiecką Republikę Demokratyczną.

MAJ

— Apel budapeszteński znajduje żywy i życzliwy oddźwięk. Rzecznik fińskiego MSZ oświadcza, że jego kraj gotów jest wystąpić w roli organizatora i gospodarza europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy.

— W rejonie Bliskiego Wschodu nie ustają prowokacje izraelskie. Jednocześnie prasa zachodnia informuje, że Izrael wyprodukował bombę atomową. Prawda, że współpraca naukowo-techniczna Tel Awiwu z Bonn rozwija się coraz bardziej. Czy jednak Izrael dysponuje już tą groźną bronią? Prasa kairska zaprzecza — „to wymysł propagandy syjonistycznej".

— „Niemcy nie kończą się na Odrze" — oświadcza na spotkaniu Ziomkostwa Prus Wschodnich w Essen boński minister d/s przesiedleńców — H. Windelen. Jak widać, rząd Kiesingera wciąż patronuje rewizjonistom i rewanżystom.

◆ **Trwają ostatnie przygotowania do Światowej Narady Partii Komunistycznych i Robotniczych. Po tygodniu intensywnych prac kończy obrady Komisja Przygotowawcza w Moskwie. Osiągnięto porozumienie w sprawie przekazania na naradę podstawowych dokumentów.**

— Pierwsza tura wyborów prezydenckich we Francji nie przynosi rozstrzygnięć. Pompidou ma jednak najwięcej szans.

◆ **Na spotkaniu z wyborcami Władysław Gomułka proponuje rządowi NRF zawarcie układu — na wzór zgorzeleckiego — o ostatecznym charakterze granicy na Odrze i Nysie. Przemówienie I sekretarza KC odbija się szerokim echem w Europie.**

CZERWIEC

— W Wielkim Pałacu Kremlowskim odbywa się Światowa Narada Partii Komunistycznych i Robotniczych. Bierze w niej udział 75 delegacji z całego świata. Temat: zadania walki z imperializmem na obecnym etapie oraz jedność działania partii komunistycznych i robotniczych oraz wszystkich sił antyimperialistycznych. Narada jest wydarzeniem najwyższej rangi, pilnie obserwowanym na całym świecie. Kończy się przyjęciem kilku niezmiernie ważnych dokumentów. Wbrew antyjednościowemu działaniu KPCh — wielki sukces. Taki może być najkrótszy komentarz do tego długo oczekiwanego i przygotowywanego spotkania najwyższych delegacji 75 partii.

— Znów groźny incydent na granicy radziecko-chińskiej. Związek Radziecki protestuje i jednocześnie ponawia propozycję wznowienia konsultacji przedstawicieli ZSRR i ChRL.

◆ **Układ o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej z lipca ub. roku wciąż nie może doczekać się podpisania przez NRF. Aby nie było złudzeń kanclerz Kiesinger oświadcza, że przed upływem jego kadencji sprawa nie będzie rozpatrywana.**

— Georges Pompidou zostaje prezydentem Francji. Misję utworzenia nowego rządu powierza J. Chaban-Delmasowi. Formułuje on dwie zasady swej polityki: kontynuacja gaullizmu i otwarcie w kierunku nowych sojuszników.

◆ **W Wietnamie Południowym powstaje Tymczasowy Rząd Rewolucyjny. Jako pierwsza uznaje go Algieria. Wojna toczy się nadal. Amerykański rzecznik wojskowy przyznaje, że lotnictwo USA dokonało w ciągu jednego miesiąca 260 rajdów bombowych w Wietnamie Płd. i zrzuciło 20 tys. ton ładunków wybuchowych.**

— Komisja senatu USA wypowiada się za przeznaczeniem prawie 800 mln dolarów na rozpoczęcie budowy systemu obrony przeciwrakietowej, którego całkowity koszt ma wynieść 20 mld dolarów. Przeciwnicy tego projektu słusznie przestrzegają, że może to być początek nowej rundy zbrojeń.

LIPIEC

— Konsekwentne działanie nowego kierownictwa KPCz przynosi korzystne zmiany w Czechosłowacji. Gustaw Husak na spotkaniu z dziennikarzami oświadcza: „generalnie rzecz biorąc — walka w Czechosłowacji zakończyła się zwycięstwem lewicy".

◆ **Kryzys rządowy we Włoszech. Po rozłamie we Włoskiej Partii Socjalistycznej i rezygnacji kilku ministrów — gabinet Rumora podaje się do dymisji. Pietro Nenni, po prawie 60-letniej działalności, wycofuje się z życia politycznego. Rumor utworzy potem nowy rząd, ale „wakacyjny".**

— Komandosi palestyńscy rozwijają żywą działalność. Wysadzają m. in. izraelski rurociąg naftowy. Rada Bezpieczeństwa raz jeszcze zajmuje się sytuacją bliskowschodnią. Stwierdza, że wszelkie kroki Izraela, zmierzające do zmiany statusu arabskiej części Jerozolimy, mają charakter nielegalny. Odpowiedź Izraela: nie będziemy respektować tej rezolucji.

◆ **Srebrny jubileusz Polski Ludowej ma szczególnie uroczysty przebieg. W okolicznościowym posiedzeniu Sejmu oraz defiladzie wojskowej i paradzie młodzieży biorą udział najwyżsi przedstawiciele zaprzyjaźnionych, sąsiednich krajów.**

◆ **Człowiek po raz pierwszy na Księżycu! Amerykańska próba lotu na Srebrny Glob kończy się powodzeniem. Kosmonauci Armstrong i Aldrin zabierają na Ziemię próbki księżycowej powierzchni.**

SIERPIEŃ

— Nixon kończy drugą podróż. Tym razem trasa wiedzie przez: Filipiny, Indonezję, Syjam, Indie, Pakistan i Rumunię. Nieoczekiwanie odwiedza i Wietnam Południowy. Wizyta nie służy jednak sprawie pokoju.

— Do Stanów Zjednoczonych jedzie Kiesinger. Zbliża się termin wyborów i kanclerz chce wzmocnić swą pozycję. Jak zwykle, wywiera wpływ na usztywnienie stanowiska USA w sprawach rozbrojenia.

◆ **W Irlandii Północnej toczą się walki. Republika Irlandzka żąda zwołania nadzwyczajnej sesji Rady Bezpieczeństwa w celu możliwości wysłania do Ulsteru wojsk ONZ.**

— W arabskiej części Jerozolimy podpalony zostaje meczet Al-Aksa. Pożar wywołuje wielkie poruszenie świata arabskiego. W kilka dni później sprawę rozpatruje Rada Bezpieczeństwa.

WRZESIEŃ

◆ **W wieku lat 79 umiera Ho Chi Minh. Pozostawia on testament, nawołujący do walki aż do zwycięstwa. W drodze powrotnej z pogrzebu premier Kosygin spotyka się z Czou En-lajem. Rozmowa jest pożyteczna i umożliwia następnie podjęcie wymiany poglądów na szczeblu wiceministrów.**

— W Nowym Jorku nastąpiło otwarcie XXIV sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. Jednym z pierwszych mówców na sesji plenarnej jest min. Gromyko. Przedkłada propozycję apelu ONZ do wszystkich państw świata w sprawie umocnienia międzynarodowego pokoju. Z dużym zainteresowaniem przyjęte jest również wystąpienie min. Jędrychowskiego, w znacznej części poświęcone europejskiemu bezpieczeństwu.

— Plenum KC KPCz dokonuje licznych zmian w kierownictwie partyjnym i rządowym.

— W Libii — zamach stanu. Po obaleniu króla ukonstytuował się pierwszy rząd Libijskiej Republiki Arabskiej. Na jego czele stanął Maghreby.

— W Rabacie obraduje konferencja krajów muzułmańskich. Powodem zjazdu do stolicy Maroka 26 delegacji państwowych — jest pożar meczetu. Ale konferencja przyjmuje postanowienia, wykraczające poza pierwotnie ustalony porządek dzienny.

PAŹDZIERNIK

— Z okazji 20-lecia NRD w Berlinie spotykają się najwyżsi przedstawiciele krajów socjalistycznych. Delegacji polskiej przewodniczą: Władysław Gomułka i Józef Cyrankiewicz.

◆ **W wyniku wrześniowych wyborów do Bundestagu w NRF powstaje koalicja SPD-FDP. Po raz pierwszy w powojennym okresie CDU/CSU przechodzi do opozycji. Kanclerzem zostaje W. Brandt, wicekanclerzem i min. Spraw Zagranicznych — Scheel. Powstaje nowa sytuacja. Czy jej następstwem będzie nowa aktywna polityka wschodnia Bonn?**

— W kosmos wylatują kolejno: „Sojuz" 6, 7 i 8. Kosmonauci radzieccy dokonują ważnego eksperymentu — po raz pierwszy w przestrzeni kosmicznej spawają metal. Jest to przygotowanie do tworzenia „kosmicznych wysp".

— Rząd Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej ogłasza memorandum w związku z propozycją krajów socjalistycznych i niektórych krajów Azji omówienia przez ONZ sprawy wycofania z południa Korei amerykańskich wojsk.

◆ **Kończy się debata generalna na sesji ONZ. Zabierali w niej głos przedstawiciele 115 krajów. Najbardziej eksponowanym tematem w przemówieniach były zagadnienia zbrojeń i bezpieczeństwa narodów.**

LISTOPAD

— W Helsinkach rozpoczynają się rozmowy radziecko-amerykańskie na temat ograniczenia broni strategicznej. Świat łączy z tym nadzieje na pohamowanie wyścigu zbrojeń.

◆ **W Pradze spotykają się ministrowie spraw zagranicznych 7 krajów socjalistycznych. Proponują tematykę i termin europejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy. Przygotowania do konferencji wkraczają zatem w nową fazę.**

— Prez. Nixon wygłasza radiowo-telewizyjne przemówienie na temat Wietnamu. Nie obiera drogi wycofania wojsk USA z Wietnamu, ale znów kluczy i uzależnia pokojowe rozstrzygnięcie od różnorodnych czynników. Przede wszystkim jednak dąży do „wietnamizacji" wojny.

— Kanclerz Brandt zapowiada szybkie przedłożenie Polsce propozycji rozpoczęcia rozmów politycznych. Ma to być odpowiedź nowego rządu NRF na propozycję Władysława Gomułki z maja br.

GRUDZIEŃ

Kiedy oddajemy przegląd wydarzeń do druku — ostatni miesiąc 1969 roku zaledwie się rozpoczął. Czy przyniesie ważne międzynarodowe wydarzenia? Wydaje się, że nie może już zmienić ogólnej tendencji tego roku — tendencji do POSZUKIWANIA DRÓG POKOJOWEGO ROZWIĄZANIA wielu problemów. Mimo zatem złożoności zjawisk można o mijającym roku mówić jako o roku, który nie wzmógł, lecz osłabił napięcie międzynarodowe.

W. SŁAWSKI

BOGDA MADEJ

Inżynierowie smaku

Przepis kresowy na czerwony barszczyk wygląda tak:

„Dwa lub trzy średnie buraki i dużo włoszczyzny bez kapusty, zalać wodą i gotować smak. Gdy smak się trochę podgotuje, dorzucić wędzonej kiełbasy albo skórkę z boczku i nieduży kawałek suszonego grzybka. Gotować tak długo, aż włoszczyzna będzie miękka. Potem odcedzić i zalać przygotowanym na kilka dni naprzód kwasem burakowym. Jeszcze raz gotować, dodać obraną cebulę i postawić w cieple na 2—3 godziny, już nie gotując. Osolić i pocukrzyć do smaku. Na koniec dodać łyżeczkę od herbaty miodu".

Przepis na czerwony barszcz z błyszczącej torebki wygląda nieco inaczej:

„Zawartość torebki wsypać do małej ilości zimnej wody, następnie wlać do 3/4 litra wrzącej wody. Gotować na małym ogniu 10 minut. Odcedzić, dodać tłuszczu. — Składniki: buraczki, mięso, jarzyny, przyprawy, glutaminian sodu".

Porównanie obu przepisów, poza dość istotną różnicą w czasie potrzebnym do przygotowania tej samej(?) zupy, przynosi różnicę w składnikach. Ot, chociażby ów glutaminian sodu. Nazwa, przyznać trzeba, jak na kulinarny przepis mało zachęcająca, a w każdym razie budząca nieufność smakosza. Bo co to w ogóle jest?

A jest to „duch smaku" — jak ów składnik nazywają w Japonii i innych krajach Dalekiego Wschodu. Inaczej sól sodowa kwasu glutaminowego. I jeśli np. owym „duchem smaku" lekko posypać opiekanego brojlera, kurczak zyskuje na smaku.

Jedna ze spółdzielni piekarniczych na Wybrzeżu podjęła się upieczenia chleba dla potrzeb kuchni okrętowych, żołnierskich, a nawet i domowych. Chleb ten miał zachowywać nieustającą świeżość bodaj przez pół roku. Rzecz wydaje się niezwykła, a to przecież takie proste. Trzeba tylko do ciasta dodać preparaty enzymatyczne, które zapobiegają czerstwieniu.

A teraz mała zagadka. Co to jest? — Najwięcej pod względem ilości ma skrobi, potem surowego białka, popiołu, włóknika, rozpuszczalnych cukrów i tłuszczu. Bardziej szczegółowa analiza pozwala stwierdzić, że poza skrobią w produkcie tym znajdziemy takie cukry wolne jak: glukoza, fruktoza i sacharoza. Jeszcze bardziej skomplikowanie przedstawia się skład chemiczny jego związków azotowych, gdzie połowę ich stanowi azot związany w formę białek, a znaczna jego część występuje w produktach ich rozpadu w postaci azotanów, azotynów i związków amonowych.

Długo można jeszcze wyliczać skład tego bardzo skomplikowanego chemicznie produktu i zdaje się, że tylko chemicy zorientowali się, że mowa jest o zwyczajnym ziemniaku. Ma on być ostatecznym dowodem na to, że czy się nam podoba czy nie, to wszystko, co nazywamy produktami spożywczymi, co jemy i pijemy podczas śniadań, obiadów i kolacji — to jest chemia. A do tego, żeby odpowiedzieć na nasze mniej lub bardziej skomplikowane chemiczno-żywnościowe wątpliwości potrzebny jest inżynier chemik i to taki, który ukończył studia na Wydziale Chemii Spożywczej.

* * *

Jest taki Wydział na Politechnice Łódzkiej. Jedyny zresztą w Polsce. I choćby dla tej przyczyny warto bliżej zapoznać się z jego pracą i osiągnięciami. Powstał w 1950 roku i kształci magistrów inżynierów chemii dla różnych dziedzin przemysłu spożywczego. Swoim studentom oferuje 7 interesujących specjalizacji. Ot, np. technologia ziół i aromatów, której zadaniem jest poszukiwanie nowych związków chemicznych o cennych dla przemysłu spożywczego i perfumeryjnego właściwościach zapachowych. Albo Zakład Technologii Spirytusu i Drożdży, w którym wbrew oczekiwaniom nie pachnie spirytusem.

— Bo ulatnianie się spirytusu świadczyłoby tylko o złej technologii — poinformowali mnie naukowcy.

Oprócz tego można specjalizować się na Wydziale Chemii Spożywczej w cukrownictwie, technologii krochmalu i syropu, technologii fermentacji, inżynierii chemicznej mikrobiologii przemysłowej i technologii odżywek i koncentratów spożywczych. Ta ostatnia zajmuje się badaniami szczególnie interesującymi dla naszych żołądków, między innymi nowoczesną metodyką badania żywności chemią i technologią witamin i otrzymywaniem preparatów uszlachetniających żywność.

Mimo że Wydział Chemii Spożywczej jest w Polsce jedyny, to jego egzystencja odbiega od warunków, w jakich zwykło wychowywać się jedynaków. Powstał w chwili, kiedy inne wydziały Politechniki Łódzkiej już okrzepły i ten moment zdecydował o jego miejscu na uczelni. Chemia Spożywcza jest wydziałem samodzielnym, ale ilość miejsc na pierwszym roku jest limitowana przez Wydział Chemiczny. Przyjmuje się więc 125 studentów, chociaż wiadomo, że przemysł spożywczy potrzebuje dwa, a nawet trzy razy więcej specjalistów. Pewną poprawę przyniesie wprowadzenie studiów wieczorowych dla pracujących i studiów zaocznych. Ale nastąpi to jeszcze nieprędko — na studia trzeba poczekać dwa lata, na pierwszych absolwentów siedem.

Sporo obiecują sobie naukowcy po projektowanej zmianie struktury Wydziału. Najbardziej istotnym momentem będzie powołanie Instytutu Podstaw Chemii Żywności, który obejmie zakresem działania katedry podstawowe. Na jeszcze dalszą przyszłość planuje się powrót do dwustopniowego systemu kształcenia — inżynierów i magistrów.

Na razie dziekanat Wydziału ma jednak zmartwienie bardzo prozaiczne — uda się powiększyć życiową przestrzeń czy nie? Dalszy bowiem rozwój jest ściśle uzależniony od wybudowania nowych pawilonów — jak do tej pory na ich miejscu stoją jeszcze domy mieszkalne.

* * *

Nazwa wywołuje nieporozumienia. Wielu osobom chemia spożywcza kojarzy się bardziej z żywieniem niż z technologią chemiczną. A już szczególnie dziewczętom, które masowo zgłaszają się na Wydział oczekując studiów, a potem pracy lekkiej, przyjemnej, może nawet mającej coś wspólnego z gotowaniem. Nic bardziej błędnego. Bo są to studia ściśle techniczne, związane z technologią i produkcją. Po ich ukończeniu najczęściej idzie się pracować do przemysłu, który chętniej widzi mężczyzn, bardziej przydatnych w trudnych warunkach pracy.

Dalsze problemy wynikające z nieporozumień związanych z nazwą dotyczą miejsca pracy. Przemysł spożywczy ma zakłady rozrzucone po całej Polsce, ba, zdolni inżynierowie znajdują zatrudnienie przy budowie, montażu i uruchamianiu cukrowni, drożdżowni, browarów eksportowanych przez Polskę do ZSRR, Chin, Wietnamu, Cejlonu, Grecji, Iranu, Iraku, Maroka lub Ameryki Południowej. A tymczasem łodzianki — absolwentki Wydziału Chemii Spożywczej nie bardzo mają ochotę opuszczać Łódź. Nie przeszkadza im brak możliwości zatrudnienia zgodnie z ukończoną specjalizacją, idą pracować gdziekolwiek. W tej sytuacji trudno się dziwić, że podczas egzaminów wstępnych, jeśli taką samą ilość punktów ma dziewczyna i chłopak, wybiera się chłopaka.

Nieporozumień wokół chemii spożywczej jest znacznie więcej i to nie tylko wśród kandydatów na te studia. Coraz częściej pojawiają się w prasie notatki o sztucznej jaeznicy, sztucznym befsztyku lub paście, która ma zastąpić tradycyjny obiad. Czy tak ma wyglądać nasza kulinarna przyszłość?

— Nic podobnego — odpowiada ją naukowcy. — Co prawda nie stać nas w dzisiejszych zagonionych czasach na gotowanie obiadu przez pół dnia i dlatego produkuje się zupy błyskawiczne i zamyka w słoikach gotowe dania. Ale to nie znaczy, że będziemy łykać tradycyjnego schaboszczaka w postaci małej pigułki. Nigdy bowiem nie zdoła się zastąpić świeżego produktu jego koncentratem, bo podczas przerabiania środek spożywczy zawsze ulega zmianom. Tym, które już znamy, i tym, o których jeszcze nie wiemy. I dlatego naszym zdaniem, zdaniem chemików — najlepszym rozwiązaniem byłaby dla gospodyń pomoc w postaci gotowych półproduktów — porcji mięsa, obranych ziemniaków i jarzyn, które stale znajdowałyby się w sprzedaży.

W tym miejscu chyba sporo miałby do powiedzenia łódzki handel, ale i równie dużo, o tym handlu, łódzki klient. Ja chciałam tylko dodać od siebie, że w Związku Radzieckim bez trudu można kupić np. gotowe pierożki, które wystarczy wrzucić na wrzącą wodę.

* * *

Można powiedzieć, że dopiero IV Plenum KC PZPR nadało pracom Wydziału Chemii Spożywczej właściwą rangę. W założeniach programowych tego Wydziału nad pracami czysto teoretycznymi zaczęły górować badania mające praktyczne zastosowanie w przemyśle, co często nie znajdowało uznania w kołach naukowych. Uchwała IV Plenum KC PZPR w następującym sformułowaniu: „do najpilniejszych zadań należy zaliczyć postęp w unowocześnianiu wyrobów, ulepszaniu metod technologicznych oraz systematyczne doskonalenie organizacji produkcji" — potwierdza słuszność dotychczasowych prac Wydziału Chemii Spożywczej. Tym bardziej że przyniosły już one gospodarce narodowej wiele korzyści.

Z przedstawieniem ich będzie jednak nieco kłopotu. Bo np. Katedra i Zakład Mikrobiologii Technicznej opracowała sposób wykorzystania mutagenezy dla aktywowania szczepów produkujących kwas itakonowy i itawinowy. Ponieważ podobnych ogromnie tajemniczych dla laika sformułowań jest więcej, trzeba się ograniczyć do zaprezentowania prac, które zrozumie każdy. Ta sama Katedra opracowała metody ochrony produktów gotowych przed rozkładem mikrobiologicznym. Dzięki badaniom Zakładu Technologii Krochmalu i Syropu można zapomocą — znów chemiczna magia — jonitów w stanie fluidalnym wykorzystać białko z soku ziemniaczanego. Białko to przez długi czas spływało z wodami ściekowymi, teraz będzie służyć jako składnik w produkcji pasz. Zakład Technologii Spirytusu i Drożdży pracuje na przykład nad otrzymaniem polskiego calvadosu i technologią suszenia drożdży piekarniczych dla potrzeb kraju i dla zakładów budowanych przez Polskę za granicą.

Drożdże, niby żaden wielki problem, wiadomo, że dodaje się je, że by ciasto wyrosło. Ale chemik powie więcej — nie tylko mają spulchniać to ciasto, mają również służyć jako źródło białka i witamin. I zaraz doda jeszcze o drożdżach petrochemicznych, otrzymywanych z ropy naftowej. (jeszcze jeden przykład powiązania chemii z potrzebami żywieniowymi).

Chemik bez trudu rozwikła tajemnicę złej jakości łódzkiego pieczywa, w którym po prostu jest zbyt mało drożdży. Tylko, że o tym mówi naukowiec. Natomiast mistrz piekarniczy z radością oznajmia, że w tym miesiącu zaoszczędził znaczną ilość drożdży. Twierdzenie, że w każdej piekarni — wobec tego — powinien pracować inżynier z dyplomem Wydziału Chemii Spożywczej jest oczywiście przesadą. Ale też pora sobie uprzytomnić, że na świecie już dość dawno kucharz został pozbawiony wyłączności decydowania o tym, co się je, a przemysł chemiczny coraz bardziej interesuje się produkcją środków spożywczych, wychodząc ze słusznego stanowiska, że najpierw trzeba poznać to, co ma się ochotę zjeść. U nas ciągle jeszcze spora część społeczeństwa z pewną podejrzliwością traktuje specjalistów od chemii spożywczej, przypisując im niesłusznie chęć sproszkowania i pozamykania do tubek środków spożywczych. A przecież głównie chodzi im o to, żeby w każdej potrawie obok niezbędnych składników był obecny „duch smaku".

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Niech się w dobre zdrowie obróci!

Odchodzi rok, przychodzi rok. Chciałoby się w takim momencie życzyć wszystkim, aby im się ten przyszły w dobre zdrowie obrócił. Warto przy okazji tak zacniej palnąć łykantego — jak mawiali nasi ojcowie, do Bachusa odrobinę pomodlić się, ciało od środka przede stylować, byle tylko na niebiesko się nie naciapciać. Polak chętnie na korek wdepnie, lecz tu o to chodzi, byśmy rok stary i czas świąteczny godnie obeszli, podrzepielić można, czemu nie, ale nie zachlapać mazaka na amen, bośmy nie deliryki, gluglarze, haustołyki, łapitrunki, ochlapusy, pompy, spirytualiści, lecz przyzwoite dobropije. Póki człowiek w noc zimową może napełnić kieliszek, uprzednio wygasiwszy światła, napełnić i ani kropli nie uronić — nie jest z nim źle. Dbajmy o taki właśnie stan. To zresztą nietrudne, trzeba tylko wypatrzyć gwiazdkę na niebie, a następnie tak nakierować oko, by ta gwiazdka przystanęła na brzegu kieliszka. Nalewamy spokojnie, kiedy gwiazdka znika, znaczy — kieliszeczek już pełny.

Na pożegnanie z rokiem starym radziłbym osobiście wypić szklaneczkę Aqua Magnamitatis, co się tłumaczy jako woda odwagi. Sposób przyrządzania prosty i całkowicie zgodny z aktualnym stanem zaopatrzenia. Wystarczy garniec spirytusu anyżowego, trzy garstki listków melisowych, do tego skórki cytrynowe, cynamonu dobrego ze trzy łuty, gwoździków starczy łut, korzenia cytwarowego łutów cztery, natomiast mastyxu, storaxu i gummi benzoli trzeba łutów trzy. Wszystko zgrabnie wymięszawszy i odciągnąwszy — trzymamy w alembiku dni osiem, dosypując nieco piżma. Już pierwszy kieliszek dodaje odwagi i śmiałości w wypowiadaniu sądów.

Warto ten kielich spełnić, bośmy zbyt wiele odwagi w tym roku odchodzącym nie wykazali. Pewien wyjątek stanowi tylko Sergiusz Kłaczkow, który jako redaktor naszego „Głosu Robotniczego" oświadczył redaktorowi „Polityki", że łódzkie środowisko literackie „określiło się wyraźnie politycznie, ale niestety, nie idzie za tym poziom twórczości". Jest to odwaga przypominająca sławne tłumaczenie pewnego kierownika sklepu, który powiedział narzekającym klientom — mówicie, że u mnie nic nie ma, zajrzyjcie do sąsiada, tam jeszcze gorzej. Jest to także odwaga polegająca na dość gruntownej nieznajomości rzeczy. Środowisko, które zajmuje właściwą postawę polityczną nie musi obniżać lotów, to nie jest prawidłowość, która powinna zachodzić. I nie zachodzi. Ostatnie dwa lata przyniosły pisarzom łódzkim, jeśli to jest miara równa słowom Sergiusza Kłaczkowa, trzy nagrody Ministra Kultury, dwie Ministra Obrony Narodowej, dwie nagrody miasta Łodzi, cztery wyróżnienia Ziemi Kieleckiej, dwa Olsztyńskiej, a wszystkie za twórczość, jak sądzę, nie najniższych lotów. Pierwsze książki naszych pisarzy przekładane są właśnie na język filmu fabularnego.

Wypijmy więc kielich Aqua Magnamitatis za lepiej pojętą odwagę, życzliwszą, głębszą, opartą na jakiej takiej przynajmniej znajomości środowiska, o którym wyrokuje się dla tak poważnego pisma jak „Polityka". Lecz nasz redaktor, w gruncie rzeczy niewielki ma wpływ na pisarzy i niech go to usprawiedliwia, wypijmy więc kielich drugi za środowisko, na które może i powinien wpływać. Za przerwanie milczenia wokół istotnych wydarzeń kulturalnych na łamach prasy codziennej! Nie godzi się, rzecz prosta, w dniach świątecznych, kiedy wybija hora canonica, czynić rejestru pełnego cudzych grzechów, więc może tylko o kilku grzechach głównych. W piśmie naszego przyjaciela tekstu literackiego jak rok długi i szeroki nie uświadczysz. Odwaga rzadka w skali kraju, boć — jak wiadomo wszystkim, którzy umieją czytać — tego typu organy od czasu do czasu pisarzy potrzebują, a nie tylko sądzą. Potrzebują nawet wtedy, gdy obok

Dalszy ciąg na str. 17

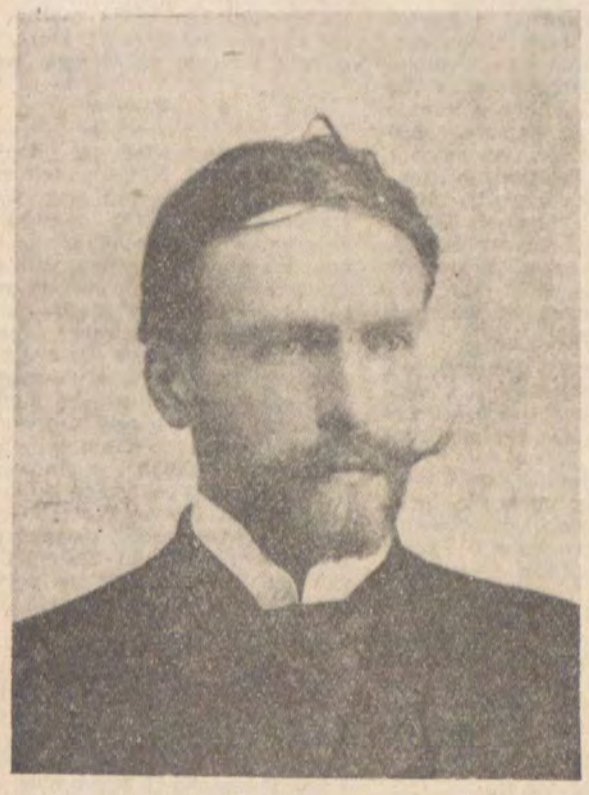

WYSPIAŃSKI ZE WSPOMNIEŃ

W związku z Rokiem Wyspiańskiego przez całą prasę polską przeszła fala materiałów rocznicowych, które raz jeszcze przypomniały jednego z największych artystów, jakich wydała kultura polska. O Wyspiańskim „rocznicowo" pisały także „Odgłosy", a obecnie wracamy do tej tematyki kładąc tym razem akcent na osobowość artysty. Wiedza o poecie pomaga przecież w zrozumieniu dzieł, które on stworzył, czyni nam postać twórcy bliższą, pozwala nawiązać z nim jakiś bezpośredni, intymny kontakt.

Na przygotowanej przez nas kolumnie znajdują się wspomnienia o Wyspiańskim pisane po jego śmierci przez bliskich znajomych i przyjaciół. Wybraliśmy je spośród wielu relacji, jakie na przestrzeni kilkudziesięciu lat ogłaszane były w różnych czasopismach, głównie jednak w „Tygodniku Ilustrowanym", „Sztukach pięknych", „Świecie" i „Czasie". Są to materiały rozproszone i ze względu na upływ czasu dziś właściwie nieznane, chociaż od dawna zasługują na przypomnienie.

Publikujemy tu tylko fragmenty bardzo obszernych, niekiedy, wspomnień starając się tak je zestawić, aby ukazały Wyspiańskiego możliwie wszechstronnie. Poza wyborem fragmentów nasza ingerencja w tekst ograniczyła się do unowocześnienia pisowni niektórych wyrazów, a także do unowocześnienia interpunkcji zgodnie ze stosowanymi dzisiaj zasadami.

K. F.

STANISŁAW ESTREICHER

W Wyspiańskim, nawet jako w małym dziecku, uderzało poczucie i zamiłowanie piękna oraz potrzeba, aby temu poczuciu dać plastyczny zewnętrzny wyraz. W organizowaniu zabaw i gier dla rówieśników szukał nie ujścia dla ruchu i energii dziecinnej, jak zwykle bywa, ale ujścia dla nadmiaru wrażeń. Piękny gest, bohaterska poza, dramatyczne wrażenia pociągały go już wówczas ku sobie.

Z zabaw dziecinnych zostały mi w pamięci do dzisiejszego dnia np. walki patrycjuszów z plebejuszami, jakie układał z nadzwyczajnym zapałem, rozdając między kolegów, dziesięcioletnich chłopaków, role, a przejmując się jak najgłębiej i najżywiej odgrywaną przez siebie; nie darmo, obmyślając dla wszystkich przezwiska, nazywaliśmy go wówczas „bohaterem". Umiał z tym jednak łączyć wielką żywość i skłonność do humoru; nie znać ich w późniejszych może dziełach, rzadko kto miał życie tak bolesne i przykre, jak on, ale w młodzieńczych latach dominującym jego rysem była śmiałość i inicjatywa we wszystkich figlach, fortelach, pustotach, z jakich składa się życie każdej gromadki szkolnej.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

Smutnej pamięci książę kardynał Puzyna, ten sam, który kazał swojemu pachołkowi, austriackiemu cenzorowi „Życie" zniszczyć, odrzucił ze wstrętem witrażowe kartony Wyspiańskiego!

Co za moc, jakie iście królewskie poczucie siły i swego posłannictwa, że to królewskie chłopię nic skruszyć, złamać, ba! nawet zniechęcić nie mogło!

W tym to czasie poznałem Wyspianskiego.

Robił wrażenie nieśmiałego młodzieńca. Twarz blada, prawie przezroczysta, o piękności wygasających rodów. Jeden wąs zwieszony, drugi podkręcony pod górę, smukły, średniego wzrostu, niezwykle piękne ręce a dziwnie niebieskie oczy, jakby zamglone i na wewnątrz w siebie zwrócone.

Zaprosił mnie do swojej pracowni. Mieściła się na placu Mariackim, naprzeciw kościoła Mariackiego, w dziś już zburzonej dwupiętrowej kamieniczce: jeden pokój, wąski, jak kiszka, o dwóch ogromnych oknach, ciasno tam było, że ruszać się obok siebie było trudno i nieład ogromny — zdaje się, że był jeden stołek. Z kościoła dolatywała muzyka organów i pienia nabożnych, a wszystko to razem zlewało się w dziwny akord, stanowiący zasadniczą dominantę duszy tej dziwnej pracowni.

Jedną ścianę pokrywał już wspomniany, wtedy jeszcze nie skończony obraz — czy został w ogóle skończony? — „Skarby Sezamu" — obok stał karton witrażu „Kazimierz Wielki", kilka kartonów z główkami dzieci, portrety Rydla, Opieńskiego, K. Lewandowskiego — na półkach kilkanaście książek, z których podał mi jedną: tomik poezji Maeterlincka „Serres Chaudes" (Cieplarnie).

To było jak objawienie

ADAM CHMIEL

Wyspiański miał swój indywidualny sposób rozmowy. Oprócz bowiem zwykłego sposobu konwersacji, używał także „do rozmowy" ołówka. Omawiając jakąś kwestię trudniejszą rysował różnymi liniami przed słuchającym swój sąd lub zapatrywanie. Sposobu tego używał także wtedy, gdy ktoś niejasno swój pogląd mu przedstawiał. Wtedy podawał mówiącemu ołówek i mówił zawsze z największą uprzejmością: „Proszę pana narysować mi to, co pan mówił, z rysunku to ja zrozumiem". — Tak zagadnięty, zwykle zdumiony, spoglądał na Wyspiańskiego i kończył rozmowę. „Pan się dziwi, że można kwestię

jakąś rysunkiem jeszcze jaśniej przedstawić? Tak, można", objaśniał Wyspiański swego interlokutora.

JULIAN NOWAK

Jak często bywało, siedziałem, a Wyspiański nerwowo krążył po pokoju. Była noc późna — na kominku płonęły dwie świeczki. Wyspiański snuł dramat, improwizował. Od czasu do czasu chwytał gęsie pióro i rzucał coś na papier, jakieś fragmenty dramatyczne. Dramat toczył się w duszy jednego człowieka — człowieka targanego wątpliwościami i żądzą czynu, ale ten jeden człowiek był podwójnym — inny był w nocy, a inny we dnie; doba jego istnienia rozpadała się na dwie połowy, dzienną jasną i nocną tragiczną — tragiczną nie w losach, lecz w walce toczącej się w jego duszy.

Wyspiański tworzący, improwizujący był niesamowity, wydawał mi się niezupełnie przytomny wskutek poetycznego natchnienia, jakie zawładnęło całą jego istotą. W pewnym momencie zwrócił się gwałtownie do mnie z apostrofą: „Panie, więc jak dalej? Co dalej?". Odrzekłem: „Jak to dalej? Co mianowicie"?

„Co on mówi dalej? Przecież pan musi wiedzieć"!

„Gdybym wiedział, co dalej, to sam bym napisał dramat".

STANISŁAWA WYSOCKA

Rozczarowaniem było pierwsze uczucie po zobaczeniu Go. Jakże in nym stworzyła go sobie moja wyobraźnia! Później — ten niewysoki, wątły człowiek napełnił mnie lękiem — gdy zaczęłam obserwować ustosunkowanie się Jego do ludzi. Promieniowała zeń dziwna moc, która ludzi trzymała z daleka — a zarazem zdawało się, że ich przeziera na wylot, że zdziera z nich nałożone maski.

Jego krótki, urywany śmiech był jakby znakiem uświadomienia sobie najbłębiej ukrytych słabości ludzkich, które utrwalały się na kliszy Jego mózgu.

Jego odruchowe zapinanie czarnego surduta na wszystkie guziki było odgradzaniem się od wszystkiego, co małe i niegodne.

I wówczas miałam żal do Niego, że tak bezlitośnie z wysoka obchodzi się z ludźmi. Żal tym większy, bo nie zdawałam sobie wówczas sprawy z Jego wielkości. Pamiętam taką jedną podróż z Wiednia podczas zimy — znalazłam się w wagonie, w którym jechał Wyspiański. Wolałam przestać całą drogę w zimnym korytarzu, aniżeli zająć jedyne wolne miejsce w przedziale, gdzie on się znajdował. I to uczucie podświadomego lęku i niechęci trwało we mnie dość długo — poprzez „Dziady" poprzez „Bolesława Śmiałego", w którym za nic grać nie chciałam. Tkwią w człowieku jakieś przekory — sprawiło mi to złośliwą radość, gdy, zamknięty ze mną w gabinecie dyrektorskim, Wyspiański przekonywał mnie i prosił, abym zagrała rolę szalonej żony. Zgodziłam się w końcu i zagrałam ją z jakąś pasją, w której uczucie lęku i niechęci do Niego rozpłynęło się. Zaczęłam rozczytywać się w Jego dziełach — porwała mnie forma, plastyka, tonalność i monumentalność Jego teatru. Odczułam w nim konstrukcję iście greckiego dramatu. Stawał mi się coraz bliższy i droższy.

TYMON NIESIOŁOWSKI

Wyspiański już w roku 1903 zapadał na zdrowiu i rzadziej nas odwiedzał w Akademii. Wówczas bywałem często w jego mieszkaniu prywatnym, które mieściło się przy ulicy Krowoderskiej w ostatnim narożnym domu na drugim piętrze. Pokój o trzech oknach służył Wyspiańskiemu za pracownię. Roztaczał się stąd widok na błonia i kopiec Kościuszki. Duży stół, przykryty czerwonym suknem, przy którym Wyspiański pisał! Leżały tam książki, manuskrypty, wówczas manuskrypt „Bolesława Śmiałego" z rysunkiem liter tytułu, które naśladowały duże czcionki. Kwiaty w doniczkach i cięte kwiaty, zeschłe i świeże. Staluga — rysunki, pastele na ścianach i pod ścianami. Duże drewniane krzesło projektu Wyspiańskiego, jedno z tych, które były na scenie w dramacie „Bolesław Śmiały". Czasem zastawałem ten pokój zawieszony suszącą się bielizną. Wyspiański mógł pogodzić swoją pracę z podobnym otoczeniem. Mógł się odrywać od życia rzeczywistego, od którego przecie dużo wymagał.

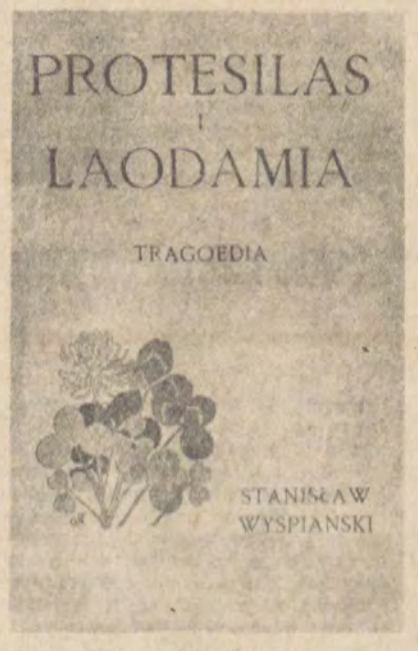

Myśli Wyspiańskiego były zajęte wówczas teatrem. Toteż rozmawiał chętnie o scenie i o aktorach. Uskarżał się, że nie pojmuje aktorów, którzy nic nie rozumieją sztuki granej przez siebie.

Przerabiał „Legendę", która urosła do rozmiarów obecnych. Radziłmi (gdyż trochę pisałem na ten czas), by chować rzecz napisaną do szuflady, a dopiero po jakimś czasie odczytać. Zobaczy się wyraźnie, czy trzeba napisać wszystko na nowo, czy miejsca niektóre tylko poprawić.

Raz zastałem Wyspiańskiego przy naprawie swego kartonu „Skarby Sezamu". Odesłano mu ten karton w stanie opłakanym. Opowiadał, jak na ręcznym wózku wraz z innymi rupieciami, Towarzystwo Sztuk Pięknych dostawiło tę pracę pod jego dom, nie troszcząc się zupełnie o stan, w jakim pracę oddaje.

Obraz Wyspiańskiego, w szarym tużurku długim, z rudym zarostem i przenikliwym spojrzeniem jasnych oczu, zawsze stać będzie przede mną. Czy to w swym pokoju, o trzech oknach z widokiem na błonia czy w kawiarni Michalika lub na Plantach, ilekroć widzieliśmy go, był on otoczony jakąś atmosferą osobliwą, emanował ze siebie wielkość swoją mimo niepozornego wyglądu na pierwszy rzut oka. My, wówczas młodzi, entuzjaści jego sztuki i poezji, patrzyliśmy na Wyspiańskiego z adoracją i uwielbieniem.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

Leżał w łóżku, obłożony korektami i książkami.

Byłem z L. Staffem, przyjął nas serdecznie, po przyjacielsku.

Usiadł z trudem, wyglądał strasznie, podobien był do Piotrowina, miał twarz zapadłą, poczerniałą i wyschłą, prawą rękę w bandażach, a lewą władał tylko częściowo, głos obcy, niewyraźny, a tylko oczy były jeszcze dawne, oczy jasnoniebieskie, władczę i mądre, oczy pełne błyskawic i woli nieugiętej, hetmańskie oczy walki.

Nie mogłem mówić porażony grozą jego twarzy.

Czułem, że on już z trudem dźwiga własnego trupa.

Ale ożywił się, zaczął mówić i rozbłysnął wszystką wolą swoją.

Milczeliśmy, zasłuchani w nieśmiertelny hymn potęgi ludzkiej.

Izba była pusta i cicha, najmłodszy syn bawił się przy łóżku, przez otwarte okno płynął słoneczny, ciepły dzień, czasem zaglądały rozkołysane drzewa, niekiedy rozlegały się ściszone, dalekie głosy wsi, niekiedy zaś ryk krów, krzyk gęsi wydzierał się tuż za ścianami, to wóz jakiś turkotał gdzieś w pobliżu i wrzeszczały dzieci — jakby uśmiechał się do tych głosów życia i mówił, zapatrzony we wzgórza, co majaczyły przez sady poczerwieniałe, w błękitną, nieobjętą topiel nieba; unosił się coraz potężniej i rozwijał przed nami niesłychane, gigantyczne plany nowych i porozpoczynanych prac.

Że zapomnieliśmy o jego chorobie, o nędzy jego ciała, o śmierci i o wszystkim; porwał nas swoją żądzą czynu i poniósł w bezkresy marzenia (...)

A wczoraj byłem u niego po raz ostatni.

Leżał w krypcie Pijarów, w głębokim, białym dole pod kościołem. Czarna hetmańska trumna wynosiła się wysoko wśród złotych brzasków niezliczonych świateł, a od trumny, jakby spod stóp, spływała droga wysłana wieńcami (...)

Cisza była głęboka, tłumy przechodziły w milczeniu, tylko głowy pochylały się kornie przed majestatem, tylko modlitwy szemrały rosistym, wiosennym deszczem, tylko mdlały serca, ściśnięte żalem niezmiernym.

Życie codzienne, życie gwarne, życie tłumów ściszało się trwożnie i przesuwało z lękiem, bo on leżał tam wysoko, w dostojnej ciszy wiecznego zadumania.

Sztuka otoczyła go świętym nimbem i wyrosła ponad tragiczną nędzę i grozę śmierci.

Nie ma tam bowiem śmierci, gdzie jest żywot wieczny, zaklęty w arcydzieła i w pamięć swojego narodu.

NOTA O AUTORACH

STANISŁAW ESTREICHER (1869—1939), wielokrotny rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, historyk prawa, bibliograf i publicysta. Wspomnienie swoje napisał w r. 1907.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI (1868—1927) dramaturg i powieściopisarz, czołowy przedstawiciel modernizmu. Publikowany fragment pochodzi z pracy „Exegi monumentum" ogłoszonej w r. 1925.

ADAM CHMIEL był przyjacielem Wyspiańskiego, wyznaczonym przez poetę opiekunem jego spuścizny literackiej. Wspomnienie z r. 1925.

JULIAN NOWAK, przyjaciel Wyspiańskiego, malarz. Pomagał poecie w zdobyciu dyrektury teatru krakowskiego. Wspomnienie z r. 1932.

STANISŁAWA WYSOCKA (1878—1941) wybitna aktorka polska, tragiczka. Wspomnienie z roku 1932.

TYMON NIESIOŁOWSKI (1882—1965) malarz i grafik uczeń Wyspiańskiego. Wspomnienie z r. 1932.

WŁADYSŁAW REYMONT (1867—1925) powieściopisarz i nowelista, laureat literackiej nagrody Nobla. W 1907 r. napisał reportaż z pogrzebu Wyspiańskiego

Wiersze o Polsce

KAZIMIERZ LISOWSKI (ZSRR)

Odwiedziny

Kraju moich naddziadów! O tych odwiedzinach
Ileż to lat marzyłem. Ty wiesz, co dziś czuję.
Roztrzęsiony, odległą mowę odpominam
I po tej Ziemi stąpam, i proch Jej całuję.

Dzieckiem jeszcze w mych stronach śnieżystych — w kolebce
Grzał mnie podobno oddech Twych pieśni polotnych:
Mickiewicza poema o dalekiej rzece
I wiązany kaliną wiersz Autorki „Roty".

Odbrzmiewały w mym sercu, kiedym wchodził w lata...
Radość mnie dziś ogarnia do zawrotu głowy,
Że ja — sercem Rosjanin, ale z krwi — Sarmata —
Nie zapomniałem jednak mych naddziadów mowy.

Żywa, przez krzyżackiego nie zdławiona gada,
Stałaś się naszą siostrą, Polsko — ziemio prawych...
I na moją wszak duszę wrzący popiół padał
Znad drutów Oświęcimia i ruin Warszawy.

Skroś dnie, noce i jakież ogromne przestrzenie
W chwilach strasznej pożogi i bestialstwa zbirów —
Walce ruchu oporu i Twoim cierpieniom
Wtórował tam zgiełk serca mieszkańca Sybiru.

Patrzę — klęczą nad Wisłą wierzby kędzierzawe;
Zapachy ziół i mięty od łąk ku mnie biegą.
Słyszę z radia śród nocy nad rojną Warszawą
Jedyne w świecie dźwięki hymnu Wybickiego.

O, jakim ja szczęśliwy, żem odwiedzin dożył!
Chodzę i wciąż się wprawiam w ten język wspaniały.
O, mój Szczepie Piastowy, dziś wolny jak orzeł!... *)
Wołam: Niech żyje Polska! *) Niech żyje dzień chwały!

Przełożył: Tadeusz Chróścielewski

*) w oryginale po polsku.

DESANKA MAKSIMOVIC (JUGOSŁAWIA)

Pomnik Mickiewicza w dniach okupacji

Pomnik poety, który wszystkie ludy
Ogarnął sercem jak wulkan gorącym,
A cierpieniami Polski pierś rozkrwawił,
Giserniom dano dla nieludzkiej sprawy —
I cudem wrócił...
granatem burzącym.

Z torsu poety, ze słonecznej miedzi
Sfabrykowano zabójcze pociski —
Na Francję padły, na dżdżystą Słowenię,
Dwóch siwych starców zabiły przy Senie,
Wielu czabanów
w Bałkanie złocistym.

Zielono-brązową twarz, wysokie czoło,
Uśmiech natchnienia schylony nad Słowem —
W huk dział zmieniono, co nad Miastem pękał
I miałki piasek kładł na ludzkich jękach
I warszawiaków
pobudce bojowej.

Lecz choć wróg posąg w morderczą broń przekuł,
By mu odjąwszy kształt przeczyć istnienia,
To jednak milion Mickiewiczów wstało
I na front poszło, i kule mijało —
Bo żyło Słowo
w rodaków marzeniach.

Gołąb — ptak ciszy nienawiść przywołał,
Z niebiosów burza czerwona runęła,
Powolna rzeka syczała jak żmija,
Krew z ziemi trysła, ażeby zabijać —
Pieśń gminna
straż zaciągnęła.

Przełożył: Tadeusz Chróścielewski

ARNO REINFRANK (NRD)

Polska skarga

Ciepła jest dłoń,
której nieckę wznoszę nad tobą,
przepełniony grozą wspomnień
z żalu nad twym nieszczęściem,
o Polsko.

Leżą w głuchej ziemi
dusze ptaków pomordowane
za płotami i cegielniami
w pobliżu bezbronnych siół,
o Polsko.

Oto odkrywam
włos na żakieciku: to z Oświęcimia,
a jego blask i zapach
rozpływają się w czerni,
o Polsko.

Po szynach z nóg pędzi mój pociąg
aż do cieni Warszawy,
które drżąc giną nagle
przed moimi oczami,
o Polsko.

Ach, trwoga naszego czasu
szminkuje jazzem młodości wargi
i nie znika wypalony z raną Hakenkreuz
w twoim łagodnym łonie,
o Polsko.

Trzy kraje

Polskę chciałbym porównać
do błyszczącego rubinu:
na jego grobach
krew w lampkach goreje.

Francję chciałbym porównać
do białej gołębicy:
która zmienia kierunek lotu
tuż przed ścianą z burzy.

A Niemcy porównać chciałbym
do gorejącej iskry:
pójdą z dymem pola,
jeśli Abel bronił się nie będzie.

Przełożył: Jan Koprowski

Fot. A. Wach

Nowe wiersze o Łodzi

GRIGORYJ PIETNIKOW (ZSRR)

Ranna Łódź

Spełniam się,
wychodząc z czarnych i srebrnych ogni nocy.
Zwyczajnie — jak w wielkich miastach
w centrum śpią jeszcze,
albo spać się kładą
robotnicy zmian nocnych:
telegrafistka
i pocci
stróż i metrampaż.
A my, prządki zrywamy się rano.
Wiemy, co to dobra robota.
My nie od tego, by podkreślać
urodę swoją makijażem.
Nam z labiryntów wybiec śpieszno:
z prześwietlonego drzewa snu,
z kadłubów łodzi gigantycznych,
płynących przez świtania zmrok,
gdy gwiazdy już zarysowane
ołówkiem siwym...
Na spotkanie dnia!
A witają nas dymy niewidzialnych ogni,
furkoczące dymy, jak z przedziwnych świec
i kłębiące się dymki, jak z szarych garnuszków.
Tak wyglądał dzień wczorajszy — myślimy.
Zobaczycie w zmrokach świtu nasze twarze
wśród ulic jesiennych
i w tramwajach
i na zieleńcach.

Drzewa tu żyją w ciasnocie
i oddychać im ciężko.
Garbią się karki gałęzi
Lecz tu zostały posadzone,
by żyły tu
i trwały tu
na Bałutach,
Stokach,
Widzewie.

Jeszcze puste na alejach ławki...
Twarze tych, co się wczoraj tu spotkali
płoną. Goreją twarze dziś
szczęśliwych dzieci naszych dni.
Już otwarte sklepiki i składy.
I u drzwi i u bram
powszednie toczą się rozmowy.
Już skrzypią zręby rusztowania
pod budowniczym i monterem
wysokościowca.
Abyście mogli kiedyś ujrzeć,
abyśmy mogli kiedyś ujrzeć
widnokrąg jasny...

Kiedy różowy zorzy pierścień
świt zbudzi,
zerwie kołdrę chmur,
powie ranna Łódź:
Rozpoczynam pierwszą zmianę!
Słowo stanie się warsztatem.
Gwizdem syren. Maszyną.
Robotną ręką.
Okiem precyzyjnym.

Łodzianka

(Wiersz wiosenny)

O niebo się wsparłaś
od dymu niebieskie.
Biegniesz po obrączce
zorzy — łące kwietnej.
Piosnko — robotnico
z młodą przyjaciółką
Łodzianką — łozinką.
Ty prządniczko śliczna
przędź, przędź aż po samo
sklepienie wysokie,
niebieskie i słodkie.
Rozświetl je oczyma,
uwiosennij liściem,
rozszeleszcz kretonem,
roznieć je ogniskiem.
W kubraczku wiosennym,
obłokiem obwita,
płyń, płyń
poprzez światło!
Po kądzieli bliska
Łodzianko — łozinko,
łozinko — gałązko!
Stań mi się dziewczyno
Uśmiechniętą Polką!

Przełożyła: Dorota Chróścielewska

Listy z piątą klepką i bez niej

ZYGMUNT FIJAS

1. FIKSPOMADA, RYBY, REANIMACJA.

Jedną z najmilszych lektur, jakich nastręcza nam życie, są listy. Bez nich czulibyśmy się jak ryby bez wody. Ale bez listów, otrzymywanych od naszych czytelników, czujemy się jak woda bez ryb...

Listy od czytelników są niekiedy jedyną zapłatą za nasze trudy. Co prawda, trudno za tę zapłatę kupić grzebyk czy bułkę, ale w świecie wartości tak zwanych „nieprzeważalnych" ta zapłata więcej znaczy niż wszystkie nagrody. Dowodzi ona, że nie mówimy jak dziad do obrazu.

Swego czasu redakcja „Szpilek" była łaskawa przysłać mi pełen „ch"arskiego zadowolenia list czytelniczki krakowskiej, ucieszonej z powodu ukazania się w tym piśmie mego kulinarnego felietonu, zakończonego szpitalnymi przeżyciami dwojga kochanków, nie uświadomionych należycie przez odpowiednie czynniki o sposobach przyrządzania jarzyn bałkańskich, które na ladach gniły, oraz ryb, tych atlantyckich, które to samo czyniły, zanim opuściły wybrzeże.

Być może na skutek tego ówczesnego felietonu „Szpilkowego" morskie ryby przestały cuchnąć na ladach, już później nigdy nie wywożono na śmietniska łódzkie ciężarówek z zepsutymi darami morza, z większym pośpiechem zaczęto je przetwarzać na konserwy i paszę. Ale od tego czasu nie można nabyć w sklepach świeżej makreli i tuńczyka po śmiesznie niskiej cenie (pewnego lata mogłeś dostać tego drugiego specjała po siedem złotych za kilo w tuszach po sześć, siedem kilo w jednej sztuce). Za to pojawiły się, a raczej zaczęły się pokazywać, wspaniałe krajowe okonie i miętusy, po bardzo dogodnej dla człowieka pracy cenie.

Otrzymywałem jednak listy dowodzące, że nie przemawiam jak dziad do obrazu. Ale dalekie one były od zadowolenia. Jak na przykład list przysłany mi w czasie mego powiązania z „Przekrojem", którego jestem jednym z ojców, bo dzięki rekomendacji Zawieyskiego, od pierwszego numerku tego pisemka, a miało ono okres świetności: pisywali do niego Osmańczyk, Iwaszkiewicz, Brandys, Dygat, Putrament, Jerzy Zagórski, Gałczyński,

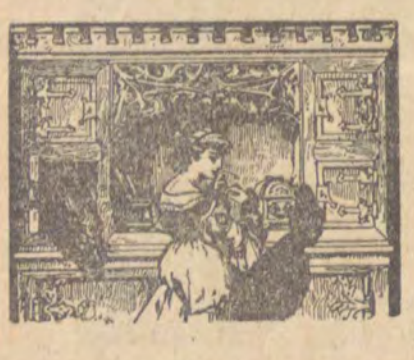

Waldorff, Promiński, Magdalena Samozwaniec, Minkiewicz, rysował Antoni Uniechowski, Gwidon Mikaszewski, póki to pismo z rozmysłu nie skapcaniało, ale ciągle stoi na wyższym poziomie niż przedwojenny ikacowski „As", bo od pierwszego numeru, do czasu mego wyjazdu do Łodzi, umieszczałem w nim swe próbki, przyjmowany przez redaktora w samych skarpetkach, bo buty dla wygody redagowania zdejmował.

Pozwalam sobie zamieścić tu ten list:

„Wielce Szanowny Redaktorze!

Piszę do Ciebie, jednym tylko palcem stukając w klawiaturę maszyny do pisania, bo na większą ilość palców Pana nie szacuję. Bardzo mnie się podoba sposób pisania tych wypocin, którymi Pan nas od pierwszego numeru swego tygodnika traktujesz. Od wielu miesięcy cała nasza kamienica jest przekonana, że wiecheć zbutwiałej słomy więcej by miał nam do powiedzenia od Pana. Czy to przypadkowo nie Pańska zakichana osoba napisała bzdurę o maści witaminowej doktora Kuliabki? O tej fikspomadzie, po której tkanki brzucha mogą się zrastać z tkankami nosa? Gdzie de facto przeczytałeś Pan tę banialukę?

A co czytelnika obchodzi, wiele Pan ma palców u rąk i nóg? I skąd Pan wie, że w średniowieczu wyrabiano z sera pomadę? Czyli krem na cerę?

A czego Pan życzy od mumii właściwie? Czy nieboszczycy też Panu zawadzają?

Pozostaw ich Pan w spokoju, niech leżą tam, gdzie leżą. Lepiej przejedź się Pan po innych ludziach, którzy tylko na to czekają. Bo to wstyd takie ubóstwo tematu.

Bardzo by Panu dobrze zrobiło, gdybyś codziennie moczył swe nogi w oleju. Dla Pana wystarczy dwanaście godzin (nocą). Następnie powinieneś Pan stać przez dwanaście godzin (dniem) na głowie. I jak poczujesz smak oleju na języku, abyś pozatykał wszystkie otwory swego ciała. Żeby olej nie wyciekł,

lecz użyźnił Pańskie wyblakłe dowcipy.

Uznanie składam dla p. Harlie, który spłodził portret Pański w tygodniku... Kapitalny. Gęba jakby unurzana w musztardzie. O wiele Pan tak wyglądasz, to wieńszuję".

Ciężko jest być tak zwanym satyrykiem. Czyli mówiąc po łacinie: difficile est satiram scribere.

Istotnie, napisaliśmy o maści witaminowej doktora Kuliabki (był to rok 1946). Wychodziliśmy od tego punktu wyjściowego, jakim dla nowoczesnej chirurgii i biologii stało się utrzymanie przy życiu kawałka kurzego serca przez profesora Carrella, autora książki: Człowiek, istota nieznana, uczonego pracującego w Instytucie Carnegie Hall. Jak dzisiaj wiemy, utrzymanie przy życiu tkanki ludzkiej nie jest już żadnym problemem, skoro istnieją potężne magazyny tych tkanek, gdzie przechowuje się fragmenty kośćców, a nawet całe ludzkie podroby w stanie zdatnym do ewentualnego dalszego funkcjonowania w zdrowym ciele.

Wyliczaliśmy swe palce u rąk i nóg (uczyniliśmy to w felietonie satyrycznym, drukowanym w „Przekroju" pod tytułem: „Proszę nas nie mylić z Bertoldem Schwarzem" przedrukowanym później w książce: „O szkodliwości kominów"), aby pomniejszyć znaczenie swej niegodnej jakiego kolwiek znaczenia osoby, a zarazem pokłuć w oczy różne ówczesne indywidua, podstawiające żabie łapy tam, gdzie kuto konie.

O mumiach pisaliśmy, albowiem wieszczyliśmy, że kiedyś do tego na wet może dojść, że mumie zaczną żyć i pączkować jak laska Aaronowa. Walną pomocą do tego może się stać pomieniona maść witaminowa doktora Kuliabki, którego nazwisko jest dla nas wciąż żywe, wciąż wesołe, zupełnie inną wesołością niż pewnego „wielkiego" administratora od dogmatycznej biologii.

Pisaliśmy o pomadzie z sera, bo każda szanująca swą cerę — i przyjaciół tej cery — niewiasta wie, jak kojąco działa na twarzyczkę twarożek, byle świeży. Ba! jeśli to jest twarożek owczy, czyli bunz, to może on także zawierać lanolinę, podstawowy tłuszcz nie jeżczejący w porach skórnych i nie drażniący ich, bardzo cenny przy wytwarzaniu leków skórnych i kosmetyków. Tak cenny, jak cenna może być uryna młodych ogierków, a nawet i — starszych, jako składnik hormonalny odżywczych pomad dla więdnących cer damskich.

Pisząc aluzyjnie i pozwalając czytać czytelnikom między wierszami, mieliśmy przed oczami ów wspaniały czyn niemieckiego uczonego, Langendorffa, polegający na ożywieniu serca, czyli reanimacji martwego już dziecka. Czyn ten został dokonany w drugiej połowie dziewiętnastego wieku.

A wielu ludzi przypisuje ten wyczyn reanimacji uczonym pierwszego i następnego dziesiątka drugiej połowy wieku dwudziestego.

Odpowiedzieliśmy na ten list czytelnika tymi słowy:

„I my wieńszujemy tego pięknego listu. Zamiast oleju radzimy sprawić sobie lustro. Stanąć przed nim z wałkiem nad głową i tak długo się nim bić w głupie ciemię, aż lustro od tego bicia ciemienia pęknie. A jak pęknie, to sprawić sobie nowe i dawaj tego samego od początku".

Do tego listu Charlie, czyli Karol Ferster, machnął odpowiednie ilustracje, w których dał bobu nadawcy zaczepki mej biednej osoby

2. JAK ZDOBYĆ PEWNY NUMER LOTERYJNY?

Ale trafiały się też takie listy: „Mieszkam kątem w Krynicy. Zimowe, górskie, orbisowe powietrze, za którego wdychanie niektórzy sło no płacą, mam za darmo. To jest plus. Wodę mineralną otrzymuję po znajomości. To jest drugi plus. Śnieżyc, zasp, mrozów, górskich wiatrów, a także ostatnio grzyba domowego, mam ile dusza zapragnie. To jest pięć minusów. Na szczyt góry Parkowej mogłabym się wdrapywać bezpłatnie, ile bym chciała. To jest plus. Przewracać się w czasie gołoledzi mogę, ile tylko mi się podoba. To jest plus. W barze mlecznym mogę otrzymać ciepłe mleko, gorące serdelki oraz kurczaka w rosole. To jest, zgódźmy się, gruby plus. Jeszcze grubszy, gdyby tam było z powrotem piwo. Piękne widoki nic mnie nie kosztują. To jest plus. Ale ostatnio przegrałam na loterii. To jest minus. Sześć plusów dodać sześć minusów to jest zero.

Czy nie moglibyście, panowie, wskazać mi sposobu na zdobycie pewnego numeru loteryjnego, żebym nareszcie weń trafiła, nie — jak ku lą w płot? Abym mogła sobie kupić samochód „Hilman Imp", produkcji angielskiej, albo „NSU-Prinz 1000 S", produkcji NRF, bo codziennie muszę chodzić do baru mlecznego na piechotę. Jeśli nie samochód, to może być także stary helikopter".

Ten list wskazywał, że nadawczyni brak było jednej klepki. Piątej. My też chcielibyśmy znać ten pewny numer.

Ale trafił się list, który dowodził, że jego nadawca nie miał ani jednej klepki w porządku:

3. JAJECZNY OBSESJONISTA

„Drodzy Panowie! Gdy wróciłem z zabawy, śniły mi się jaja w sosie cynamonowym. Przed tygodniem śnił mi się jajeczny grzybek wielkości koła młyńskiego. Przed trzema dniami roiło mi się, że przedmuchuję kopę wapiennych jaj przez dziurkę od klucza. Wczoraj, dla odmiany, tuż po zaśnięciu, widziałem samotne jajo na Placu Konstytucji. Nadam ten list, ale boję się, że w nocy znawu obudzę się zlany potem, gdyż będzie mi się śnić, że jestem kwoką — i wysiaduję jaja chłodnicze w poczekalni Dworca Śródmiejskiego. Czy nie wiecie, Panowie, gdzie można kupić dobry sennik?"

Gdzie można w tych trzeźwych czasach kupić sennik? Też pytanie — odpowiedzieliśmy.

Zadać je tyle samo znaczy, co zapytać: w której księgarni można kupić „Trędowatą", „Tajemnicę trzech dębów", „Trupa w szafie", wznowienie „Żółtego pająka", lub „Wstęp do psychoanalizy" Freuda, który mógłby dopomóc w rozwiązywaniu sennych zagadek.

Gdzie kupić sennik?

Kupić go nie można! Ale można wypożyczyć w prywatnej wypożyczalni na godziny. Podobnie jak „Trędowatą".

4. JAK SPĘDZAJĄ NIEDZIELĘ?

Listy od czytelników przychodzą same. Ale niekiedy trzeba im pomóc, żeby miały ochotę przyjść. Zwróciliśmy się do wielu osób z pytaniem, jak spędzają niedzielę.

Oto kilka odpowiedzi:

KRZYSZTOF BLOMBA, NADRADCA W STANIE SPOCZYNKU. POZNAŃ.

List ten ze względu na jego gigantyczne rozmiary streszczamy:

W niedzielę, zamiast iść na spacer, zapoczątkowuje moczenie odcisków. Rozdrażniony do żywego przegraną w karty, jeszcze nie odbitą ubiegłej niedzieli, przerywa rozpoczętą czynność, zasiada do ulubionego skata i zgrywa się do suchej nitki. Skonsumowawszy odgrzany obiad, w dalszym ciągu prowadzi moczenie nóg. Nie zważając na napomnienia rodziny, żeby nie grał w karty, bo będzie miał łeb obdarty, postanawia się odbić, zapominając, że nie za to ojciec syna bił, że syn grał w karty, lecz za to, że synalek chciał się odbić, znowu zasiada do skata, przegrywa srebrną papierośnicę, lakierowaną antypkę, zegarek, kalosze, czym rozjątrzony do żywego udaje się w niewiadomym kierunku, skąd wraca nad ranem. Wraca do resursy urzędniczej, aby zasiąść do przeklętego skata, odbić się z nawiązką, rozpocząć moczenie odcisków, rozmyślać o przyszłej niedzieli i znowu przegrać srebrną papierośnicę, lakierowaną antypkę, zegarek, kalosze, czym rozjątrzony... Patrz wyżej. Da capo al fine.

Ten system spędzania niedzieli uprawia z powodzeniem od niepamiętnych lat.

GENOWEFA S.

Większość niedzielnych popołudni, zamiast spędzać u kabalarki na wysłuchiwaniu jej wróżb odnośnie szczęśliwych numerów gry liczbowej i wyczekiwaniu na radiowy komunikat o szczęśliwym trafieniu, spędzam na wolnym powietrzu.

Wskutek tego, chociaż nabawię się dokuczliwego łamania w kościach, bo od zieleni jest wilgoć, to na tym wygrywam, że nigdy w grach liczbowych nie przegrywam".

KAJETAN PROTOPOWICZ. LITERAT.

Jestem człowiekiem pióra. Jak sama nazwa wskazuje, moim zadaniem jest słuchać tego, co mi dyktuje Muza. Ta literacka boginia najchętniej dyktuje mi w niedzielę. Wtedy ona ma dla mnie więcej czasu i ja mam dla niej. Korzystając z tej dogodności, że ona mi dyktuje, słucham jej dyktanda. Jeśli w którąś z niedziel trafi mi się, że nie mogę jej słuchać i spisywać co mówi, bo na przykład przyjdą do mnie goście lub cierpię na niedyspozycję, to przez cały tydzień jestem z tego powodu chory.

Moja dewiza życiowa: ani jednego dnia bez jednej linijki bodaj. Nulla dies sine linea.

GROMISŁAW FERENC, ADIUNKT WYDZIAŁU INSTRUMENTÓW PASTERSKICH

„Połowę ubiegłej niedzieli, Drogi Panie, przedmuchałem na trąbie, drugą prześwistałem na fujarce pastuszej. Najbliższą niedzielę też przetrąbię i prześwistam. Następne niedziele wykorzystam na przygotowywanie zespołu drumlistów do występów w śląskich domach kultury, gdzie z towarzyszeniem ligawek zostanie wykonany J.Ph. Rameau: „Pieces de droumla en concert" oraz na fujarkach i okarynach trzeci koncert brandeburski Jana Sebastiana Bacha. Moim marzeniem jest wykonanie na drumlach Dziewiątej Symfonii Beethovena. Ale czy zajęcia pedagogiczne pozwolą mi? Nie wiadomo!

5. JAK SPĘDZĄ ŚWIĘTA?

Na kilkanaście dni przed świętami wysłaliśmy pewną ilość listów z zapytaniem: „Jak Pani, Pan (niepotrzebne skreślić) spędzi święta?"

PLUM-PUDDING, PRACA REHABILITACYJNA.

Słyszeliśmy, że Pan, podobnie jak Aleksander Dumas (ojciec), który napisał tysiącstronicową rozprawę kucharską, opartą na własnych doświadczeniach i przygodach kuchennych, albo jak poeta i fraszkopisarz, doktor Jan Izydor Sztaudynger, który podobno napisał kilka tysięcy wierszy liczący poemat o grzybach, oparty znowuż na jego doświadczeniach zbieracko-kopieniaczych, dlatego zawiesiłeś lirę na kołku, bo piszesz pracę rehabilitacyjną o jadłoznawstwie. Więc zapewne w gronie dostatnio ubranej młodzieży cygańskiej damsko-męskiej, zamiast nabożnie i po staropolsku połamać się opłatkiem i pomyśleć o tych, których już nie ma, a dzięki ich śmierci jesteś tym, czym jesteś, oraz o tych podumać, co mogliby tu być wśród nas, a nie ma ich, zasiędziesz do hulaszczej biesiady. Spożywać będziesz może plum-pudding, szczodrze podlany arakiem i zapalony; do tego indora, a przedtem łososia tej wielkości, jaką Związek Radziecki zaprokurował prezydentowi Roosevelтowi po konfrencji, zamiast skromnie wypić barszczyk z uszkami, które odłożysz sobie na drugi dzień, zakąsić parę kołdunków z kapusty, no, ewentualnie po tych pierogach z kiszonej jarzyny i grzybów uszknąć kawałątko dorszyka albo nawet płastugi, która jest wyborniejsza od karpia, chociaż nie ma pyska.

Więc czy to nie jest dwulicowość takie burżuazyjne obżeranie się angielskimi wymysłami kuchennymi z wołowego łoju nerkowego, korzeni, krajanej komisowej cykaty, gorzkich migdałów, kandyzowanych wiśni, mendla jaj i płonącego araku, nawet z Kuby, wyspy jak wulkan gorącej?

A w jaki sposób Centrala Rybna wytrzasnęła dla siebie świeżego łososia?

Gdybyś był głodny, to byś swą pracę naukową pisał — o chlebie i o wodzie, nie o żadnych buchtach świątecznych, jarzynkach po macedońsku, ziemniakach „a la maitre d'hotel", jakiejś głupiej wileńskiej podsycie z maku, miodu, śmietany i orzechów, czy maraskinowych kremach tutti-frutti".

Gdybyś był głodny, to byś pisał swą pracę o pastuszych ziemniakach wigilijnych pieczonych w popiele, nie o dwudziestu czterech sposobach parzenia kawy. Gdy głodnemu chleb na myśli, to nie chleb turecki ani świętojański, ani drzewo chlebowe, ani fiński chleb z warszawskich piekarń, lecz zwyczajny prosty chleb, z solą zamiast masła.

Jak spędzę święta? Czy nie masz Pan mniej banalnego tematu do rozważań? Jeśli ci żyła literacka wyschła, to ją wymocz! Ale w czym?

Reportaż zagraniczny

Uwaga na Japonię!

JAN BABIŃSKI

Niedawno tokijskie gazety podały krótką informację o dużej jednak doniosłości. Rząd japoński powołał do życia Towarzystwo Badań Kosmicznych, którego struktura ma przypominać wzory amerykańskiej NASA'Y. Jest to oficjalny sygnał że Japończycy szykują się do podboju kosmosu i to raczej samodzielnie. Japonia weszła zresztą na drogę kosmonautyki już przed kilku laty, wypróbowując z powodzeniem wieloczłonową rakietę „Lambda". Kto zaś buduje rakiety badawcze, może każdej chwili wychylić się po rakiety bojowe, tak że należy liczyć się z możliwością szybkiego przekształcenia się Japonii w trzecie na świecie mocarstwo rakietowe.

Trzecie? Może czwarte, bo nikt nie wie dokładnie jak daleko zaawansowane są prace specjalistów chińskich. Na Zachodzie przypuszcza się, że Chiny będą mieć pierwsze rakiety międzykontynentalne już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Wielu ekspertów sądzi, że nawet grubo wcześniej. Faktem jest wszakże, że nowa potęga, której znaczenie będzie nieustannie wzrastać, rodzi się również na wyspach japońskich. Podczas ostatniej wizyty w Japonii ministra spraw zagranicznych USA, Rogersa, prowadzono też tajne rozmowy na najwyższym szczeblu. Na jednej z konferencji z udziałem Rogersa Japończycy dali do zrozumienia, że perspektywiczne plany rozbudowy potencjału militarnego uwzględniają w pewnej mierze możliwość zbrojeń nuklearnych. Brzmi to prawdopodobnie. Japonia dość ma po temu środków i dostateczną bazę naukową by w krótkim stosunkowo czasie wyprodukować bombę atomową i wodorową.

Wydaje się, że Amerykanie skłonni są coraz bardziej dać na to swoje placet.

Obecność Japonii w świecie staje się z każdym rokiem coraz bardziej odczuwalna. Nie ma dziś na Zachodzie małego zgoła miasteczka, którego sklepy nie byłyby dosłownie zawalone wyrobami noszącymi fabryczne znaki „Sony", „Petri", „Hitachi", „Pentax", „Sencor"... Są to wszystko potężne koncerny produkujące na eksport nieprzeliczone masy tanich tranzystorów, magnetofonów, aparatów fotograficznych i różnych innych urządzeń, bez których współczesny człowiek życia już sobie nie wyobraża.

W 1958 roku Japończycy wypuścili 8 milionów zegarków, w roku ubiegłym już 36 milionów. Produkcja lodówek wzrosła w tym samym czasie z pół miliona prawie do 4 milionów. Stocznie japońskie są dziś największe w świecie. W roku ubiegłym spuściły na wodę istną flotyllę supernowoczesnych jednostek, po części mamucich o łącznej wyporności 8 milionów ton. Jeszcze bardziej zadziwiające są japońskie sukcesy w przemyśle samochodowym, jako że na tym polu działa przecież amerykański olbrzym o kolosalnym doświadczeniu i znakomitej kadrze technicznej. W 1958 roku Japonia wyprodukowała 190 tysięcy aut, w roku ubiegłym przeszło 4 miliony. Na samochodowej drabinie to państwo znalazło się na drugim miejscu po Stanach Zjednoczonych.

Jeszcze kilkanaście lat temu japońskie towary uchodziły za ładnie odrobiony szmelc.

Odium tandety dawno już zostało zdjęte z japońskich wyrobów i poszło w niepamięć. I znowu, jak zawsze gdy wyłania się coś graniczącego z gospodarczym cudem, nasuwa się pytanie — jak do tego doszło? W prasie zachodniej ukazuje się od pewnego czasu sporo artykułów na ten temat, wypowiedzi a nawet esejów, które acz różnią się w ocenie zjawiska, zgodnie jednak stwierdzają, że czynnikiem decydującym były ogromne rezerwy wykwalifikowanych kadr. Zwraca się też powszechnie uwagę na jeszcze jeden moment natury raczej psychologicznej. Japonia od wieków nawiedzana jest klęskami żywiołowymi. Powodzie, tajfuny, huragany i trzęsienia ziemi nikogo tam nie zaskakują. Konieczność ciągłego parania się z bezlitosnym żywiołem sprawiła, że do cech japońskiego charakteru należy zaciekłość, odwaga, upór, ciągła gotowość do zaczynania życia od nowa, od samego zera. Wreszcie ambicja, pracowitość, umiejętność przystosowania się do różnych okoliczności, przede wszystkim jednak niezrównana dyscyplina.

Japończycy są pełni dumy. Są przeświadczeni, tak przynajmniej głoszą urzędowe źródła, że w ciągu najbliższych 20 lat dochód narodowy w przeliczeniu na mieszkańca wzrośnie aż czterokrotnie. Są pewni, że pod koniec tego stulecia wyprzedzą Stany Zjednoczone. Prognozy te jednak mają to do siebie, że niezmiernie rzadko się sprawdzają. Nie biorą zwykle pod uwagę i tego elementu, że cały świat idzie naprzód i że dziś nie ma już takiego państwa, które by stało w miejscu. Nie da się wszakże zaprzeczyć, że wzrost produkcji przemysłowej w Japonii bije od lat wszelkie rekordy.

Japonię dzieli jeszcze wiele od Europy zachodniej. Jeśli przyjąć poziom zachodnioeuropejski za 100, to Japonia osiągnęła zaledwie 28 procent tego poziomu w kanalizacji i wodociągach, 68 procent w warunkach mieszkaniowych i tylko 13 procent w dziedzinie dróg i różnych udogodnień komunalnych. Japończycy mają już czym jeździć, ale nie bardzo mają po czym jeździć. Wreszcie potęgująca się tragedia drobnych wytwórców. Jeszcze niedawno prawie 90 procent przedsiębiorstw zatrudniało mniej niż 50 robotników. Te maleńkie warsztaty o długoletniej tradycji dały w roku ubiegłym połowę ogólnej produkcji przemysłowej. Nadchodzi teraz czas, że wszystkie te płotki padną ofiarą przemysłowych rekinów. Proces jest nieunikniony. Aktywa jednego tylko superkoncernu Mitsubishi obliczane są na 2 miliardy dolarów. Sprostaj takiej potędze.

Na alarm biją europejscy eksperci. Uderzającym tego przykładem jest książka Hansa Valfeldsa — „100 milionen, Die vierte Weltmacht", która wyszła przed dwoma miesiącami w Niemczech Zachodnich. Jej autor, jak swego czasu Wilhelm II, przestrzega Zachód przed żółtym niebezpieczeństwem. Pod jeszcze wymowniejszym tytułem ukazała się książka Horsta Eliseita — „Japan, eine Herausforderung der Welt", „Japonia, wyzwanie światu". Na alarm biją też sami Japończycy, choć z innego zupełnie względu. Socjolodzy zwracają uwagę, że struktura społeczna w japońskich firmach odbiega od wzorów amerykańskich czy też europejskich. Jest już przestarzała i może zahamować dalszy rozwój gospodarki.

Wydajność i przydatność o niczym jeszcze na japońskich wyspach nie decyduje. Z pracy wolno tam zwolnić tylko tkiego urzędnika, technika czy nawet robotnika, który popełnił przestępstwo, lub gdy firma zwyczajnie splajtuje. Trzeciej możliwości nie ma. O awansie nie rozstrzygają zdolności, inicjatywa i aktualne wyniki w pracy, lecz wiek i formalne wykształcenie. Przede wszystkim jednak rozstrzyga staż pracy w określonej firmie. To się liczy i to się tam ceni. W końcu do tego dochodzi, że każde japońskie przedsiębiorstwo zostaje opanowane przez zgraną klikę wysłużonych repów, którzy młodszym blokują drogę do kierowniczych stanowisk. Dużą też rolę odgrywają koneksje rodzinne i towarzyskie.

Główną wszakże słabością Japonii jest zależność od zewnętrznego świata. Japońskie wyspy są ubogie. Przeszło 60 procent paliw i surowców Japonia sprowadza z dalekich niekiedy lądów. Egzystencja kraju wisi na jednej w gruncie rzeczy nitce, którą jest zagraniczny handel. Niech ta nitka trzaśnie, niech import zacznie przewyższać eksport, a krach o nieobliczalnych wprost skutkach jest nieunikniony. Ten handel orientowany jest głównie na Stany Zjednoczone. Najmniejsze nawet perturbacje na Wall Street natychmiast odbijają się na życiu gospodarczym Japonii. W sumie Japonia jest dziś na pewno ekonomicznym i przemysłowym kolosem, który stoi jednak niezupełnie na własnych tylko nogach. Na razie jednak japońska szafa gra i to na wysokim „C".

Grillparzer o Polakach

ZENON RUDNICKI

Jan Koprowski powiedział kiedyś, a potem napisał, że wszyscy wielcy pisarze obszaru języka niemieckiego mieli obsesję na punkcie Polski. Czy przekonanie Koprowskiego należy tylko do śmiałych twierdzeń, które szybko zyskują sobie powodzenie? Chyba nie, jeżeli przez „obsesję" rozumieć będziemy nie objawy psychonerwic, polegających na myślach i czynnościach natrętnych, narzucających się uporczywie, chociaż uważa się je za niesłuszne i niepotrzebne, zamkniętych w ramach dręczących wątpliwości i obaw. W „obsesji" Koprowskiego kryje się objaw silnego odczuwania przymusu interesowania się niepowtarzalnym zjawiskiem, jakim jest kraj na pograniczu Wschodu i Zachodu. Pogląd ten dotyczy głównie naszych dziejów do wieku XIX włącznie. Właśnie ten okres stał się impulsem do wspaniałego wystąpienia Tomasza Manna w roku 1927, który w swoim przemówieniu w czasie uroczystości PEN-Clubu w Warszawie powiedział: „Polacy! Nie chcę zagubić się w romantycznych skojarzeniach, które rozkwitają przy tym imieniu u każdego Europejczyka, a więc także i u Niemca; budzą wyobrażenia o dziejowych cierpieniach, o dumie, o umiłowaniu wolności i rycerskości". *)

Obok Manna występuje cały szereg starszych jego kolegów po piórze, których znamy jako przyjaciół Polski: Lenau, Schwab, Grun, Mosen, Chamisso, Geibel, Platen, Herwegh, Hebel, Holtei, Keller, Laube i wielu, wielu innych, mniej znanych. „Nawet Grillparzer", jak pisze znakomity germanista polski, Jan Chodera, w swojej wnikliwej rozprawie („Die deutsche Polenliteratur — 1918—1939". Poznań 1966) „który z powodu swoich idei o państwie Habsburgów nie był zbyt pozytywnie ustosunkowany do Słowian, to jednak dla Polski sięgnął po pióro. (Warszawa)". *) Przyjrzyjmy się bliżej grillparzerowskiej „obsesji" na punkcie Polski.

Wiersz pt. „Warszawa" służy zwykle za niezłomny dowód przyjaznego stosunku Grillparzera do Polski. W porównaniu z wypowiedziami pisarza dotyczącymi Czechów są jego uwagi o naszych przodkach bardziej skąpe, jednakże za to korzystniejsze. Do Czechów odnosił się nawet wrogo, gardził czeskim charakterem narodowym. Uznawał tylko tych, którzy zaprzedali się poddańczo Austrii, którzy nie zdradzali narodowych cech, którzy prowadzili trzeźwy i prozaiczny żywot bez narodowych potrzeb kulturalnych, którzy stanowili gotowy produkt germanizacji po odrzuceniu wszelkich uczuć przynależności do Słowian — zachowując zarazem cechy człowieka pracowitego, ale jednocześnie podstępnego i nieszczerego.

Zupełnie inaczej pisze Grillparzer o Polakach w wierszu „Warszawa" utrzymanym w tonie dramatycznym z silnymi akcentami lirycznymi, który jednak nie jest w całości poświęcony sprawom polskim, jak by na to wskazywał tytuł. Z 32 strof 3 zajmują się Grecją, 5 Francją, 6 skłonnością Anglików do kramarzenia, 1 deklaracjami Niemiec o wolności dyktowanymi praktycznym usposobieniem w atmosferze posłuszeństwa pogrążonego w dobrobycie, 7 metternichowską Austrią, 4 strusią polityką i obrzydliwym mizdrzeniem się Prus do Rosji, 1 brutalną przemocą Rosji i dwie ostatnie wezwaniem do walki o wolność, która musi w końcu zapanować. Polsce poświęca autor tylko trzy pierwsze strofy. Pisze w nich o bohaterstwie, o powstańczej Warszawie pełnej sławy, która jest ostatnią przystanią prawdziwej wolności. Pisarz współczuje szlachetnym szaleńcom, którzy się łudzą, że Europa przyjdzie im z pomocą. Racja stanu poszczególnych państw spowodowała, że Europa straciła poczucie sprawiedliwości; nie udzieliła pomocy, powstanie zostało zgniecione.

Wiersz Grillparzera wyrasta z atmosfery nienawiści autora do Rosji, gniewu, jakim darzył metternichowską Austrię, głębokiej niechęci do Prus. Pisarz uważał Polskę za bufor przeciw rosyjskiemu barbarzyństwu, Francję za kolebkę zachodniej cywilizacji. Polskę uznał za ostatni, stracony przyczółek, który leży w środku między „antykulturą" Rosji, a zdyscyplinowanymi Prusami. W Rosji dostrzega ogromną przepaść między inteligencją, a szerokimi rzeszami narodu. Zdaniem pisarza fakt ten nie da się utrzymać i dlatego rewolucja w Rosji jest nieunikniona. Warto zaznaczyć, że wypowiedź ta pochodzi z roku 1855.

W ogólności przepowiadał Grillparzer Słowianom przodującą rolę w Europie. Pojawi się ona jako skutek źródła cierpliwości, która cechuje Słowian. W cierpliwości tej dostrzegał potężne siły nie mające nic wspólnego z biernością nacechowaną rezygnacją.

Nowela „Klasztor pod Sandomierzem" (1828) jest drugim dziełem Grillparzera o tematyce polskiej. Utwór powstał jednak w dużym pośpiechu (Schreyvogel zamówił pilnie nowelę do swego pisma „Aglaja", ponieważ nie dostarczono mu na czas innego, uprzednio zamówionego materiału; utwór Grillparzera miał tę lukę wypełnić). Zapewne stąd wywodzi się silna koncentracja autora na akcji. Kreślenie konsekwentnej charakterystyki ustępuje zdecydowanie. Dotyczy to głównie osoby hr. Starszeńskiego, którego cechy tchórzostwa, jakie wykazuje bohater pod koniec dzieła, nie dadzą się pogodzić z cechami polskiego szlachcica. Dodajmy, że podobnie chybione jest obrazowanie charakteru w dramacie G. Hauptmanna pt. „Elga", którego temat zaczerpnięty został z noweli Grillparzera. Tytułowa bohaterka po zamordowaniu swego kochanka, Ogińskiego, mówi do męża:

— Nienawidzę cię. Pluję ci w twarz. *)

Wyznanie to wystarczyło, aby Starszeński się zupełnie załamał i... wstąpił do klasztoru.

Hrabia u obu pisarzy ma charakter wybitnie bierny. Sądzić należy, że Grillparzera interesował przede wszystkim sam temat, co znajduje zresztą pewne potwierdzenie we wstępie noweli, w którym pisarz mówi, że dwaj niemieccy rycerze są głęboko zaskoczeni losem Starszeńskiego, jego przeżycia są dla nich zupełnie obce i niezwykłe. W ten sposób, przynajmniej teoretycznie, zamierzał Grillparzer wypełnić definicję Goethego o noweli.

Pod koniec życia pisarz jeszcze dwukrotnie wspomina o Polakach. W obliczu wyraźnych dążeń wolnościowych Polaków na terenach zagarniętych przez Austrię pisze Grillparzer 12 września 1871 roku do Foglara: „Polaków i Czechów nigdy się nie zadowoli. Im więcej im się daje, tym więcej żądają. (...) Potrzebujemy na 5 lat Bismarcka — on by się z nimi już uporał!" *)

W przeddzień zakończenia swego 81 lat trwającego żywota, 20 stycznia 1872 roku, opowiadał: „Śniło mi się, że naprzeciw mnie siedziało kilku polskich parlamentarzystów i kłóciłem się z nimi porządnie". *)

Z obydwu wypowiedzi wyłania się jego z czasem pogłębiająca się zgorzkniałość, która miała swoje źródła we wczesnej utracie ojca, samobójstwie matki i brata, nie uregulowanym życiu rodzinnym własnym, zahamowaniach w życiu miłosnym, patologicznym stosunku do „wiecznej narzeczonej", Katarzyny Frohlich, poznanej już w 1821 roku; zarówno z nią jak i bez niej było mu źle, ale pozostała mu wierna aż do śmierci, w ogłupiającej monotonii pracy urzędniczej, w długotrwałym braku zainteresowania się jego twórczością dramaturgiczną, w skłonnościach do depresji i szukania samotności.

*) Przekład autora artykułu.

RYSZARD BINKOWSKI

Drzewko śpiewa narodziny

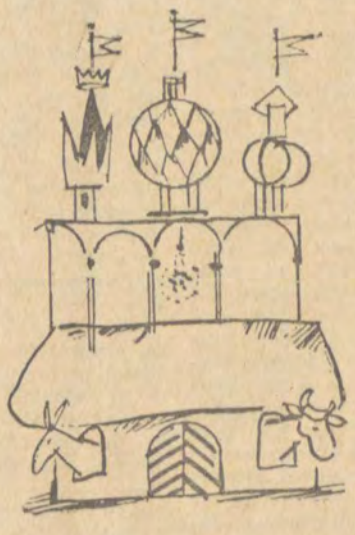

W sadach, w polu, na drogach grudzień iskrzy się niebiesko. Dzień się kurczy w białej poszwie zimy, przeto wcześnie sypie chłodnym mrokiem. Ze stojącej w niebokresie ciemnej wody lasu pełźnie siwy wieczór. A na jego grzbiecie jedzie do wsi wigilijne drzewko.

Sczerwieniałe w mrozie i wietrze dłonie chłopaków chyłkiem niosą je przez zastodola, bo drzewko częstokroć kradzione. Z zastodola jeden skok na gliniaste boisko, a stąd drugi w sienne, żytnie zapole.

Tam też leży drzewko i śpiewa leśną piosenkę trzeszczącemu sianu, prostującej się słomie. A w żółtym oku uciętej brązowej nogi kwitnie kropla bursztynku. Pachnie terpentyną. W tym zapachu idzie śmierć świerczka, jedliny. Przeto drzewko nie czuje, nie widzi wstępującej w obejścia Wigilii.

A tam przez szroniaste opłotki sypie się woń tartego maku, pieprzu, cynamonu. A w podwórzach śnieg w szkarłacie, dymi mięso pod nożami, siekierami. Ta tarka bucha kłębem pary. Wyciąg nięte z gnoju szczeciniaste cielska wchodzą w czerwone, nabite czosnkiem kiełbasy, w czarne kaszanki. Na sprzedaż zaś wędlinki bywają chrzczone wodą studzienną. Dla wagi.

Rzeźnik pije gorzałkę. Gospodarze wiedzą. A gdy któryś zapomni, mistrz mu sypnie w wyroby garstkę proszku białego. Biesiadnicy po tym proszku wynawożą obejście jak trzeba. W świnobicie jest i radość dla piesków. W zastodołach pod budami wiją się z psich pysków sine węże jelit. Jałowiec, rdzawe szczapy olchowe biją dymem wędzonkowym, kadzidelnym, na ofiarę ludziom.

Tu i ówdzie w dzień Wigilii wypatrują gości. Bo przy cielnej krowie chłop przyniesie byczka, kobieta jałówkę. Dzieci gnają w zastodola, na drogę. Lunty w ten dzień przed narodzinami grożą bowiem całorocznym wytrzaskaniem!

A drzewko wigilijne, które dotąd leży martwo, gotuje się na zmartwychwstanie. Jakoż jego woń iglastą zwietrzyły zasypane sianem i plewą jabłuszka. Przeto wiercą się i turlają zwolna ku świerkowym ramionom.

A w nagrzanych izbach nadymają się dzieże pod piecami, miednice pod kaczym, gęsim pierzem. Pachnące makiem, wanilią dłonie wyciągają żółte ciasto na błyszczące tłuszczem brytfanny, na chlebowe deski. Skaczą w sabatnikach pogrzebacze, szczotki drucianе wyrzucają popiół. Ciasto idzie zwolna w pachnący, złoty kasztan. Ale sabatników mało, jako że nad naszą wsią dyszy wielkie miasto. Inna moda w nowych domach. A idący do pracy w mieście przynoszą pod strzechę z tej wędrówki cukierniczy wypiek. Coś się kończy...

Dziecięce ręce ciągną drzewko za zielone skrzydła. Za tym drzewkiem skaczą w kieszeń, w podołki czerwone, złote jabłuszka zimowe. Przed sienią otrząsa się drzewko z resztki śniegu, z przewiędłego latowego włosa. Wchodzi w zapach gruszek, śliwek i grzybów, i pływającej w tłuszczu ryby. Tam tłuściutki karp, śledź bałtycki, nawet ryba z gorącego morza. A o złotym karasiu i o srebrnym bąku, kradzionych z dawnego dziedzicowego stawu, szemrze stary las.

Ucięta brązowa noga wskakuje w oko dębowego krzyżaka. I wigilijne drzewko już się stroi w srebrny włos anielski. A na jego szczycie świeci gwiazda nowego dnia powszedniego. W tę iglastą

zieleń wchodzą kugle wyciągnięte z majowej tęczy. Tulą się do nich pachnące latem złote, szare renety, malinówki całe w purpurze. Świecą im do blasku kolorowe szklane lampki. Migocą aż do stopnienia złote, srebrne cukierki. Chwiejny płomyk świeczki i kradzione kocio w nocy słodycze idą w stary las.

Mało kto wychodzi z izby, by wypatrzeć w ciemnym niebie wigilijną gwiazdę. W kawałkach opłatka z rąk do ust wędruje życzenie zdrowia, szczęścia, pomyślnego ukończenia nauki, zielonej „syrenki", szóstki w toto-lotku. A życzenia, by nam chleba powszedniego nie brakło, by nas ogień, głód nie naszedł, zwolna przygasają. Odchodzą też ze stołu żurki, barszczyki, pierożki z kapustą, grzybami, i kluski z makiem, kasza ze śliwkami, groch z kapustą. Ano, prościej, szybciej się żyje.

I ucieka onegdajszy postny wieczór. Przeto w starych chatach trzeszczy jeszcze siano pod lnianym obrusem. A w tych nowych domach na stołowym plastiku skacze półbas księżycówki.

Drzewko śpiewa narodziny radości w dziecięcych oczach. W jego srebrnym, zielonym cieniu leżą łyżwy, narty, bębenkowe colty, tranzystorki. Przynieśli je ojcowie z pyłu tkalni, przędzalni, z wielkiej budowy. A Święty Mikołaj tudzież Dziadek Mróz utknęli w zaspie, w starym lesie.

Drzewko śpiewa kolędę. Wtóruje mu skrzynka z zielonym okiem i kolorowe „No to co" na szklanym ekranie. Poszarpany jęk strun gitarowych głuszy dawne pastuszkowe flety i skrzypce. I biją gitary w ściany oborek, za którymi poniektóry dziadek daje przeznaczony tylko krowom różowy opłatek. Sypie też sól na języki. I daremno słuchać ludzkiej mowy w krowich pyskach. W żłobach bowiem sypie się cicho owies, przeży siano w drabinkach.

A już w gwiezdne niebo biją wysokie dzwony. Z drewnianej ambony lecą dziś ciepłe słowa. A wokół siennego żłobu mało kornie pochylone głowy, bo pasterka bogata przy ubogich narodzinach. Ta pasterka w nylonie, anilanie, elanie, w sobolowym futrze, a pod bita lśniącą skórą, wysokim obcasem.

Pasterkuje nasza wieś w elektrycznym świetle, bez zapachu skwierczącego wosku. Słucha też kazania z rozmieszczonych na ścianach i cmentarnych drzewach głośników.

W tym czasie nad snem dzieci czuwa wigilijne drzewko. Idą z niego w sen dziecięcy leśne ptaki i zwierzęta.

A nazajutrz drzewko śpiewa gościom z tej miastowej ziemi obiecanej. Patrzą goście i poprzez zielone skrzydła widzą swe pastusze dzieciństwo. A widzą pod tym drzewkiem trepy z pierwszej zimy, podbite wyślizganym drutem. Nie łyżwy... I mają w pamięci pierwsze, drugie we wsi wieczne pióro na gumkę. I czują w smaku chude dzwonko śledzia, toczonego w męce, spieczonego w oleju.

Ci, odeszli w miasto wieśniacy śpiewają pod drzewkiem piosenki z giełdy telewizyjnej, a tańczą przy big beacie z adapteru. A piosenki o kalinie, o dziewczynie, co nie ma chałupy, o tych siwych wołkach hukną już po wielu butlach księżycówki. Przez łzy...

Basetla, skrzypki, bębenek z trójkątem grają w starym lesie.

Stoi teraz choinka przez kilka dni opuszczona przez ludzi. Ale w dzień Sylwestra przemknie pod nią staruszek z zapiecka, a popędzi go figlarny skrzacik. Jękną dzwony, drzewko zaś zaśpiewa na rodziny Nowego Roku.

A w kilka dni potem przejdą z dala od wsi królowie. Idą cicho, ale sypią jeszcze mocno blaskiem ze swych koron. Przeto drzewku

brązowieją igiełki i sypią się cicho w ramiona dębowego krzyżaka. Drzewko obumiera.

Odzierają je ze srebrnego włosa, z gwiazdy, z kugli całych w tęczy. Wyrzucają w śnieżne zastodole.

Wpadają w to drzewko gile, sikorki, wytrząsają resztę brązowych igieł.

Niekiedy zlituje się nad zmarłą choinką wycugowy dziadek. Tchnie w nią ducha, bo kozikiem wytnie z świerczka zgrabny koźlaczek, który zatańczy oberka w rękach gospodyni. Zmiesza, zbełta kiszony z żytniej mąki barszcz.

A miesiące styczeń, luty sypną śniegiem i zasypią ten brązowy, iglasty ślad. Po nich przyjdzie nowy wieczór siwobrody i przyniesie nowe drzewko śpiewające narodziny.

POLONICA

NOWY NUMER „MICKIEWICZ-BLEATTER"

Ukazał się nowy numer kwartalnika „Mickiewicz-Bleatter", wydawanego od 1956 r. w Heidelbergu pod red. dr Hermanna Buddensiega. Obecny numer, liczący 96 stron druku, zawiera wiele ciekawych materiałów, m. in. artykuł Georga W. Strobla pt. „Adama Mickiewicza podróż przez Niemcy", Ludmiły Sługockiej „Fryderyk Chopin w niemieckiej liryce", Karola Musioła „Chłopi" Władysława Reymonta" (przyczynek do historii tłumaczenia dzieła Reymonta na niemiecki), Stanisława Pigonia „Pochwała Biblioteki Jagiellońskiej" i Kazimierza Wyki „Faust w ruinach". Numeru dopełniają przekłady wierszy Mickiewicza, utwory Cypriana Norwida, sprawozdanie Hermanna Buddensiega z podróży do Polski z racji przyznania mu przez Uniwersytet Poznański doktoratu honoris causa oraz przekłady wierszy litewskich, bułgarskich i kronika.

O „MEDALIONACH" Z. NAŁKOWSKIEJ

W roku ubiegłym wydawnictwo Suhrkamp jako tom 215 swej biblioteczki wybitnych dzieł literatury powojennej wydało „Medaliony" Z. Nałkowskiej. Książka ta odbiła się pozytywnym echem w Austrii. Recenzję m. in. zamieścił najpoważniejszy austriacki miesięcznik literacki „Literatur und Kritik" (1969, nr 39). Jej autor, F. Haderer, kończy omówienie znanego zbioru opowiadań obozowych następującym stwierdzeniem: „Z książki Nałkowskiej płynie wartość autentyczności faktów i informacji. Staje się ona cichym protestem przeciwko brakowi humanizmu wszech czasów. W takim sensie dociera ona do księgarń ani za wcześnie, ani za późno".

(er)

POLONICA

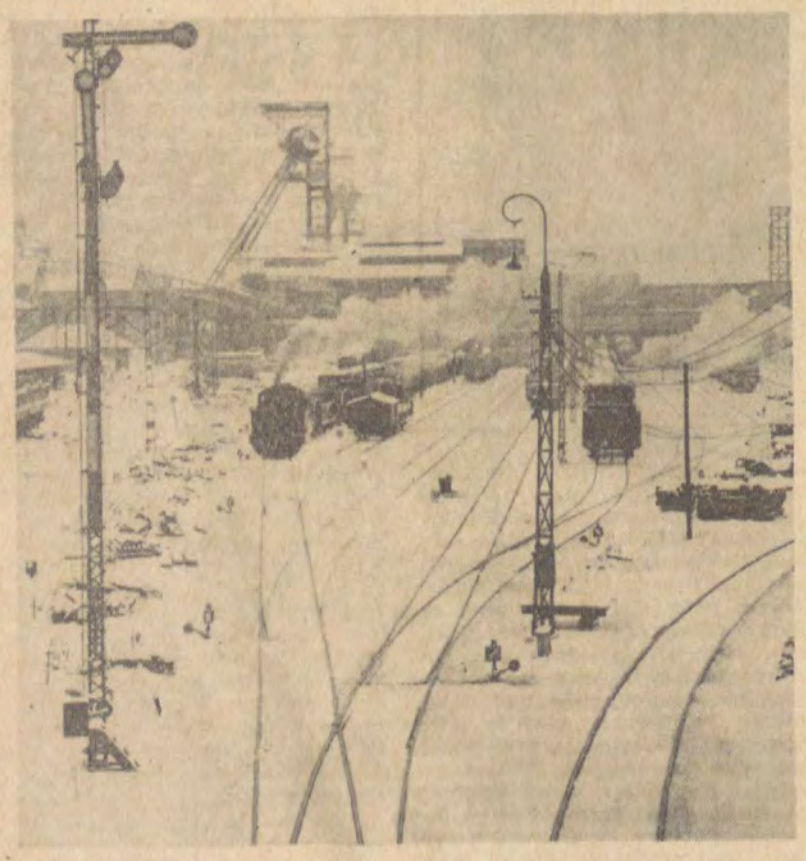

EUGENIUSZ IWANICKI

Katastrofy nie będzie

Na tej trasie jeżdżę od kilku lat. Znam wszystkie mijane przystanki i setki osób, które dojeżdżają wraz ze mną porannym pociągiem do Łodzi. W ciągu półgodzinnej jazdy mam okazję porozmawiać z kolegą lekarzem pracującym w szpitalu MSW albo podyskutować z pracownikiem Uniwersalu na temat spadku ŁKS do trzeciej ligi. Zresztą, w czasie sportowych dyskusji przyłącza się zazwyczaj stary kolejarz ze Zduńskiej Woli, a później, od Pabianic, księgowy, nazywany przez nas „Bilansem". Przez te długie lata zdążyłem dość dokładnie poznać życiorysy wielu pasażerów i dziś bezbłędnie mogę powiedzieć, że ten a ten ożenił się, że powolna i zawsze zamyślona szatynka ma już dwoje dzieci lub że ekonomiście z Dobronia umarła niedawno żona. Zresztą pociągi podmiejskie posiadają swoje pewne, co prawda niepisane, zwyczaje skrupulatnie przestrzegane przez starych pasażerów. Wiadomo więc, kogo można spotkać w pierwszym wagonie, kogo w wagonie dla niepalących, a kogo w ostatnim. Każdy ma mniej więcej określone miejsce, swoich znajomych, którzy dosiadają w czasie jazdy i swój własny zwyczaj jazdy: przodem lub tyłem do kierunku biegu pociągu. Jeżeli trafi się jakiś przypadkowy pasażer, nie znający ustalonych zwyczajów, cały wypracowany od lat system ulega gwałtownemu zburzeniu i atmosfera w czasie jazdy jest mocno napięta. Tak bywa, gdy rano wsiadam w Łasku do żółto-niebieskiego składu, jak nazywają kolejarze podmiejskie pociągi.

Natomiast powrót odbywa się w sposób mniej zorganizowany, panuje bowiem całkowita dowolność w wyborze miejsca i w wyborze towarzyszy podróży.

Chcę właśnie opowiedzieć pewne zdarzenie, w którym mimowolnie brałem udział, gdy wypadło mi wracać bardzo późnym pociągiem, bodajże ostatnim, jaki odchodzi w kierunku mojego miasta.

Peron był zupełnie pusty. W jaskrawym świetle jarzeniówek pociąg przypominał przyczajoną bestię. Nie zauważyłem, by ktoś już siedział wewnątrz, chociaż do odjazdu pozostało zaledwie parę minut. Usiadłem w pustym wagonie, zimnym i nieprzytulnym, myśląc, że pociąg bez pasażerów jest całkowitym absurdem. Potem wyglądałem przez okno, aż ujrzałem dyżurnego ruchu i obsługę pociągu. Ha-

POLONICA

POLSKIE SPRAWY W CSRS

Jak doniosła prasa naszego południowego sąsiada, Pragę i Bratysławę odwiedziła delegacja pisarzy polskich, którzy podpisali umowę o współpracy i wymianie kulturalnej ze Związkiem Pisarzy czeskich i słowackich.

Podpisane zostało także porozumienie o współpracy telewizyjnej między Polską a CSRS. Na jego mocy telewizja CSRS udzieli pomocy ekipie polskich filmowców, którzy nakręcą film o słowackim powstaniu narodowym. Ze swej strony telewizja polska przygotowuje dla widza czeskiego film o naszych Ziemiach Zachodnich i Północnych. Zdecydowana została także sprawa Dni Telewizji Polskiej w CSRS oraz Dni Telewizji Czechosłowackiej w PRL.

„HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ"

Z inicjatywy Akademii Nauk ZSRR ukazała się w języku rosyjskim pomnikowa publikacja pt. „Historia literatury polskiej", pierwsze tak szerokie opracowanie dziejów piśmiennictwa polskiego w Związku Radzieckim.

Tom, który się właśnie ukazał, obejmuje dzieje naszej literatury aż po wiek dwudziesty. Szkice napisane są z dużym znawstwem przedmiotu, wolne od schematów i uproszczeń. Ich autorami są m. in. A. Lipatow, B. Stachiejew, J. Bielowa, L. Razumowskaja.

Następny tom przyniesie obraz współczesnej literatury polskiej.

K. F.

POLONICA

KAROL BADZIAK

FANTAŚCI

Fantaści! Bardzo ich lubię. Są przede wszystkim sympatyczni i szalenie... fantastyczni! Niewielu ich co prawda, ale swymi dziwacznymi pomysłami upoetyczniają naszą skrupulatnie posegregowaną w gregoriańskim kalendarzu codzienność. Ich pomysły są z reguły nieszkodliwe, ale zawsze na pewno zabawne. My, dziennikarze, spotykamy się z nimi może częściej niż inni. Fantaści bowiem lubią odwiedzać redakcje. Coś ich widocznie ciągnie do prasy. Może jakieś tajemne powinowactwo. Trudno to bliżej wyjaśnić, zresztą czy koniecznie trzeba wszystko do końca wiedzieć? Jakiś margines na domysł, na wątpliwość jest potrzebny. Wzbogaca życie duchowe naszych drogich czytelników, o których niezmiernie dbamy, choć może niezbyt ich rozpieszczamy.

Parę miesięcy temu odwiedził naszą redakcję młodzieniec z brodą jak Mojżesz. Z wyglądu ni to hippies ni to wydra. Robił wrażenie. Zażądał widzenia z redaktorem naczelnym. Szefa mamy dzielnego, wąsatego, choć postawy mikrej jak pan Wołodyjowski. Młody człowiek oświadczył skromnie, iż jest bardzo utalentowany, wybitnie zdolny, prawdopodobnie do wszystkiego, posiada ukończone dwa fakultety, przyjechał z Krakowa i chętnie by swymi utworami wypełnił łamy „Odgłosów". Potrzebuje tylko pióra, papieru i zaraz siada i pisze. Kufel piwa też by się zdał. Temat jest obojętny, on może o wszystkim. Wiedzę posiada rozległą jak Wisła w czasie powodzi.

Szef nasz, człowiek życiowo doświadczony, nie powiem, nie uległ panice, ale był mocno skonsternowany. W końcu naszą redakcję często odwiedzają ludzie zdolni i utalentowani, ale geniusz zdarza się rzadko. Cóż, może to z naszej strony podłe i nikczemne, ale skierowaliśmy go do telewizji. Nie, właściwie to postąpiliśmy chyba wielkodusznie.

W ogóle, do osób które chcą nam pomóc przy redagowaniu pisma lub przychodzą ze wspaniałymi pomysłami mamy stosunek serdeczny i pełen życzliwości. Na szczególne wyróżnienie zasługuje tu redaktor Jerzy Wilmański znany z wielkiej dobroci serca. Przyszedł do niego niedawno człowiek z pomysłem zaoszczędzenia wody w naszym mieście. Otóż przy pociąganiu za sznurek w toalecie sporo wody marnuje się niepotrzebnie. Człowiek ten wiele lat nad tym ubolewał, wreszcie wymyślił przycisk regulujący przypływ wody. Przyszedł do redaktora Wilmańskiego i w wielkim zaufaniu mu o tym powiedział, Wilmański wziął go za rękę, zaprowadził do toalety i pokazał, że coś podobnego już istnieje. Wynalazca był niepocieszony. Rozpłakał się z rozpaczy, iż jego wieloletni trud okazał się daremny. Wilmański rozpłakał się razem z nim. Rzeczywiście smutna sprawa. Człowiek ten naprawdę nie wiedział, że już istnieje podobny przycisk do regulowania wody.

Stosunek do tego typu ludzi jest kwestią faktycznie bardzo delikatną. Są oni zazwyczaj wypełnieni dobrymi chęciami i właściwie są normalni, tylko że bezbrzeżnie naiwni, wymyślają proch na nowo. To nie są ani kanciarze, ani wariaci, po prostu osobnicy ogarnięci idee fixe. Rzecz ciekawa, wszelkiego autoramentu szalbierze omijają redakcję.

W swej praktyce miałem tylko jeden taki wypadek. Parę lat temu przyszedł do redakcji dziwny facet, dziwnie ubrany, dziwne rzeczy mówił. Był prawie obdarty, a twierdził, że jest wyjątkowo bogaty, dostał spadek z Ameryki. Spojrzałem na jego ubiór. Wyjaśnił mi, że się w ten sposób maskuje przed krewnymi.

— Jaką ma pan sprawę do mnie? — zapytałem.

— Nic nie chcę — odrzekł.

Przyszedł, żeby mnie zobaczyć, gdyż postanowił ofiarować mi 100 tys. zł. Oświadczyłem, że jestem tym mile zaskoczony, ale do tej pory pieniądze otrzymywałem zwykle za pracę. Zaproponowałem mu „dziesiątkę" na piwo, sądząc, że chce a conto tych 100 tysięcy wyłudzić parę groszy. Nie przyjął. Poszedł zostawiając mnie z nadzieją, że za tydzień otrzymam przekaz z okrągłą sumką. Minęło od tamtego czasu sporo lat a ja forsy nie otrzymałem. Nie wiem zupełnie o co mu chodziło. I nigdy się zapewne nie dowiem.

Chodził niegdyś po redakcjach dziwak, który miał pomysł oświetlenia ponurych łódzkich podwórek położonych wśród czynszowych kamienic. Pomysł był prosty. Namawiał ludzi do zakładania luster na dachach. Ustawione pod pewnym kątem odbijałyby światło słoneczne i oświetlały ciemne „studnie". Niestety, nikt nie chciał go usłuchać. Umarł ze zgryzoty w zapomnieniu. Nawet ja zapomniałem jego nazwiska.

Lubię ludzi z takimi pomysłami. Oni po prostu poza tymi pomysłami nic nie mają. Otrzymałem kiedyś list od człowieka, który wpadł na kapitalny pomysł pokrycia wszystkich dachów czerwoną dachówką. „Dachy pokryte smołą cuchną — pisał do mnie — oby watele miasta smarować muszą co rok, a smoły tej zapach czuć jak jakiś atom. Powietrze jest tutaj złe i malaryczne i wszyscy tym powietrzem oddychają. I tak się nieraz zastanawiam czy by nie można było z budynków naszych miast wielkiej bogatej Łodzi i Pabianic zerwać z dachów czarną, smołowaną papę, a pokryć glinianą wypaloną dachówką".

I ja uważam, że można. Wszystko można. Co najciekawsze ludzi z tego rodzaju pomysłami jest więcej niż się domyślamy. Właściwie przyznajmy się szczerze, każdy z nas miał w swoim życiu jakiś pomysł, który wydał mu się genialny. Ja sam kiedy swego czasu, wstrzymano na Piotrkowskiej ruch kołowy i wprowadzono w sobotę promenadę, proponowałem, ażeby koncepcję tę rozwinąć szerzej, w miejsce ulic zbudować kanały, wpuścić wodę, na wodę spuścić gondole i stworzyć z Łodzi Wenecję. Nikt wówczas tego pomysłu poważnie nie rozpatrzył. A szkoda. Nazwa miasta wtedy by się racjonalnie tłumaczyła i komunikacja miejska zostałaby rozwiązana tanim kosztem. Transport wodny jak wiadomo jest przecież najtańszy.

Do ludzi z fantastycznymi pomysłami jesteśmy za bardzo uprzedzeni. Jak takiego spotkamy na swej drodze, zaraz uważamy, że jest wariatem, albo, że chce z nas zrobić balona. Tymczasem i głupiec umie wymyślić coś mądrego, a i mądry potrafi palnąć głupstwo. Różnica tylko w częstotliwości.

Na przykład co sądzić o takim wydarzeniu. W przedziale pociągu jadącego do Warszawy siedzi grupa osób. Czytają „Głos Robotniczy". W pewnej chwili zaczyna się dyskusja na temat umieszczonego w gazecie artykułu. Podróżni z uznaniem wyrażają się o autorce. Przypadek sprawił, że autorka znajduje się w tym samym przedziale. Siedzi skromnie w kąciku i miód jej spływa po sercu. Ale oto w pewnym momencie wstaje jedna z pań, rumieni się, kryguje i powiada nieśmiało: „Bardzo państwu dziękuję za uznanie, bo to ja właśnie jestem Halina Batorowicz".

Trzeba znać Halinę, ażeby sobie wyobrazić co się działo w duszy prawdziwej Batorowicz. Siedziała jednak cicho i czekała co będzie dalej. A dalej samozwańcza Batorowicz zachęcana pytaniami zaczęła opowiadać o pracy w redakcji, o swoich kolegach, o warsztacie dziennikarskim. Swój koncert skończyła dopiero na Dworcu Centralnym stolicy. Wygłosiła tyle bzdur, że prawdziwą Batorowicz prawie sparaliżowało, niemniej wstała i podziękowała dublerce, pokazując przy tym współpodróżnym swoją legitymację służbową. Dublerka dostała szoku, uciekła w popłochu z pociągu.

Ale, ale. Czy można jej to mieć za złe? Była podróżną, a udawała dziennikarkę. A jak Halina Batorowicz jest dziennikarką, a podszywała się cały czas pod podróżną, to to było w porządku?

łaśliwie rozmawiając wyszli z budki mieszczącej się na końcu peronu. Dyżurny skinął ręką i powoli ruszyliśmy.

Pociąg nabierał biegu. Pozostały za nami czerwone ognie na kominach Elektrociepłowni, budka kontrolna na rozjeździe w Retkini i wpadliśmy w czerń rozciągającej się nocy.

Zamierzałem zabrać się do czytania, gdy otworzyły się rozsuwane drzwi i pojawił się w nich człowiek. Był to smukły, szpakowaty mężczyzna, wyglądający na lat czterdzieści. Starannie ogolona twarz, sztywny kołnierzyk i nienagannie zaprasowane spodnie świadczyły o skłonności do pedanterii, która w tych warunkach robiła wrażenie. Ale najdziwniejsze były oczy: ogromne, szare, prawie nieruchome. Ten człowiek nie mrugał, nie patrzył na strony, ale z natarczywością i uporem wpatrywał się we mnie, jakby na mej twarzy dostrzegł coś wyjątkowo intrygującego. Szybko, zachowując jednak ostrożność, usiadł naprzeciw mnie i powiedział z naciskiem:

— Wierzy pan, że ten pociąg dojedzie do celu?

Zaskoczyło mnie to. Dlaczego ma nie dojechać? Dotychczas wszystkie pociągi przyjeżdżały do swych stacji przeznaczenia.

— A pan jest innego zdania? — zapytałem.

Nieznajomy uśmiechnął się. W jego uśmiechu była przebiegłość.

— Czy zauważył pan, że pociąg jest zupełnie pusty? Tak, zupełnie pusty. To ma swoją przyczynę, powiedziałbym, zasadniczą. Ten pociąg jest skazany na zagładę. Przykro mi, że podzieli pan mój los, ale planując katastrofę nie mogłem przewidzieć, że pan zechce jechać o tej porze.

— Pan chyba zwariował! — zawołałem, wciskając się mimowolnie w kąt kanapy.

— Może pan to i tak nazwać, ale to w niczym nie zmieni pańskiej sytuacji. Poodkręcałem koła w wagonach zostawiając jedynie nieliczne śruby. Na skutek wstrząsów i kołysania po kilkunastu kilometrach zostaną rozerwane. Obliczyłem, że nastąpi to mniej więcej przed Pabianicami, na wprost ogródków działkowych. O, czuje pan? Te podrzuty to moja zasługa. Ale jeszcze jest czas, nie minęliśmy Lublinka, więc możemy spokojnie porozmawiać.

Poczułem się nieswojo. Pomimo absurdalności wywodów nieznajomego, zaczynałem nagle wierzyć, że przecież mógł coś zrobić, co spowoduje katastrofę. Może więc pobiec do maszynisty? Lecz jak dostać się do pierwszego składu? Pędziliśmy przez noc, za oknami leżała czerń i żadne światło nie wskazywało, że mijamy stojące samotnie domy i wsie schowane gdzieś za horyzontem. Rozważałem nawet możliwość bezpośredniego ataku ze strony nieznajomego. Obliczyłem każdy ruch i uniki, jakie będę musiał zastosować. W ciszę, przerywaną skwierczeniem niedokręconej świetlówki, coraz silniej wdzierał się stukot kół. Chwilami miałem wrażenie, że pędzimy w jakimś nierzeczywistym wymiarze, że na całej planecie pozostało nas dwóch: ja i on, człowiek o nieruchomych oczach.

W Lublinku pociąg stał zaledwie kilka sekund. Gdy chciałem wstać i wyskoczyć, nieznajomy położył mi zimną dłoń na ręce i powiedział:

— Proszę nie wstawać. W tym pociągu nie otwierają się żadne drzwi. No cóż, dojedziemy razem do końca.

Zacząłem się wyrywać, nawet popchnąłem szaleńca, aż zatoczył się i upadł między kanapy, lecz nim dopadłem drzwi, pociąg ruszył.

— Mówiłem — odezwał się nieznajomy otrzepując spodnie. — W ogóle wykonujemy masę niepotrzebnych gestów, które w konsekwencji niczego nie zmieniają. Ale już niedługo. To będzie moment, jakaś setna część sekundy. Pan się boi? Rozumiem, boi się pan momentu spotkania. Ale zapewniam, od będzie się to poza pańską świadomością. Jest pan i pana nie będzie! Proste, nieprawdaż?

Nagle zgasło światło. Wagon zakołysał się mocniej i na tle ciemnej szyby ujrzałem nieruchomą sylwetkę siedzącego przede mną obłąkańca czy może ponurego kawalarza.

— Połączenie pomiędzy składami zostało przerwane — usłyszałem jego spokojny głos. — Lada moment powinniśmy się oderwać. Ma pan jakieś życzenia?

Milczałem. Słowa tego człowieka zaczęły mnie przekonywać. Teraz obliczałem szanse przeżycia katastrofy. Gdy poczuję wstrząs, rozmyślałem, zaprę się nogami w przeciwległą kanapę i schwycę się za oparcie. Może to w jakimś stopniu zabezpieczy mnie w czasie koziołkowania z nasypu. A nasyp obok pabianickich ogrodów jest bardzo wysoki. Ile razy może przekoziołkować wagon lecąc z takiej góry? Pięć, dziesięć?

— Powinniśmy się przedstawić i jak na dobrze wychowanych ludzi przystało, pożegnać. To są ostatnie minuty!

Ale oto stała się rzecz nie przewidziana w obliczeniach mojego przypadkowego towarzysza podróży: jarzeniówki zapłonęły pod sufitem i od razu zrobiło się jakoś bezpieczniej. Na twarzy nieznajomego odmalowało się niekłamane zdziwienie. Zaczął się niespokojnie kręcić, pobiegł do drzwi, potem znikł na moment w drugim wagonie, wrócił, klęknął na podłodze i przyłożywszy ucho, jakiś czas nasłuchiwał, w końcu wrócił na swoje miejsce. Właśnie mijaliśmy ogródki działkowe. Instynktownie podkurczyłem nogi. Czekaliśmy w milczeniu. Lecz pociąg minął przejazd, młyn i wtoczył się na oświetlone perony Pabianic.

Na peronie był znaczny ruch, grupki ludzi dopadły wagonów, kolejarze biegli w różne strony, a kilku milicjantów stało obok oświetlonego zegara.

Do naszego wagonu z obu stron wkroczyli mężczyźni i podeszli do nieznajomego. Jego oczy nadal były nieruchome, jedynie drżenie rąk wskazywało na niezwykłe podniecenie.

— Jak się jechało, panie Suchocki? — zapytał łysy z bródką w klin.

Nieznajomy milczał i wpatrywał się we mnie.

No, chodźmy już, chodźmy. Katastrofy tym razem nie będzie. Popełnił pan błąd w obliczeniach, panie Suchocki. Musi pan jeszcze popracować nad swoją teorią. A teraz pora spać. Trzeba dobrze wypocząć przed następną podróżą.

Nieznajomy potulnie wstał i w asyście dwu mężczyzn wyszedł na peron. Człowiek z bródką w klin zwrócił się do mnie:

— Mam nadzieję, że pana nie skrzywdził. Właściwie jest to nieszkodliwy przypadek autyzmu, jednakże musimy nad nim czuwać. Zapewniam pana, katastrofy nie będzie.

Za parę minut pociąg ruszył w dalszą drogę.

ANDRZEJ BISKUPSKI

Rzecz o istnieniu

ZBIGNIEWOWI JERZYNIE

cóż kamieniowi
że istnieje we mnie
cóż że postoi
w przysiadaniu ptaka
cóż jemu dżdżownica
pełgająca po nim

nawet stojąc
poprawiamy stanie
w pochylaniu
jest niszczenie siebie
jakże istnieje kamień

ptak toczy okolice
przestrzeń odemknięta
dżdżownica strefę ziemi
cóż kamieniowi
że istnieje we mnie

JERZY JARMOŁOWSKI

Blues

a gdy to miasto będzie szło do nieba
tabunem płótna rozpruje ulice
a plamy potu z wszystkich starych koszul
wsiąkną w ziemię bluesem o białym mieście
białym

a gdy to miasto będzie szło do czyśćca
tampon bawełny mu wyjdzie na drogę
a z kocich łbów syreny krew wycisną
i spłynie blues o czerwonym mieście
czerwonym

a gdy to miasto będzie szło do piekła
przez kłęby przędzy supły ludzkich twarzy
na sabacie kominy-czarownice
pod niebem blues zatańczą z czarnym miastem
czarnym

a gdy to miasto będzie szło i szło
aż może kiedyś zacznie świecić grzybem
to z tego miasta wyjdą oczy dzieci
takie duże zielone spytają
dlaczego

MIECZYSŁAW KUCNER

Przewrotność

Słowa stwarzają nas. Słowa
czynią nas widzialnymi w świecie;
anioł odpowiedniości krąży
pośród rzeczy jak ślepiec.

Gorset matematyki przylega
ściśle do wyobrażeń naszych;
świat w kolejnych odsłonach
zjawia się jako opowieść
— usuwamy się z teraźniejszości
gdy chcemy przyjrzeć się słońcu

Lecz kiedy ręka lgnąca do światła
sięga po gwiazdę daleką,
zawsze ta sama przewrotność
w kolanach świta.

ZYGMUNT MARCZEWSKI

Wieczorny spacer

ANNIE J.

tak
pójdę jeszcze raz po Ciebie
sam nie wiem po co ludzie chodzą sznurem

przyniosę strach żeber
na płaszczu czapce-niewidce

tak
czekam rozsianym
w butach i w płucach
w marszu do Twych rąk

tak mi zapomnieć o ptakach
jak wyjąć z obłoku grot

wyparty na marynarkę
w lędźwiach mi przyjdzie usnąć
gdzieś

tak
czekam oparty w pół schodu
w dniach pękniętej glazury

tak
pójdę jeszcze raz po ciebie
warga ulicy sypie oschłe
wietrzne łzy

HALINA SOBCZAK-JARMOŁOWSKA

Zapiski szpitalne

LEKARCE RENI PAWŁOWSKIEJ

biel jest kolorem wesela
lub żałoby
to kwestia umowy

w tych salach
biel
oznacza czujne dłonie
sny splątane nad ranem
i jeszcze nadzieję
że nie zabrzmi szept
którym ziemię się otwiera

MIROSŁAW KUŹNIAK

★ ★ ★

oto godzina zasłuchania w siebie
nie zapisana w zegarach i niebie

godzina wieczna jak wieczny krwi szelest
a tak obecna jak bezpańskie ziele

oto godzina w którą jeśli zechcesz
wejdziesz jak w ogród mądrości odwiecznej

i północ poznasz i pół dnia przemierzysz
nim w posiadanie ogrodu uwierzysz

w ogród odwieczny jak bezpańskie ziele
a tak obecny jak krwi twojej szelest

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Minor

U kresu nocy lampart pożera jagnię
ogryziony szkielet wychyla się z ciemności
w dole mrówki wznoszą swoją budowlę
Pod każdym dachem inny ojciec czeka
na powrót marnotrawnego syna
ta sama matka wybiega na drogę

Przeklęte koło toczy się po ziemi
dokądkolwiek pójdziesz wszędzie strach umierać

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Strzał samobójczy

Adres, który zdobyłem w Łodzi, w Warszawie okazał się nieaktualny.

— Pan Deyna już tu nie mieszka — powiedziała dozorczyni pewnego domu przy ulicy Olbrachta.

— A kiedy się wyprowadził?

— Niedawno...

Poszedłem na pocztę. Odszukałem telefon klubu sportowego „Legia".

— Chciałem mówić z sekretarzem generalnym.

— A o co chodzi? — zapytał senny kobiecy głos.

— O adres Deyny.

— To niech pan dzwoni... — podała numer, którego już nie pamiętam.

Zadzwoniłem.

I dialog się powtórzył.

Ale numer za to się zmienił.

Pod automatem kłębi się niecierpliwy naród, lecz byłem twardy. Wykręciłem sześć zaczarowanych cyfr i po raz trzeci wystękałem pokornie prośbę o adres piłkarza.

— A po co panu Deyna? — zapytał jakiś mężczyzna.

— Jestem dziennikarzem i chciałem zrobić z nim wywiad.

— A skąd pan jest?

Poczułem nagle panikę. Powiem, że ze Śląska, to pomyśli, że będę go kaperował do „Ruchu", powiem, że z Łodzi, to do ŁKS, że z Poznania, to do „Warty". Chryste Panie...

— Nie podam panu adresu — powiedział mężczyzna, utwierdzony widać w swoich podejrzeniach moim długim milczeniem. — Nie wiem, kim pan jest...

Dobra. Miałem niespokojną noc. A nazajutrz przed południem pojechałem na stadion.

Na zapleczu trybuny, przed wejściem, które prowadzi do szatni, zobaczyłem Brychczego i jeszcze jakiegoś gościa. Podszedł do nich wysoki, strojnie ubrany chłopak. Nim poznałem, że to właśnie Deyna, znikł. Ruszyłem okrężną drogą na boisko, gdzie niebawem zaczęli się pojawiać piłkarze w zielonych spłowiałych dresach, w których, jak się okazało, są nawet kieszenie... Deyna trzymał w nich ręce i podbijał od niechcenia piłkę lewą nogą, a jeśli się w tym momencie komuś zdaje, że ja mam zamiar wysmażyć na niego paszkwil, to się bardzo myli...

Przeczekałem cały, półtoragodzinny trening. Widziałem jak podczas wyskoku do piłki dwóch piłkarzy zderzyło się głowami i jednego zniesiono z boiska. Widziałem także, jak trener daje chłopakom na poty i jak schodzący do szatni po skończonych ćwiczeniach Deyna rozdaje podekscytowanym brzdącom swoje drogocenne autografy.

Podszedłem do niego. Na trybunach siedziało kilku panów; patrzyli na mnie badawczo i znowu czułem się jak kapermistrz, który przyjechał podkupić zawodnika. I znowu nie wiedziałem, jak się przedstawić... Powiem, że z Łodzi, to nie będzie chciał gadać. Powiem, że z Warszawy, to on przecież powinien mnie znać, tak jak zna na pamięć wszystkich tutejszych sprawozdawców z prasy, radia i telewizji...

— Nie jestem wprawdzie z prasy sportowej, ale chciałem napisać o panu reportaż w tygodniku literackim — powiedziałem wreszcie wykrętnie.

— Będzie musiał pan poczekać, aż się wykąpię i przebiorę — powiedział.

— Na boisku nie robił wrażenia, aby się specjalnie wysilał, lecz z bliska widać było, że jest autentycznie zmęczony; spocony, umorusany; wyglądał bardzo sympatycznie...

— Gdzie mam czekać?

— Tu, w hallu.

Spacerowałem od ściany do ściany, paląc papierosy i układając w myślach plan rozmowy. Trwało to przeszło pół godziny. No, ale pokazał się wreszcie przepraszając za zwłokę. Baki, kurtka ze szczerej, żółciutkiej skóry, brązowe spodnie w kratkę i miękkie zagraniczne półbuty. Przypominał francuskiego aktora filmowego, wybierającego się właśnie na przejażdżkę sportowym samochodem.

Powiódł mnie do klubowego bufetu, gdzie usiedliśmy przy stoliku. Wyjąłem pióro i rozłożyłem zeszyt. Rozmawialiśmy konspiracyjnym szeptem, bo przy sąsiednich stolikach siedziało paru działaczy.

Nasza rozmowa była z początku nudnawa, tak jak nudnawy z początku jest ten reportaż. Ot, zapytałem go, jak to się wszystko zaczęło, a on powiedział, że zwyczajnie... grą w bramach i na dzikich placach Starogardu Gdańskiego. Tam się urodził i tam jako kilkunastoletni chłopak występował w trzecioligowym „Włókniarzu", awansując szybko do reprezentacji Polski juniorów. Potem, już jako dojrzały zawodnik, zasilił popularną drużynę MZKS z Gdyni. Marzyły mu się jednak po nocach inne, pierwszoligowe kluby, więc kiedy odkrył go Leszek Jezierski, kiedy roztoczył przed nim blaski występowania w ŁKS, kiedy zarząd łódzkiego klubu rozpoczął o niego starania — był podniecony i szczęśliwy...

W tym momencie doszedłem do wniosku, że trzeba zrzucić maskę. I rozmowa przestała być nudna.

— Jestem z Łodzi — powiedziałem.

Kiwnął głową, mówiąc, że się tego domyślał.

— Chciałem pana zapytać w imieniu całej sportowej Łodzi, czy wróci pan do ŁKS-u?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo już teraz wiadomo, że ŁKS nie wróci do ligi.

— Rozmawiałem z kilkoma zawodnikami i działaczami. Twierdzą, że gdyby pan wrócił, co najmniej na pół sezonu, to awans ŁKS-u do ekstraklasy byłby pewny. A gdyby to już nastąpiło, wtedy nie byłoby kłopotów z pozyskaniem kilku innych wartościowych zawodników.

— To nieprawda. ŁKS nie wróciłby do ligi nawet ze mną. Piłka nożna jest sportem zespołowym. Jeden zawodnik nic nie zdziała. A tam zupełnie nie ma z kim grać...

— No, jest przecież Sadek...

— Ale to już nie ten Sadek. Najlepszy dowód, że nie powołują go do kadry. Mnie się zdaje, że gdybym ja teraz poszedł do ŁKS też za parę miesięcy wyleciałbym z kadry.

— Według piłkarskich praw jest pan jednak zawodnikiem ŁKS-u. Podpisał pan przecież kontrakt na wierność. Gdyby pan po ukończeniu służby wojskowej nie powrócił do łódzkiego zespołu, grożą panu chyba jakieś sankcje?

— Grożą. ŁKS ma prawo mnie zawiesić.

— Musiałby pan pauzować. Rok albo i dłużej. Zaprzestać gry w klubie i reprezentacji?

— Zgadza się.

— I nawet to nie skłoni pana do zmiany decyzji?

— Jasne, że nie. Mam dopiero dwadzieścia dwa lata i w ostateczności mogę ten rok poczekać. Wierzę jednak, że tak źle nie będzie...

— A czy nie przemawiają do pana takie argumenty jak potrzeba lojalności, uczciwości wobec klubu, który pana odkrył, i miasta, które na pana liczy.

— Nie. Moje związki z Łodzią są bardzo luźne. Jeśli natomiast chodzi o klub, a ściślej: o jego zarząd, to mam do niego poważne i całkiem uzasadnione pretensje.

— Jakie?

— Po pierwsze: mało kto wie, że ja w Łodzi mieszkałem przez cały rok. Chodziłem na treningi, pilnie ćwiczyłem, ale zagrałem tylko jeden mecz, z Górnikiem Zabrze... Byłem wówczas, według obserwatorów, najlepszy w łódzkiej drużynie i zaraz otrzymałem wezwanie do wojska... Ale przedtem nikt mnie w ŁKS-ie nie doceniał. Najlepszy dowód, że zarząd klubu tak opieszale załatwiał moje zwolnienie z MZKS, że nie wystawiał mnie nawet do meczów towarzyskich. Przez ten rok czułem się w Łodzi zupełnie niepotrzebny. Nie na tym jednak kończą się moje żale... Zarząd przyrzekł również załatwić pewne sprawy z moimi rodzicami... przekonać ich o słuszności mojego pobytu w Łodzi... skończyło się na obiecankach, bo rodzice nigdy nie widzieli na oczy żadnego z łódzkich działaczy. A jak ze mną postąpiono, kiedy ŁKS wyjeżdżał na tournee do Stanów Zjednoczonych? Wzięli Grotyńskiego i Brychczego, który przecież zupełnie się wykruszył, a ja zostałem w domu, bo nie miałem sławnego nazwiska. Są jeszcze inne sprawy... Nawet trzecioligowe kluby, oddające swoich zawodników do wojska, opiekują się nimi w trakcie odbywania służby wojskowej. Działacze tych klubów przyjeżdżają do nich co najmniej raz w miesiącu...

— Po co?

— Pan nie wie... Każdemu wojakowi potrzeba paru groszy na kino i na wyżywienie, no i paru ciepłych słów, żeby się czuł potrzebny, żeby wiedział, że ktoś na niego czeka.

— A pana nikt nie odwiedzał?

— Nikt. Przez te dwa lata w wojsku, nie widziałem na oczy żadnego łódzkiego działacza, nie dostałem żadnego listu. Dopiero teraz, kiedy kończę służbę, przypomnieli sobie o moim istnieniu.

Po powrocie do Łodzi udało mi się zweryfikować słowa Deyny. Były prawdziwe. Świadczy to wymownie o polityce łódzkiego klubu, o jego niezwykłej dalekowzroczności i trosce o losy zespołu. Działacze śpią, czekając na cud, a ŁKS bierze systematyczne wnyki od przeróżnych patałachów. Sprowadzono za ciężkie pieniądze trenera z zagranicy, nie pozyskano natomiast żadnego wartościowego zawodnika, tracąc w dodatku, przez bałaganiarstwo i lenistwo, Deynę. A przecież najlepszy nawet trener nie wprowadzi do ligi drużyny weteranów, tym bardziej, jeśli musi się z nimi porozumiewać na migi... W nowoczesnym futbolu funkcja trenera nie sprowadza się tylko do ćwiczeń na boisku. Nie mniej ważną sprawą jest oddziaływanie na psychikę zawodników, wpajanie im wiary w siebie, podbijanie ambicji i woli zwycięstwa.. Czy można zdziałać coś w tej sferze przy pomocy niemych gestów?

Ale wróćmy do Deyny.

— W Łodzi w pewnych kołach panuje przekonanie, że gdyby ŁKS uparł się na pana, to Legia mogłaby się srodze zemścić powołując do wojska wielu łódzkich zawodników, i to nie tylko spośród piłkarzy. Czy to prawda?

— Skąd. Nikt w Legii takich chwytów nie stosuje.

— Czy należy przez to rozumieć, że nie miałby pan trudności ze zmianą barw klubowych?

— Oczywiście, że nie.

— A czy nosi się pan z takim zamiarem?

— Tak. Chciałbym grać w którymś ze śląskich klubów.

— To znaczy, że do Legii też się pan nie zdążył specjalnie przywiązać?

— Och, nie o to chodzi. Kiedy jestem na boisku, staram się grać jak najlepiej. Ale na Śląsku panuje dla piłki znakomita atmosfera.

— Dla piłki, czy dla piłkarzy?

— Na jedno wychodzi...

— Ma pan na myśli bodźce materialne?

— Między innymi.

— A który z klubów ma większe szanse pozyskania pana: Górnik czy Ruch?

— Górnik.

Zrozumiałe, że Górnik — pomyślałem. — Udała mu się ta sztuczka z Banasiem, który grał w świetnej drużynie Polonii Bytom, udała z Szaryńskim, który grał w ROW-ie Rybnik... Z ROW-em wprawdzie były kłopoty: listy do ministra, demonstracje kibiców, protesty w prasie, nawet reportaż w „Polityce". Prawdziwa wojna nerwów. No, ale w końcu Górnik zwyciężył i Szaryński otrzymał zwolnienie. Więc dlaczego miałby nie otrzymać go Deyna? Ale z drugiej strony — pomyślałem — Ruch też ma swoje sposoby. Najlepszy dowód, że udało mu się odbić warszawskiej Gwardii Joachima Marksa. Więc jak w końcu: Ruch czy Górnik? Mnie tam wszystko jedno... Chciałbym natomiast, aby ŁKS nauczył się wreszcie od Górnika i Ruchu trudnej sztuki pozyskiwania utalentowanych zawodników, aby wysłał na praktykę do Zabrza jednego ze swoich działaczy, który akurat nie ma nic do roboty, a ten na miejscu szybko by się zorientował, jak należy rozmawiać z piłkarzami. Chociaż, kto wie... Działacze ŁKS-u mają dość specyficzny pogląd na sprawę tak zwanego pozyskiwania... Kiedy ŁKS spadł z ligi i K. Frejdlich robił dla „Odgłosów" reportaż o tej katastrofie, jeden z najpoważniejszych działaczy, zapytany o Sadka, wydął pogardliwie policzki i powiedział, że mu specjalnie nie zależy na tym piłkarzu, że mógłby go śmiało odstąpić (rozumiecie, co miał na myśli?), bo „za Sadka miałby wtedy czterech innych, lepszych Sadków". To samo pewnie myśli o Deynie. Będzie miał za niego czterech, albo nawet pięciu innych Deynów (czy jak to tam odmieniać), tyle, że wywodzić się oni będą z B-klasowych zespołów Dolnego Grójca. Tymczasem biedny łódzki kibic będzie się zżymał, martwił, przeklinał, obrzucał błotem piłkarzy, zamiast obrzucać błotem... wszystko jedno.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że mój sposób pisania urąga szlachetnej idei czystego, amatorskiego sportu. Ale mój sposób pisania jest zdeterminowany tym, co się w polskim światku piłkarskim dzieje, a za to — nie ja przecież ponoszę winę.

Nie mam zresztą zamiaru walczyć o zreformowanie istniejących stosunków, utyskiwać, jak to jest źle, niesprawiedliwie... W sporcie sprawiedliwość każdy sobie wymierza sam, i to nie tylko na boisku... Uważam, że każda niesprawiedliwość, która dąży do tego, żeby dać wreszcie Łodzi (wielkiemu, rozkochanemu w futbolu ośrodkowi przemysłowemu) dobrą drużynę piłkarską — staje się automatycznie sprawiedliwością.

Ale komu ja mam to powiedzieć? Deynie?

— Do widzenia panu. I życzę sukcesów w Górniku.

— Do widzenia. Dziękuję.

Wrócił po coś do szatni, a ja wyszedłem na ulicę. I pomyślałem sobie, że gdyby ŁKS, w co nie wierzę, dostał się na powrót do ligi, to mogłaby zaistnieć taka sytuacja, że występujący w Górniku Deyna zagrałby w Łodzi przeciwko Sadkowi. Nawet niewykluczone, że tym swoim sławnym, zaskakującym strzałem z drugiej linii zdobyłby dla Górnika bramkę.

Działacz potraktowałby zapewne tę bramkę jako złośliwą przypadłość losu.

Dla mnie natomiast byłby to strzał samobójczy.

● Łodzianie 1969 ● Łodzianie 1969 ●

Konkurs – Plebiscyt „Łodzianie 1969"

Publikujemy dziesięć sylwetek łodzian, którzy pretendują do tytułu CZŁOWIEKA ROKU. Wybór laureata należy do naszych Czytelników. Prosimy o oddanie swych głosów na tych trzech kandydatów, których chcielibyście Państwo widzieć zwycięzcami. W tym celu należy zakreślić na konkursowym kuponie znak „X" obok typowanych przez siebie nazwisk. Głosujący wezmą udział w losowaniu trzech nagród:

Nagroda I — odbiornik tranzystorowy „Guliver"

Nagroda II — kilim cepeliowski

Nagroda III — wydawnictwo albumowe

Zakreślone kupony należy w terminie do dnia 1. II. 1970 r. nadesłać do redakcji „Odgłosów" w Łodzi, ul. Piotrkowska 96. Wyniki plebiscytu oraz rezultaty losowania nagród podane zostaną do dnia 1. III. 1970 r.

KONSTANTY MACKIEWICZ

Jeśli o kimś, będącym w sędziwym wieku, pisze się, że ma temperament młodzika, to jest to zazwyczaj przesada. W odniesieniu do Konstantego Mackiewicza, to jest najszczersza prawda.

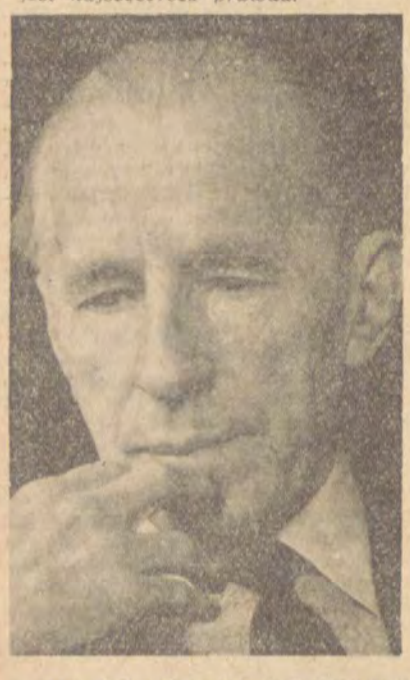

Ma siedemdziesiąt pięć lat i pracuje po parę godzin dziennie. Po pracy odpoczywa, ale nie na tapczanie, tylko aktywnie: dyskutując zawzięcie z artystami, literatami i dziennikarzami. W „Egzotycznej", „Klubie Dziennikarza" i „Honoratce". Dużo czyta, jest stałym bywalcem łódzkich teatrów i Filharmonii, spotkać go można w kinie, na wernisażu i Festiwalu Poezji, gdzie potrafi wygłosić długie, pełne pasji przemówienie pod adresem młodych pisarzy.

Niestraszne są mu trudy podróży. W poszukiwaniu chłonnego, wrażliwego audytorium — jeździ po kraju. W listopadzie tego roku był w Katowicach, Warszawie i Gdańsku, biorąc aktywny udział w Zjeździe Polskich Artystów Plastyków.

Sięgnijmy do pięknej przeszłości. Studiował w moskiewskiej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych na wydziale malarstwa w pracowni profesora Kędzińskiego. Za swoje prace otrzymał wiele wspaniałych nagród. Najważniejsze: Grand Prix Monaco, dwa złote medale na Wystawie Światowej w Paryżu (1937), dwie nagrody pierwszego stopnia przyznane mu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na XX i XV-lecie PRL. Jego obrazy, jako dar rządu polskiego, zdobią gabinety wielu znanych mężów stanu, między innymi Fidela Castro.

Był scenografem około trzystu sztuk teatralnych wystawionych w Łodzi, Moskwie i Ketenburgu. Namalował ponad trzy i pół tysiąca obrazów, o bogatym wachlarzu tematycznym: od kwiatów do portretów, poprzez ulubione pejzaże i monumentalne sylwety starej architektury.

Ostatnio pasjonuje się szkołą filmową, pozując do portretu jednemu ze znanych reżyserów.

Jego marzenia?

Nienawidzi wojny. Chciałby mieć dwie wystawy przeciwko wojnie — w Paryżu i Nowym Jorku.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Pisarz tej miary nie wymaga właściwie rekomendacji. Jego legitymacją są książki krążące gdzieś wśród ludzi od czterdziestu lat, bo taką właśnie literacką drogę ma za sobą Władysław Rymkiewicz. Jako młody adwokat zwyciężył przed laty w konkursie „Wiadomości Literackich". Jego opowiadanie „Wiesław i Gladys" uzyskało pierwszą nagrodę rozpoczynając wielką pisarską przygodę debiutującego laureata. Wkrótce pojawiły się książki: „Pan swego życia", „Prawo do miłości", „Eksmisja". Już te pierwsze próby przyniosły mu rozgłos i sympatię tysięcy czytelników. Potem wybuchła wojna.

Po wyzwoleniu Władysław Rymkiewicz przeniósł się z Warszawy do Łodzi, którą polubił i której pozostał wierny. Tutaj pisał swoje książki: „Rafał z lasu" i „Ziemia wyzwolona", tutaj też powstał jego cykl powieściowy poświęcony historii Polski. Pamiętacie „Rycerzy i ciurów"? A przecież w ślad za nimi pojawiły się powieści „Noc saska", „Dworzanin pana Morsztyna", „Carewicz na ulicach Krakowa", czy też „Romans królewski", którą w całości drukowały „Odgłosy" jeszcze na początku swego istnienia. Łódź więc okazała się miastem szczęśliwym dla rozwoju talentu Władysława Rymkiewicza.

Nie pozostał jej dłużny, wypłacił się swemu miastu szczodrze wspaniałymi książkami poświęconymi historii Łodzi. Pierwszą z nich była powieść „Ucieczka z ziemi obiecanej", potem powstał cykl złożony z takich książek jak: „Trzystu pod Dobrą", „Widok z Księżego Młyna" oraz „Czas pojednania, trawa porośnie". Nie można

także zapominać o powieści współczesnej poświęconej Łodzi pt. „Konferencja u mecenasa".

Twórczość Władysława Rymkiewicza jest więc przykładem szczerego umiłowania miasta, które rozbitek ze zburzonej Warszawy, uznał za swoje własne. Ma w nim Łódź swego utalentowanego piewcę, który, przy niedostatku pomników w mieście, wystawił Łodzi pomnik najtrwalszy, bo pomnik z pamięci.

MARIA PĘCZKOWSKA

Od 35 lat jest dziennikarką, początkowo w Warszawie. Od 1946 r. do dziś pracuje w Łodzi, niemal od początku w „Expressie Ilustrowanym". Bez przesady można powiedzieć, że Maria Pęczkowska jest jedną z najpopularniejszych postaci w Łodzi. I to nie dlatego, że reprezentuje jeden z najczęściej odwiedzanych przez czytelników działów każdej gazety — dział interwencji, lecz dlatego, że wiele jest w Łodzi osób, którym pomogła, że nie pozostawia bez pomocy nikogo, kto do niej przychodzi. A przychodzą do niej ludzie z najtrudniejszymi sprawami, z najpoważniejszymi kłopotami, często gdy zawiodły już wszystkie możliwości załatwienia sprawy.

Pomaga wszystkim, którym dzieje się krzywda, których dotyka niesprawiedliwość. Cała jej wieloletnia praca dziennikarska — publicystyczna i interwencyjna zawsze była podporządkowana jednej idei — chęci pomocy innym. Niezwykła wrażliwość na ludzką krzywdę i cierpienie jest głównym motywem jej działalności. Walczy z bezdusznością, biurokratyzmem, obojętnością na sprawy ludzkie. Przez redakcyjny pokój Marii Pęczkowskiej przesuwają się dziesiątki, setki osób. Broni rodziców krzywdzonych przez dzieci, dzieci krzywdzonych przez rodziców, pracowników krzywdzonych przez biurokrację. Jest odważna i nieustępliwa, nie zna przeszkód ani trudności, gdy broni słusznej sprawy.

Dzięki jej publikacjom i interwencjom uzupełniono wiele luk w przepisach prawnych. A oto jeden z wielu przykładów. Przed laty przyszła do niej grupa robotników odchodzących do wojska, którym zakład nie chciał wypłacić poborów przed odejściem. W Łodzi nie dało się tej sprawy załatwić, brak było odpowiednich przepisów. Maria Pęczkowska interweniowała w Radzie Państwa i Ministerstwie Obrony Narodowej. Otrzymała odpowiedź uznającą słuszność interwencji i zapowiadającą prawne uregulowanie tej sprawy, co istotnie zostało zrealizowane.

Za wieloletnią ofiarną pracę została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem X-lecia, Honorową Odznaką m. Łodzi, Odznaką 1000-lecia, odznaczeniami Związków Zawodowych, a ostatnio Zw. Zaw. Włókniarzy. Ceni je gorąco, tak samo jak każdy uśmiech, który dzięki niej zakwita na ludzkich twarzach.

BRONISŁAW LESZCZYŃSKI

Badania dr Bronisława Leszczyńskiego adiunkta II Kliniki Chorób Wewnętrznych WAM zainteresują wszystkich cierpiących na chorobę wieńcową serca. Dr Leszczyński od kilku już lat zajmował się wpływem czynników me

teorologicznych na samopoczucie człowieka. Niezwykle żmudna praca pozwoliła ustalić — że przy określonych zmianach ciśnienia atmosferycznego zwiększa się liczba zawałów serca. Badania dr Leszczyńskiego wykazały, że stosowanie leków należy synchronizować z zaburzeniami atmosferycznymi. Bowiem w okresach pogody niekorzystnej dla chorego, ustrój wymaga zwiększenia dawki skutecznie działającego leku, zabezpieczającego wówczas przed zawałem. Dr Bronisław Leszczyński zapoczątkował m. in. badania nad stosowaniem w takich, niekorzystnych dla chorego, warunkach atmosferycznych, znanego od dawna leku „Sorbonit". W tej chwili trudno jeszcze przewidzieć ostateczny rezultat tych badań — mimo, że w niektórych informacjach prasowych przedstawiono te badania jako zakończone.

Doktor Leszczyński pracuje w Łodzi jako lekarz od 1947 roku. Przez kilkanaście lat pracował w Pogotowiu Ratunkowym, był lekarzem szkolnym, przemysłowym, kierownikiem Stacji Krwiodawstwa, organizatorem szpitala chorób zakaźnych w Zgierzu, pracował w Domu Starców, jako wolontariusz ratował chorych podczas epidemii, a urlopy przepracowywał dodatkowo w sanatoriach.

Jest człowiekiem o wszechstronnych zainteresowaniach. A oto przykłady. Zanalizował 7.000 wypadków przy pracy i stwierdził, że ich wzrost jest ściśle związany z zaburzeniami pola elektromagnetycznego Ziemi. Jest autorem pracy przewidującej możliwości wyczynowe naszych sportowców w Meksyku. Opracował projekt okularów, które w ciągu 1 sekundy budzą śpiącego kierowcę i projekt automatycznego zaciskacza tętnic zabezpieczającego przed wykrwawieniem. A według jego projektu zbudowano w Gdańsku Zakład Anatomii Patologicznej.

JERZY PRZYBYLSKI

Przybył do Łodzi w 1963 roku już jako aktor dojrzały. Miał za sobą wiele sukcesów na scenach

Wrocławia, Gdańska, Nowej Huty i Krakowa, z zespołem Krystyny Skuszanki występował w Theatre des Nations w Paryżu.

W Łodzi gra najpierw w zespole Teatru im. Stefana Jaracza pod dyrekcją Feliksa Żukowskiego. Już pierwszą rolę Malatesty w sztuce o tym samym tytule zdobywa sobie wstępnym bojem uznanie publiczności łódzkiej. Na deskach tegoż teatru tworzy całą serię postaci dramatycznych, z których na czoło wysuwa się postać George'a w sztuce „Kto się boi Virginii Woolf?", a dalej rola gestapowca Schmidta w „Ostatniej stacji", Chereia w „Kaliguli", Kardynała Monticelso w „Białej diablicy", Gernsteina w „Namiestniku". Obok tego świetne role komediowe stanowią drugi jakby nurt twórczości artystycznej Przybylskiego. Więc Patryk Bombellef w „Zaproszeniu do zamku", Premier w „Nagim królu", Pastor Chasuble w „Lordzie z walizki".

Od 1968 roku przenosi się do Teatru Powszechnego pod dyrekcję Romana Sykały i tu trwa nadal jego znakomita passa. Pochód niezapomnianych kreacji otwiera rola Majora Giesslinga w „Nocy spowiedzi". Potem Generał Morawski w widowisku „Radziwiłł Panie Kochanku", Kumala — komendant obozu w Berezie w „Bereziakach", Dyrektor Programowy Radia w „Babie-Dziwo", Leonidas Lamanna w komedii „Kawior i kaszanka", Ojciec panny młodej w „Rzeczy listopadowej", Kapitan w „Tańcu śmierci", Georg Bamberger w „Czarnej komedii", Generał Gromotrubow w „Płaszczu", Personalny w „Kim jesteś, inżynierze"?

Przybylski gra ponadto w kilkunastu filmach fabularnych i w telewizji, gdzie m. in. kreuje postać Balzaka w „Weselu pana Balzaka" i Narutowicza w „Siedmiu dniach prezydenta". Czterokrotnie zdobywa nagrody na Spotkaniach Kaliskich, w bieżącym roku — za rolę Narutowicza — otrzymuje nagrodę Prezesa Komitetu d/s Radia i Telewizji. Należy do wybitnych aktorów w skali krajowej.

Okres pobytu w naszym mieście sprawił, że Przybylski stał się ulubieńcem naszej publiczności, która ceni sobie jego wrażliwość artystyczną, kunsztowny warsztat i szeroki zasięg możliwości wykonawczych.

IZABELA NAGÓRSKA

Najlepiej znają ją czytelnicy, bo mgr Izabela Nagórska od 33 lat jest bibliotekarką. Pracę z książką i czytelnikami zaczęła od roku 1936, a o jej przyszłym zawodzie zdecydował właściwie przypadek. Miasto Łódź przyznało Nagórskiej stypendium im. Limanowskiego i po ukończeniu studiów miała rozpocząć pracę jako nauczycielka. Ale o miejsce było trudno i w ten sposób mgr Nagórska trafiła do biblioteki — została kierowniczką biblioteki dziecięcej na Bałutach przy ulicy Staszica. Pracowała tam do wojny. Okres wojny spędziła w Warszawie, gdzie pracując jako opiekunka społeczna miała okazję bliżej poznać już nie czytelnika, ale po prostu człowieka. Te doświadczenia okazały się potem bardzo przydatne w dalszej pracy zawodowej. Po wojnie wróciła do Łodzi i to właśnie ona, już 23 kwietnia 1945 roku, otworzyła jedną z trzech pierwszych powojennych bibliotek mieszczącą się przy ul. Senatorskiej. W roku 1949 mgr Nagórska otwiera 7 Bibliotekę Publiczną przy ulicy Rzgowskiej i tam pracuje do roku 1958.

Z dużym sentymentem wspomina pierwsze powojenne lata, kiedy głód książki był tak ogromny, że kazał łodzianom jeździć po nie często na drugi koniec miasta.

Od 11 lat mgr Nagórska jest pracownikiem Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego, a w chwili obecnej kieruje działem instrukcyjno-metodycznym tej placówki. Z racji tej funkcji sprawuje opiekę merytoryczną i szkoleniową nad bibliotekarzami z łódzkiej sieci bibliotecznej, organizuje kursy, wykłady i szkolenia także dla pracowników bibliotek związkowych i kolegów z Biblioteki Waryńskiego. Oprócz tego od 8 lat jest wykładowcą w Studium Kulturalno-Oświatowym, gdzie młodych adeptów bibliotekarstwa uczy metod pracy z czytelnikiem. Do tej pory

mgr Nagórska ogłosiła 76 prac, z czego trzy czwarte dotyczą łódzkiego środowiska czytelniczego, przedstawiają obok historii, sylwetki zasłużonych bibliotekarzy, a także — co zapoczątkowała — sylwetki czytelników.

Wiele radości daje jej wieloletnia praca w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich. Obecnie Izabela Nagórska jest przewodniczącą Oddziału Łódzkiego SBP. Za swoją wieloletnią pracę otrzymała Złoty i Srebrny Krzyż Zasługi, Odznakę Zasłużonego Działacza Kultury, Honorową Odznakę Miasta Łodzi i Honorową Odznakę Województwa.

BOLESŁAW KARDASZEWSKI

Mgr inż. architekt Bolesław Kardaszewski przed dwunastu laty ukończył Politechnikę Warszawską. Łodzi poświęcił owe 12 lat — tu powstały projektowane przez niego

obiekty. Mieszkańcy Łodzi przechodzą obok nich codziennie, niektórzy mieszkają w blokach zaprojektowanych przez niego, chodzą do pięknej kawiarni „Irena".

Wymieńmy choćby niektóre — punktowce na przedłużeniu Al. Kościuszki, gmach „Ruchu" przy Kopernika, budowany aktualnie „Dom Chłopa" przy rogu Żeligowskiego i Zielonej, dwa piękne bloki przy Brzeźnej jako jedne z najładniejszych, najbardziej funkcjonalnych mieszkań w Łodzi...

Dwanaście lat pracy inżyniera Kardaszewskiego, to także czternaście wielkich konkursów, w których odniósł sukcesy — od I miejsca za projekt centrum Gdańska, po wyróżnienia i nagrody za projekt przebudowy Placu Wolności w Łodzi, za projekt otoczenia Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie, Dom Kultury ZPB im. Marchlewskiego, Hotel Miejski w Łodzi.

Aktualnie inż. Kardaszewski pracuje nad projektem technicznym kompleksu gmachów dla Łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Koncepcja architektoniczna tego zespołu budynków została już zatwierdzona przez Ministerstwo Kultury i Sztuki — realizacja rozpocznie się w roku 1971.

W małym baraczku przy ul. Wojska Polskiego 55 w niewielkiej pracowni zapełnionej dziesiątkami plansz i wykresów pracuje nad razjbretem architekt tworzący piękne koncepcje nowej Łodzi. To tutaj, w tym małym baraku, powstaje także wizja dzielnicy wyższych uczelni. Wspólnie z zespołem kolegów i współpracowników, nad pełnym kształtem tej wizji pracuje architekt Bolesław Kardaszewski

BRONISŁAW MAJKOWSKI

Telewidzowie przyznali mu miano „Polaka 1964", bowiem już wówczas należał do niego swoisty rekord — jako honorowy dawca krwi oddał jej dla ratowania życia innych około 12 litrów. W br. ilość ta urosła do 16 litrów, a to jest tyle krwi, ile posiadają trzy dorosłe osoby. Bronisław Majkowski jest honorowym dawcą krwi od 10 lat. Po raz pierwszy zgłosił się do Stacji Krwiodawstwa, gdy pracował w Kaliszu. Zachorował wtedy jeden z jego kolegów, do leczenia potrzebna była krew. Ratowanie chorego Majkowski uważał za swój koleżeński obowiązek. Od tego czasu regularnie, kilka razy do roku oddaje krew.

— Wiem, że otrzymują ją dzieci i rodzące kobiety, wiem że moja krew jest im niezbędna do życia. To jest najwyższa satysfakcja, i największa zapłata — powiada.

Kiedy w roku 1960 Bronisław Majkowski wrócił do rodzinnej Łodzi zgłosił się od razu do Stacji Krwiodawstwa i odtąd nazwisko jego często będzie pojawiało się na szpaltach gazet. Jest posiadaczem

wielu zaszczytnych odznaczeń i wyróżnień. W tym m. in. Złotej Odznaki Honorowego Krwiodawcy I i II stopnia, Odznaki Zasłużonego Honorowego Dawcy Krwi i odznaczenia z okazji 50-lecia PCK. Ostatnio do kolekcji przybyło mu odznaczenie węgierskie. Podczas wizyty delegacji PCK na Węgrzech Majkowski i tam zostawił swoją krew.

Od czterech lat jest pracownikiem fizycznym w Spółdzielni Inwalidów im. Hanki Sawickiej. I wprawdzie mógłby już odejść na odpoczynek, bo jako inwalidzie wojennemu przysługuje mu renta, ale czuje się tak zdrowo i młodo, że na razie nie myśli o porzuceniu pracy.

W tym roku Bronisław Majkowski oddawał krew już pięć razy. Ale nie zamierza na tym poprzestać. — Bo przecież codziennie potrzeb na jest komuś krew — mówi.

JÓZEF JANIKOWSKI

Mgr inż. Józef Janikowski — obecnie zastępca głównego konstruktora w Łódzkich Zakładach

Kserograficznych jest łodzianinem z wyboru od 20 lat. Od chwili kiedy przyjechał z Lublina, aby studiować na Wydziale Elektrycznym PŁ. Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę najpierw w „Elcie" (jeszcze tej starej na Kopernika) — a potem — już od 10 lat w Łódzkich Zakładach Kserograficznych. Inżynier Janikowski jest współtwórcą nowego typu kserografu — urządzenia przenoszącego obraz z jednego arkusza papieru na drugi. Kserograf to „suche pisanie" — „xeros" bowiem znaczy „suchy", „graphei" — „pisać".

Znaczenie dokonania inż. Janikowskiego jest ogromne. Wiadomo, że w dzisiejszych czasach szybki dopływ informacji zależy od warunków technicznych. I właśnie KS-4 skonstruowany w zakładach przy ul. Nowotki warunki te stwarza. W ciągu godziny kserograf wykonuje 20 matryc offsetowych, albo 35 kartonowych; jest w stanie wykonać 40 kopii na papierze lub 200 kopii wielokrotnych.

Nic dziwnego, że urządzenie inżyniera Janikowskiego otrzymało złoty medal na Międzynarodowych Targach w Lipsku, uznanie w Czechosłowacji, NRD i na Węgrzech, patenty w Grecji, Rumunii i Egipcie. Osiemdziesiąt procent produkowanych przy Nowotki kserografów idzie na eksport; to dobra reklama naszego miasta i myśli technicznej łódzkich inżynierów.

Zespół Łódzkich Zakładów Kserograficznych otrzymał za opracowanie KS-4 tytuł Mistrza Techniki 1969. Obecnie w Biurze Konstrukcyjnym ŁZK inż. Janikowski kieruje pracami nad nowymi typami kserografów — jeszcze bardziej udoskonalonych, o jeszcze większej wydajności.

WALDEMAR STĘPIEŃ

Rekordzista Polski skoku w dal 8,23 m. Łodzianin z mało znanego dotychczas klubu sportowego „Społem". Rekord swój osiągnął 12 lipca br. na trójmeczu lekkoatletycznym ZSRR—NRD—Polska w Chorzowie.

Waldemar Stępień jest sportowcem ambitnym i upartym, człowiekiem skromnym i naturalnym. Odrzucił atrakcyjne oferty przenie sienia się do innego klubu, do innego miasta. Opiekuje się nim znakomity trener Miron Brylski. Już obecnie Stępień przygotowuje się do olimpiady w Monachium. W 1970 roku Waldemar Stępień powinien swój wynik zwiększyć o 10 cm. Trenuje w związku z tym 12 razy w tygodniu. Ile wymaga to trudu, mozołu i poświęcenia, tylko on sam wie. Od wyśrubowanego rekordu świata dzieli go jeszcze kilkadziesiąt centymetrów.

— Marzę choć o rekordzie Europy — mówi Stępień. A wszystko zaczęło się od tego, że poszedłem kiedyś popatrzeć jak kolega startuje. Przyglądałem się, a w pewnej chwili zaproponowałem koledze, że jak trener wymieni jego nazwisko, wtedy ja skoczę. Kolega skakał 6 metrów. Ja skoczyłem za pierwszym razem 6,5 m. Zainteresował się mną natychmiast trener Cywiński. Ale przez dłuższy czas nie osiągałem większych rezultatów. Poszedłem do wojska, tam przez dwa lata nie mogłem przekroczyć bariery 7,31 m. Treno wałem uparcie, ale postępów nie robiłem. Dopiero po powrocie z

wojska skoczyłem 7,60 m. Potem miałem operację łękotki, lekarze orzekli, że mam „żelazne nogi". Po operacji nabrałem większej odwagi. Dotychczas miałem uraz, bałem się kontuzji. Teraz zacząłem skakać w granicach 8 m. W Warszawie początkowo odnoszono się z dużym sceptycyzmem do moich wyników. W ważniejszych zawodach udziału nie brałem. Dopiero w lipcu tego roku wytypowano mnie na mecz Polska—Francja w Paryżu. Tam zetknąłem się po raz pierwszy z tartanem. Startowałem z pozycji straconego. Uzyskałem 8,21 m.

W tydzień potem był mecz w Chorzowie, no i właśnie tam uzyskałem najlepszy wynik. Ale pamiętam, że sport wyczynowy uprawia się krótko, dlatego mam w rezerwie zawód mechanika samochodowego.

KUPON KONKURSOWY	
Konstanty Mackiewicz	
Władysław Rymkiewicz	
Maria Pęczkowska	
Bronisław Leszczyński	
Jerzy Przybylski	
Izabela Nagórska	
Bolesław Kardaszewski	
Bronisław Majkowski	
Józef Janikowski	
Waldemar Stępień	

Przeszłość i teraźniejszość

Do Polski droga niełatwa

Wydawnictwa, podobnie jak inne instytucje, dzielą się u nas na centralne i prowincjonalne. Czasem wydaje mi się, że to święta prawda. Ale tylko czasem, nie wtedy, gdy w stosie skromnych — bo to nie centralne — tomików, którymi chwalą się tzw. prowincjonalne wydawnictwa, wygrzebię rarytas taki, o który i w Warszawie trudno. Boć co centralne nie zawsze najprzedniejsze. Na przykład Warszawa Centralna.

Tym razem będą to wspomnienia Pawła Sowy, wydane właśnie pod tytułem „Po obu stronach kordonu" przez olsztyńską oficynę „Pojezierze". Najmłodszemu z ośmiorga dzieci podolsztyńskiego chłopa pisane były dzieje niełatwe i ciekawe, choć nie wyniosły go na szczyty społecznej drabiny i nie przywiodły do lubych dostojeństw. Niemiecka szkoła elementarna, tępe wkuwanie obcych słów i bzdurnych opowieści o kronpriznach i cesarzach miały z polskiego dziecka uczynić wiernego poddanego Jego Cesarskiej Mości Wilhelma II. Nauka historii niemieckiej i nieprzypadkowe pytanie nauczyciela o rozbiory Polski. „Przypomniałem sobie natychmiast, co o tej kwestii opowiadał przed paroma dniami na wieczornych domowych gawędach stary Straus: — Polskę podzielili, bo zaziniła szlachta, to so panozie, co to mają duże folwarki. Ale nie tło szlachta była zinna, ale i sami Mniemcy, bo oni napadali na Polskę i podzielili się nio razem z Austriakami i Ruskami. Możio woma, co Polska była zielka, ale i bandzie jeszcze zielka, łoboczyta. — To wszystko pokrótce zaraz zreferowałem nauczycielowi w swojej nieporadnej niemczyźnie". Trudności dostania się do gimnazujm, lata nauki w Resz-lu i Olsztynie, potem Niemcy zachodnie. Trzy lata wojny w pruskim mundurze na froncie macedońskim i upragniony powrót w rodzinne strony, właśnie w przeddzień plebiscytu.

„Zaledwie po długim, nużącym marszu wkroczyłem do wioski, opadli mnie zewsząd dawni znajomi niecodziennie wzruszeni, podnieceni. Po wymianie paru zwyczajnych w takich wypadkach zdań na temat moich wojennych przeżyć i stanu zdrowia, zbliżył się do mnie stary Klaperski, objął mnie i ucałował, wołając półgłośno: — Paulku kochany, a widzisz, Polska jest, Polska jest wolna!" Ale wówczas nie odkrył jeszcze w sobie polskości. Stało się to niewiele później pod impulsem polskich kolegów, kiedy to dokonał najważniejszego wyboru zapisując się na pierwszy polski kurs nauczycielski. „Decyzji swej nie potrafiłbym uzasadnić rozumowo. Nie wiem zresztą, czy jest to w ogóle możliwe. Kiedy czytam nieraz o tak zwanym budzeniu się świadomości narodowej, ogarniają mnie przemożne wątpliwości co do istoty argumentacji. Wydaje mi się, że w warunkach przedplebiscytowych ludzie, decydując się na przynależność do jednego z przeciwstawnych sobie obozów, kierowali się przede wszystkim względami natury uczuciowej, wypływającymi z wychowania, z tradycji domowej, rodzimej obyczajowości. Kształtowanie się takiej postawy jest sprawą lat, a nawet pokoleń i ujawnia się dopiero w decydującym momencie. Nie wierzę w możliwość raptownych zmian, nie poprzedzonych owymi warunkami. A więc przede wszystkim — sprawa owego uczucia..."

To był początek drogi. Gorycz plebiscytowej klęski, bolesna świadomość nikłego zainteresowania plebiscytem ze strony Warszawy żyjącej „niepotrzebną nikomu wojną". tą 1920 roku, przymusowe pożegnanie z rodzinnymi stronami, po krótkim pobycie w Poznańskiem uniwersytet we Lwowie. Ale raz dokonany wybór zobowiązuje — więc nielegalnie przekracza granicę, uzyskuje dzieki powojennemu bałaganowi niemiecki paszport i rozpoczyna pracę polityczną wśród Polonii warmińsko-mazurskiej, organizowanie „ruchu oporu", pod czym rozumiano „wszelki ruch antyniemiecki, tworzenie zakonspirowanych kółek młodzieżowych, popieranie dążeń separatystycznych itp. „Muszę tu wyjaśnić — wspomina po latach — że nasz tak zwany ruch oporu nie miał nic wspólnego z wywiadem wojskowym. Mieliśmy inne zadania i członkowie naszych komórek byli już z góry uprzedzeni, aby nie dawać się wciągnąć w robotę wywiadowczą. Ruch oporu tworzyć miał oddane sprawie polskiej młode kadry i przetrwać w możliwie nienaruszonym stanie aż do wyzwolenia. W tak sformułowane zadania święcie wierzyliśmy. Oczywiście zdarzało się, że donoszono mi o pewnych faktach z dziedziny militarnej, ale informacje te zostały wyłącznie do mojej dyspozycji". Praca na Mazurach, później w Królewcu i wobec groźby aresztowania — znów droga do Polski. Aż do wybuchu wojny działał w „Zrzeszeniu Rodaków z Warmii, Mazur i Ziemi Malborskiej", prowadził pracę publicystyczną, agitacyjną, repolonizacyjno-wychowawczą, mimo piętrzących się zewsząd trudności. Rząd hitlerowskiej Rzeszy domaga się od władz polskich wydania Sowy jako obywatela niemieckiego i dopiero interwencja Sztabu Głównego przecina pertraktacje...

1939 rok zastał go w Grudziądzu, gdzie prowadził zlecony rekonesans przygraniczny i organizował punkty przerzutu do Prus Wschodnich. Porucznik z polskiego wywiadu uprzedza go, że wywiad niemiecki chciałby przetrząsnąć jego dom i zapewnia, że nie ma powodu do obaw. Jest jednak inaczej — „właśnie poprzedniej nocy nieznani sprawcy przeszukali cały mój dom nie mogąc jedynie dobrać się do sypialni". Trzeba opuścić te strony, a więc dwa miesiące w Działdowie, po krótkim pobycie w Warszawie, dosłownie na kilka godzin przed wybuchem wojny, likwidacja niebezpiecznych akt. Był na listach ludzi szczególnie poszukiwanych przez Gestapo. Ocalał w Sarnowie pod Mławą. W styczniu 1945 roku był już w Działdowie i został tam pierwszym polskim burmistrzem miasta, rychło był pierwszym polskim kuratorem w Olsztynie...

Wspomnienia gorące, powikłane drogi, codzienne borykanie się z trudnościami życia — z wyboru. Trudna to i piękna droga — droga chłopskiego syna z Warmii do Polski.

JÓZEF GRZELAK

TERESA WOJCIECHOWSKA

Od „Gentlemana" do polichlorku winylu

Ja noszę kalosze...

TYTUŁ JEST WZIĘTY Z ANEGDOTY O STUDENTACH ZAGRANICZNYCH, KTÓRZY UCZĄ SIĘ W POLSCE ODMIANY RZECZOWNIKÓW I CZASOWNIKÓW NA TYM WŁAŚNIE ZDANIU. A ODMIENIAJĄ JE NASTĘPUJĄCO: JA NOSZĘ KALOSZE, TY NOSISZ KALOSISZ, MY NOSIMY KALOSIMY I TAK DALEJ. W GRUNCIE RZECZY ANEGDOTA TA NIE MA NIC WSPÓLNEGO Z NINIEJSZYMI ROZWAŻANIAMI. JEST TYLKO POTWIERDZENIEM MNIEMANIA, ŻE SPRAWA KALOSZY BYŁA W POLSCE ZAWSZE SPRAWĄ ISTOTNĄ. MOGĘ SIĘ TU JESZCZE POWOŁAĆ NA MICHAŁA CHOROMAŃSKIEGO, KTÓRY ZAGADNIENIU TEMU POŚWIĘCIŁ CAŁĄ KSIĄŻKĘ, POTWIERDZAJĄC TYM, ŻE POLAK NAWET NA EMIGRACJI NIE POZBYWA SIĘ KOMPLEKSU KALOSZY.

1.

Ale dość powoływania się na obce źródła, mamy swoje własne doświadczenia i kompleksy. I o tym właśnie chciałam mówić. Przez kilka lat miałam kompleks kaloszy z powodu niemożności nabycia ich w odpowiednim sklepie. Kiedy więc wczesną jesienią tego roku zobaczyłam w sklepie piękną błękitno-perłową parę, kupiłam bez wahania. Wysokie, jak moda dyktuje, wprawdzie ciut przyciężkie, ale czegóż kobieta nie udźwignie, choćby na własnych nogach, jeśli to coś jest ładne. Przez kilka tygodni żyłam w przeświadczeniu, że trafił mi się duży los. Aż do pierwszych deszczów, kiedy na ulice miasta wyszły nieprzeliczone pary pięknych błękitno-perłowych kaloszy. Dokładnie takich jak moje. Na nogach grubych i cienkich, na nogach krótkich i długich, na nogach prostych i krzywych. Imponująca, wspaniała ilość błękitno-perłowych okazów. Czy można się dziwić, że ich właścicielki patrzą na siebie wilkiem? I oto są powody do nowego kompleksu na tle kaloszy.

2.

Serce mi wprost pękało z przykrości, gdy postanowiłam zatelefonować do winowajcy — producenta owych kaloszy — Łódzkiej Fabryki Obuwia Gumowego, gdzie dyrektorem jest jedna z najbardziej godnych sympatii i szacunku kobiet Łodzi — inż. Mirosława Wąsowiczowa. Postanowiłam rozmawiać jak kobieta z kobietą, po męsku.

— I cóżeście narobili — zapytałam z bólem w głosie — nie było to już innych kolorów, tylko ten błękitno-perłowy?

— Były, nawet jeszcze są — odpowiada pani dyrektor bez urazy. — Są wiśniowe, szare, beżowe, zielone, żółte, turkusowe, pomarańczowe. To prawda, niebiesko-perłowych było najwięcej, prawie 41 tysięcy par, ale na całą Polskę to przecież nie tak wiele. Tylko, że rozprowadzono ten kolor w trzech miastach: Łodzi, Katowicach i Warszawie. Z tego najwięcej w Łodzi — 14.548 par.

Jęknęłam głucho. Panie sobie wyobrażają? Jest nas w Łodzi 14.548 właścicielek błękitno-perłowych kaloszy. Możemy zorganizować jakiś klub, jakieś stowarzyszenie, a w jego ramach drobny wiec protestacyjny przed gmachem Centrali Handlu Obuwiem (ul. Sienkiewicza 3/5). Bo na wystawach sklepowych pełno kaloszy w różnych kolorach — ile dusza zapragnie. A Łódź chodzi w błękicie z perłą. Za nią Katowice i Warszawa. W innych miastach Polski nie uświadczysz ani jednej pary takich. Czy można wątpić że dyrekcję CHO stanowią sami mężczyźni? Ani przez chwilę.

3.

A w ogóle to skąd się wzięło nagle tyle kaloszy? Można je kupić bez kłopotu, bez protekcji, bez „spod lady". Kiedy już dyr. Wąsowiczowa oczyściła się z moich nikczemnych i bezpodstawnych zarzutów, mogłyśmy spokojnie porozmawiać na ten temat. Na temat tego, co się dawniej nazywało: śniegowce, boty, kalosze, a dziś nosi już tylko tę jedną ostatnią nazwę po męskich, które już wyszły z mody i użycia.

Niektórzy zapewne jeszcze pamiętają, że w listopadzie 1967 roku odbyła się uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego pod budowę zakładów obuwia gumowego na Teofilowie, inwestycji przeznaczonej właśnie dla Łódzkich Zakładów Przemysłu Gumowego. I oto już w końcu lipca br., po uruchomieniu pierwszego oddziału, ruszyła produkcja kaloszy w nowym gmachu na nowych maszynach, nową metodą — wtrysku. Jest to jedna z najnowocześniejszych metod wytwarzania obuwia, do którego surowcem jest już nie guma, a polichlorek winylu, tworzywo prawie uniwersalne, które znamy z płytek podłogowych, wykładzin, folii, materiałów izolacyjnych, zabawek itp.

Na oddziale wtrysku uruchomiono pierwszą maszynę, która natychmiast ruszyła z produkcją, dając od lipca do końca października 72 tysiące par. A więc wydajność ogromna. Jeśli dodamy jeszcze, że metoda ta będzie rozwijana, że przewiduje się zakup dalszych wtryskarek, a już niedługo drugiej, która będzie produkować inne fasony, także obuwie dla dzieci, to o los Polaków w dziedzinie kaloszy możemy być spokojni. Wkrótce nadejdą czasy kiedy będziemy w nich przebierać jak w ulęgałkach, jak na wschodnim bazarze grymasić i wybrzydzać się... Milcz serce. Masz niebieską perłę, trwałe, mocne, starczą na kilka lat.

4.

W każdym razie przyszłość kraju w tej dziedzinie rysuje się optymistycznie. Kraju — bo Łódzka Fabryka Obuwia Gumowego jest praktycznie jedynym producentem tego typu obuwia. Ze starymi tradycjami. Fabryka ta składa się z dwóch zakładów: przy ul. Limanowskiego i przy ul. Wólczańskiej. Obydwa powstały gdzieś w latach 25-tych, pierwszy jako polsko-szwedzka spółka „Gentleman". Spora część parku maszynowego pamięta „gentlemańskie" czasy. Budynki też w zasadzie pozostały te same. Mimo tych warunków proces produkcji był stale unowocześniany, a wydajność wzrastała, w ostatnich latach powiększyła się 12-krotnie i to już był najwyższy wysiłek, na jaki mógł się zdobyć stary zakład. A potrzeby kraju stale rosły i stale były nie zaspokojone. Dlatego właśnie zapadła decyzja o realizacji nowego zakładu na Teofilowie.

Jego ukończenie zmieni całkowicie sytuację fabryki. 722-milionowa inwestycja to najnowocześniejsze maszyny, najnowocześniejsza technologia, produkcja, która nie tylko zaspokoi wewnętrzne potrzeby, ale pozwoli też na eksport.

Na przełomie I i II kwartału przyszłego roku na Teofilów przeniesiona zostanie produkcja z zakładu przy ul. Limanowskiego, a tam powstanie prototypownia i biuro projektów. Na kwiecień 1971 r. przewidziane jest przeniesienie produkcji z ul. Wólczańskiej, gdzie uruchomi się doświadczalne zakłady krótkich serii. Tu będzie się eksperymentować, próbować nowych kombinacji: gumy z polichlorkiem winylu, polichlorku z futrem, z różnymi rodzajami tkanin. Na Teofilowie na takie doświadczenia nie będzie czasu.

Tam będzie miała miejsce masowa produkcja trzema metodami: konfekcjonowania, prasowania i wtrysku. Nie czuję się na siłach wyjaśnić czytelnikom na czym te metody polegają, bo sama nie bardzo wiem, tyle tylko, że dwie pierwsze dotyczą gumy, trzecia PCW.

5.

Za karę za to, że rzuciłam na fabrykę brzydkie podejrzenie i w nagrodę za to, że przyznałam się do błędu, pozwolono mi obejrzeć budujący się „Teofilów". Najpierw oddział wtrysku, gdzie na własne oczy zobaczyłam ponad trzydzieści kolorów i odcieni kaloszy, których sobie nie kupię wraz z 14.547 łodziankami. A tu ciągle jeszcze łączy się barwniki, wymyśla nowe barwy. Na szczęście przy dobieraniu kolorów pracują kobiety. Kiedy przybędzie ta druga wtryskarka, rozpoczną się nowe próby, m. in. nad produkcją z bezbarwnego surowca, któremu koloru nadadzą wzorzyste podszewki. W ogóle, równolegle z produkcją stale się tu eksperymentuje: najlepsze zestawienie kolorów, najlepszą podszewkę, zmniejszenie wagi obuwia itd.

Następnym działem, który zostanie tu uruchomiony będzie odważalnia, miksery, przykrojnia i prasy. I znów nie potrafię wyjaśnić dokładnie co to znaczy. W każdym razie nazwy te obrazują poszczególne fazy produkcji obuwia, tym razem gumowego. Hala mieszcząca te działy jest tak olbrzymia, że nie potrafię określić jej rozmiarów. Pomaga mi w tym, w sposób przystępny, główny mechanik zakładów inż. Kukliński: Tu by się, proszę pani, zmieściło sześć boisk sportowych — mówi z dumą i wszystko od razu staje się jasne.

6.

Łatwo tak pisać lekko i pogodnie, paroma zdaniami kwitując nowe etapy produkcji — kiedy patrzy się na to z boku, w dodatku nic się na tym nie znając. A przecież takie uruchamianie fabryki w trakcie jej budowy, bez przerywania pracy w starych zakładach, przechodzenie na nowy system produkcji, całkowicie nowoczesny, to tysiące problemów natury technicznej, organizacyjnej, ekonomicznej i tej zwyczajnej, ludzkiej, wcale nie mniej ważnej. Choćby sprawa przestawienia się na inny styl pracy, wysoko zmechanizowanej, zautomatyzowanej. Nie wszyscy to potrafią, nie wszyscy to lubią. Więc szkolenie, więc dopasowywanie ludzi do nowych stanowisk.

Szkolenie odbywa się na wszystkich nowych stanowiskach, szczególnie zmechanizowanych. Dobór kadry pod kątem potrzeb nowych zakładów trwa od trzech lat. Na przykład inż. Jadwiga Holwek, którą spotkałam na Teofilowie. Od 6 lat pracuje w ŁZOG, ostatnio była zastępcą kierownika laboratorium, a teraz przeniosła się na technologię wtrysku, specjalizuje się w polichlorku winylu. A w związku z tym podjęła drugie studia, tym razem na Politechnice Gliwickiej, prowadzącej tworzywa syntetyczne. Nota bene wielu specjalistów dla zakładów wykształciła Politechnika Łódzka.

Zapewne tylko ludzie zaangażowani w tę budowę, realizujący ją i dbający o sprawny jej przebieg wiedzą jak wielkiego wymaga to wysiłku, ofiarności i pracy. My możemy wyrazić tylko słowa podziwu i uznania.

7.

Ażeby już tak uczciwie zakończyć tę rozmowę z czytelniczkami, to muszę powiedzieć, że po Łodzi chodzi już tylko 14.547 par błękitno-perłowych kaloszy. Mnie się udało pozbyć moich.

Półka z książkami

„ŚNIEGI POKUTUJĄCE"

Nazwisko Andrzeja Wilczkowskiego znane jest alpinistom i kibicom alpinistyki. Dwadzieścia już lat łódzki inżynier — pracownik naukowy Politechniki Łódzkiej uprawia ten piękny i niebezpieczny sport. Czy jest to zresztą sport? Może to raczej wielka przygoda? Dla Andrzeja Wilczkowskiego jest to także przygoda pisarska.

Ukazała się właśnie nakładem Wydawnictwa Łódzkiego książka łódzkiego alpinisty pt. „Śniegi pokutujące". Wilczkowski ma za sobą wiele ciekawych wypraw — dokonał ponad dwudziestu tzw. pierwszych wejść w Tatrach, ma za sobą wiele wspinaczkowych osiągnięć w Alpach i na Kaukazie — ale „Śniegi pokutujące" to dramatyczna, pełna napięcia opowieść o polskiej wyprawie w góry Hinduku szu. Wilczkowski był kierownikiem tej wyprawy. Warto jeszcze dodać, że równo rok temu wyruszyła do Afryki pierwsza polska wyprawa w góry Etiopii. I tą wyprawą kierował A. Wilczkowski i jej poświęcona będzie druga książka przygotowywana dla Wydawnictwa Łódzkiego.

Ale wróćmy do „Śniegów pokutujących" — książki o górach i o ludziach. Wydaje mi się zresztą, że jest to książka raczej o ludziach w sztafażu grożnych gór, o ludziach pokonujących własną słabość i strach. W sytuacjach dramatycznych, wymagających błyskawicznych decyzji, zimnej krwi, odwagi i refleksu ujawniają się zazwyczaj bardzo wyraziście charaktery, ludzkie oblicza i postawy moralne. Sytuacje dramatyczne zdarzają się nie tylko na półkach skalnych między kamiennym szczytem a kamienną przepaścią, zdarzają się nie tylko w scenerii wiecznych śniegów Hindukuszu... Ale właśnie tam ludzkie reakcje są najbardziej wyraziste. I te reakcje i sylwetki pięknie rysuje nam Andrzej Wilczkowski.

Właśnie dlatego nie jest to książka przeznaczona tylko dla wąskiego kręgu zakochanych w górach. „Śniegi pokutujące" zainteresują każdego, kogo interesują po prostu ludzie w sytuacjach dramatycznych. „Mimo, że w tytule są śniegi" — pisze Wilczkowski — książka jest o ludziach, bo tylko człowiek jest prawdziwym tworzywem literackim; człowiek i jego walka o jego jakąś górę".

Walka o tę górę wydaje się być symbolem — tu nie tylko chodzi o osiągnięcie szczytu — to męska, czy po prostu ludzka konieczność sprawdzania siebie. Dlatego wbrew pozorom „Śniegi pokutujące" nie są ani reportażem, ani pamiętnikiem z wyprawy. To jest po prostu literatura.

J. W.

Andrzej Wilczkowski: „Śniegi pokutujące", Wyd. Łódzkie 1969.

JERZY URBANKIEWICZ

rozrywka

Psychologowie nazywają te rzeczy stressami, owe napięcia emocjonalne, lęki, te wszystkie sytuacje, w których życzliwi z otoczenia zwykle radzą: „Ty się tym tak bardzo nie przejmuj". A w historii stosunków międzyludzkich nie zdarzyło się jeszcze, by po wysłuchaniu takiej rady zainteresowany przestał się przejmować. O wiele bardziej możliwa, a zarazem racjonalna bywa w wypadku stressów propozycja: „Rozerwij się trochę".

I człowiek szuka rozrywki.

Mało wybredny a jednocześnie banalny zalewa robaka, traktując tę czynność już to jako rozrywkę, już to jako ucieczkę od gnębiących myśli. Rozrywki umysłowe należy w sytuacjach stressowych uważać za nieadekwatne. W każdym razie nie słyszano, by ktoś, komu na przykład odmówiono awansu lub podwyżki zajął się rozwiązywaniem krzyżówek. Kiedy nie wychodzi własny, życiowy rebus, słabą pociechę stanowiłoby rozwiązanie rysunkowego. Toteż wykluczyć tu trzeba każdą formę rozrywki czynnej, tej, która pochłania uwagę, która kieruje myśli na inne tory.

Nie zawsze doceniamy, jakie znaczenie ma dla pomyślności dzieła — jego początek, choć podświadomie często używamy sformułowań w rodzaju: „dobrze mi się dzień zaczął", wierząc w jego pomyślny ciąg dalszy. Inaczej Anglicy, ci zaczynają rozmowę z napotkanym znajomym od sakramentalnego: „Lovely day, isn't it?" — ładny mamy dzień, nieprawda? A robią tak dlatego, że w kwestii pogody ludzie miewają na ogół te same poglądy, skoro zaś rozmowa zaczęła się od obustronnie takich samych poglądów na pierwszą ze spraw, to prawdopodobnie nie dojdzie do kłótni również przy następnych.

Dlatego — jak powiedziałem wyżej — pojawienie się napisu zalecającego nieregulowanie odbiornika brzmi jak optymistyczna ocena twego majątku, brzmi, jakby ktoś powiedział: „Ma pan znakomity odbiornik, panie N., ma pan więc wspaniałe warunki do tego, by odpocząć, rozerwać się, uwolnić od tych wszystkich stressów, które oplątały pana, jak przydługa, niemodna a przy tym nie pierwszej świeżości szata".

Potem napis znika, a pojawia się zapowiedź tego, o co od początku chodziło: zapowiedź rozrywki. I już słychać rytmiczne dźwięki muzyki jazzowej, w takt której poczynają migać kawałki różnych zdjęć, ułożonych w sposób, który sto lat temu był sposobem wprost zaskakującym. Następnie ukazuje się stos liter, litery się kręcą, rozsypują, łączą, by się po pewnym czasie ułożyć w stosowny napis. Przyznać trzeba, że taki z trudem układający się napis był niesłychanie zabawny w początku okresu międzywojennego, nie należy się więc dziwić, że ma ugruntowaną opinię zabawnego. Przychodzi jednak moment, kiedy napis mamy z głowy a do dźwięku muzyki jazzowej dołącza się obraz.

Przedstawia on pięciu członków zespołu muzycznego, trzymających instrumenty w gotowości — że tak powiem — bojowej, dmących, szarpiących struny, naciskających klawisze. Kolejne wydęcia policzków i ruchy palców nie zawsze zgadzają się z dochodzącymi z głośników dźwiękami. Pojęcie play-back'u jest dziś równie dobrze znane, jak wzór zdaniowy „Ala ma kota". Jednakże wtedy, kiedy ktoś ma szczerą chęć rozerwania się, powinien udawać, że o playbacku' nigdy nie słyszał. Aby zabawa była zupełna, członkowie zespołu muzycznego mają na głowach jakieś dziwaczne kapelusze. A jak wiadomo — przebieranie się w części cudzej garderoby dla śmiechu jest ogromnie zabawne.

Ale oto utwór się kończy. Wraz z ostatnim jego dźwiękiem na ekranie robi się ciemno, a następnie w kadr wchodzi twarz osoby zapowiadającej. Osoba jest sympatyczna. Dawniej była jedna na całą Polskę. Dziś każdy powiat ma takich osób dwie. Każda jest sympatyczna, objaśnia, co się działo dotąd oraz co się będzie działo za chwilę. Za chwilę zaś wystąpi piosenkarka o przeważnie bardzo niepretensjonalnym nazwisku i przeważnie bardzo pretensjonalnym imieniu. I tu rozrywka staje się jeszcze bardziej atrakcyjna, bowiem osoba zapowiadająca zaczyna snuć opowieść o życiu osoby zapowiadanej. A więc Annabella Grzeszczyk obdarzona jest nieprzeciętnym głosem i ma dar nieprzeciętnej interpretacji. Jak powiedział Hieronim Kuszatko, nikt tak nie interpretował od czasów prezydenta Lincolna. Annabella Grzeszczyk pozostaje pod wpływem George'a Smitha, który — jak wiadomo — śpiewał w stylu „yell". Po raz pierwszy Annabella dała się poznać, zajmując zaszczytne trzecie miejsce na festiwalu w Łącku. Tu osoba zapowiadająca nabiera tchu w piersi i tonem znamionującym bezgraniczny entuzjazm dla aktualnych wydarzeń woła, zgrabnie naśladując akcent mowy czeskiej „ANnabella GRZEszczykówna!". I wtedy Annabella śpiewa.

Do tego, by śpiewać publicznie, nie trzeba mieć głosu. Najlepszym dowodem — tegoroczny festiwal w Opolu, w czasie którego połowa wykonawców śpiewała powyżej własnych możliwości głosowych, co się uwidaczniało w wyrazie twarzy, zdradzającym najwyższy wysiłek oraz w malowniczych kiksach i czkawkach zastępujących wyższe tony. Od czasu, kiedy publicznie śpiewała Elżbieta Czyżewska, można uznać, że każdy dorastający Polak jest solistą-wokalistą. Co więcej — jak to za chwilę ujawni osoba zapowiadająca, Annabella Grzeszczyk została uznana za polską Sandy Show. I tak się u nas jakoś dzieje, że mamy piosenkarzy, którzy zostali uznani za polskich Juergensów i polskich Martinów, a nigdy nie doszło do wiadomości Polaków, że np. Mary Hopkin nazwano angielską Ireną Santor. Kto wie, czy głos i umiejętność śpiewania nie grają tu jednak jakiejś roli. O niektórych piosenkarzach, którym komisja weryfikacyjna nie chce przyznać dyplomu artysty estradowego mówi się, że wprawdzie o ich śpiewie można różne mieć zdanie, ale że są to ponad wszelką wątpliwość ludzie muzykalni. Z powyższego wynika, że Debich i Ciuksza, ponieważ są muzykalni, powinni śpiewać na estradzie.

Wróćmy jednak do Annabelli, która właśnie znakomitą czkawką dała znać, że zbliża się do końca piosenki, a szukająca rozrywki ofiara stressów zaczyna odczuwać ulgę. Ale oto w kadr, w ślad za stosowną zapowie-

Fot. A. Wach

dzią, wchodzi zespół taneczny. Bardzo dobrze, jeżeli panie zespół ten stanowiące, mają przypięte z tyłu do paska — pióra strusie. Co jakiś czas bowiem wykonują konwulsyjne drgnięcie bioder, pióra wtedy podskakują i całość jest niesłychanie zabawna. Wszystkie panie wykonują w zasadzie te same ruchy, w takt tych samych rytmów i od czasu do czasu udaje im się wykonać jakiś ruch wszystkim jednocześnie. W ten sposób numer przeznaczony jest dla dwóch co najmniej rodzajów widza: tego, którego bawi brak koordynacji ruchów zespołu a jednocześnie tego, który lubi zgodność ruchów na estradzie. Zresztą czasu na obserwacje niewiele, bowiem osoba zapowiadająca raczy nas nowym życiorysem i znów możemy sobie posłuchać piosenki.

Piosenki bywają różne, nawet jeśli się je ocenia z różnych punktów widzenia. Percepcja melodii to rzecz gustu, nastroju czy przygotowania muzycznego. Zajmijmy się natomiast słowami piosenek. Niewątpliwie wielką zasługę dla kultury polskiej ma Agnieszka Osiecka, której urocze teksty stały się dość trudno osiągalnym ideałem. Tym niemniej grasuje u nas w kraju niemało tzw. tekściarzy, z powodzeniem liczących na to, że nieporadne ich wypociny utoną w powodzi dźwięków, a... licznik bije. Toteż z wnętrza głośników nierzadko wyskakuje coś w rodzaju:

I się zatrzymał na zakręcie
Potem odwrócił się na pięcie *)

Każdy przygnębiony słuchacz przyzna, że takie odwrócenie się na pięcie, na samym zakręcie i to w momencie życiowo trudnym, może wstrząsnąć psychiką z mocą wystarczającą, by zapomnieć o stanach napięć własnych i otoczenia.

Trafiają też do nas piosenki zagraniczne.

Jeżeli zdarzy się taka, która osiągnęła sukces w świecie, natychmiast jakiś wpływowy tekściarz ima się jej tekstu lub choćby tytułu i dokonuje rytualnego mordu na oryginalnych, podejrzewam, że niezrozumiałych dla niego słowach. Np. powszechnym uznaniem u nas i na świecie cieszyła się i cieszy wykonywana przez Mary Hopkin piosenka „To były piękne dni". Mary Hopkin śpiewa o dawnych, pięknych dniach, kiedy byliśmy młodzi, wierzyliśmy, że przed nami życie pełne zwycięstw i za sukcesy tej cudownej przyszłości wznosiliśmy kielichy w małej tawernie. I oto minęły lata, dziewczyna stoi przed oknem tej samej tawerny i zastanawia się, co zostało z tych marzeń, czy ta kobieta, której postać odbija się w szybie, to rzeczywiście ona...

Jest w tej piosence dużo smutku na temat przemijania, na temat tempa, w jakim ucieka życie, na temat zawodności ludzkich planów.

A oto, co z tego zostało w polskim tekście:

„Uczyłeś wtedy mnie
jakie jest imię twe".

A więc znów kapitalna zabawa, bochoć przygnieciony brzemieniem własnych trosk przecież nie pozbawiony poczucia humoru słuchacz, od razu sobie wyobraża, jak to oni siedzą we dwoje, bo mają tzw. chatę, butelkę wina, a on ją co jakiś czas przesłuchuje, czy ona już zna na pamięć jego imię:

— No jak mnie na imię, laleczko?

— Józef... — odpowiada ona w ekstazie.

I wtedy w duszy człowieka szukającego ukojenia w rozrywce coś się poczyna dziać, następuje rozluźnienie jak po kichnięciu, wszelkie napięcia zostają wydzielone i znów czuje się znakomicie.

* * *

Być może, że człowiek przygnieciony stressami mógłby znaleźć inny rodzaj rozrywki. Przecież nie wyblakły w pamięci ludzkiej nazwiska Przybory i Wasowskiego, przecież gdzieś śpiewa i unika Opola Ewa Demarczyk, może wytrwa przy ambitnych zamierzeniach Marek Grechuta. Ale styl powstał taki, o jakim mowa wyżej. I tam, na tych wypełnionych widowniach, podoba się wszystko i wszystko należy śpiewać po kilka razy. Każda epoka ma swoje piosenki o urodzie gipsowych pieseczków z odpustu. Śpiewano kiedyś „Wszystkie rybki śpią w jeziorze", śpiewano: „No i jeszcze coś, ale o tym sza", później — „Mówiły mu, że łotr" i — zachwyt na dziwnie dobranych twarzach osób z pierwszych rzędów. I można by tę sprawę pominąć milczeniem. Ale w ten styl wtargnął... Mały Władek.

Mały Władek to niewątpliwie ciekawe zjawisko w społecznym życiu Polonii Amerykańskiej. Układa i słabiutkim głosikiem śpiewa piosenki w rytmie walczyków, poleczek i oberków. Dużo tam różnych „hej" i „Maryś, moja Maryś", korespondujących z polską ludowością. Kiedy się tego słucha po raz pierwszy i jedyny, robi się ciepło koło serca, że to w Chicago rodzi się coś, co przypomina nutę sieradzką lub łowicką. Na nieszczęście piosenki Małego Władka rozeszły się po całym kraju za pośrednictwem tzw. pocztówek dźwiękowych i natrętnie cisną się do ucha razem z: „Mówiły mu, że łotr". Niektóre z pocztówek mają nadruk: „Dla dorosłych" i cieszą się specjalnym wzięciem, gdyż odciśnięte na nich piosenki, rymowane na zasadzie „Uczyłeś wtedy mnie — jakie jest imię twe", mówią wyraźnie, za co chwytał Jaś Marysię i co go bolało w czasie miłosnych perypetii.

Pewnie ktoś zacznie z tym walczyć, gdyż ta fala omija cały festiwalowy nurt. Ale Mały Władek zostanie chyba na rynku. Bo choć gdzie indziej nagrywany, pozostaje w obowiązującym stylu i dlatego zdobył sobie masowego słuchacza.

*) Piosenka „Nie jestem głupia".

od niedzieli do niedzieli

Tradycja czyli prababka w mantylce

CEMENT NARODOWOŚCI — KOLĘDY CHOPINA I SŁOWACKIEGO — CZAR WRÓŻEBNY WIGILII — KTO WYMYŚLIŁ ANIOŁKA? — POCZTÓWKA I LITOGRAFIA — KOLOROWE OPŁATKI

Wiele jest recept na świąteczny felieton. Myślę jednak, że najwdzięczniejsza jest metoda spojrzenia wstecz — w czasy dawne i najdawniejsze, w tradycje i zwyczaje, w ową przebogatą mozaikę obyczaju Polaków. Z kamyków tej mozaiki układa się przecież w jakiś sposób i nasza współczesna świąteczna obyczajowość.

Nie chodzi mi zresztą o kolędników i spis wigilijnych potraw na stołach sprzed stuleci. To sprawy znane i wielokrotnie przypominane. Ale przecież ta kolęda i pastorałka były w latach niewoli, latach rozbiorów „cementem narodowości" — jak pisał Stanisław Wasylewski. Polaków — naród w owych czasach w znacznym stopniu niepiśmienny — łączyła właśnie wspólna mowa, obyczaj i pieśń. „Żaden naród — pisze historyk — nie może się pochlubić takim bogactwem pieśni bożonarodzeniowych o szerokiej skali nastroju — od hymnów polonezowych do skocznych mazurków, rubasznych, tryskających humorem pastorałek".

W polskiej kolędzie przeglądają się stulecia całe. A XVII-wieczną, barokową kołysankę „Lulajże Jezuniu" znajdziemy... Gdzie? W taktach chopinowskiego Scherza h-moll. W ten sposób ludowa polska melodia świąteczna zeuropeizowała się w kształcie artystycznie najdoskonalszym.

Ale nie tylko Chopin; bogactwo polskiej kolędy zwiększyła przecież „Złota czaszka" Słowackiego, w której te słowa:

„Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem..."

Nowa kolęda — już nie z pól, z ludowej twórczości, ale największej poezji rodem. Ale w tamtej ludowej tradycji genialnie tkwiąca.

„Okres Godów (Boże Narodzenie) spowity jest osobliwym czarem wróżebnym — pisze Stanisław Wasylewski. Istnieje, w stronach zachodnich szczególnie, dwunastka dni między św. Łucją a Trzema Królami. Można wtedy ze stanu słońca, pogody i swoich snów przewidywać ważne obroty w życiu własnym i gospodarstwa, wyczytać grozę wojny i burz".

Wasylewski pisał te słowa w samym centrum grozy ostatniej wojny. Już wtedy ów „czar wróżebny" był tylko melodią bardzo odległej przeszłości. A dziś?

Zanikają już zwyczaje o których czytamy w książkach, nikt już nie wierzy w magię gwiazd, słońca i wiatru... Jeszcze tylko w świątecznej gazecie przypomni o nich szperacz — felietonista.

Barokowa moda jezuicka wymyśliła aniołka i diabełka oraz moralizujące wierszyki. Obyczaj długo gościł w Wielkopolsce i Małopolsce — w zaborze rosyjskim jakoś zaginął — może dlatego, że razem z tą sympatyczną parą chadzał święty Mikołaj — a przecież było to imię carów.

W XIX wieku Kongresówka zachwyciła się nowym obyczajem choinki wigilijnej. Kładziono pod nią — jak i dziś — upominki dotąd dawane bliskim na Nowy Rok.

Także w XIX wieku — najpierw w Krakowie, Lwowie i Poznaniu — zrodził się zwyczaj witania Nowego Roku w noc sylwestrową. Początkowo tylko w domach — potem dopiero w lokalach publicznych i na balach. I — o dziwo — ostatnio coraz częściej organizuje się sylwestrowe „prywatki" — na bale i zabawy coraz mniej amatorów. Wiem zresztą dlaczego. Ceny! Tak to drenażowe „konsumpcje" mają wpływ na metamorfozy i nawroty świątecznych obyczajów.

A karty świąteczne z życzeniami? U schyłku XIX wieku modne było kolekcjonowanie ilustrowanych kart tzw. widokówek. Wzięło się to chyba stąd, że właściwie od początku stulecia kominiarze i pocztylioni obdarowywali swoich klientów litograficznymi życzeniami — ilustrowanymi barwnie i bogato. W każdym większym domu gromadziły się latami te kolorowe druki, aż ktoś wreszcie wpadł na pomysł kolekcjonowania.

Dziś na odwrót — kominiarz przychodzi jak po swoje z wyciągniętą ręką, ale bez widokówki; natomiast ilustrowane karty z życzeniami wysyłamy sobie wszyscy.

Przemieszało się zresztą wszystko — Kongresówka z Galicją, Mazowsze z Wielkopolską, Śląsk z Pomorzem... Któż ma dziś — w szybko pędzącym świecie — czas na kładzenie siana pod obrus, zdaje się też, że nikt już nie wypieka kolorowych opłatków, którymi gospodarze „łamali się" z krowami i końmi. Może i śmieszny wyda się komuś taki zwyczaj — inne czasy; z trakiem się łamać opłatkiem? Ale obyczaj, pieśń i tradycja to nie są rzeczy śmieszne — choć często są anachroniczne. Pamiętać o nich warto i czasem wspomnieć ciepłym słowem jak tę już dawno nieżyjącą prababcię w koronkowej śmiesznej mantylce. Może śmieszna ta prababka i ta mantylka, ale gdyby nie ona — nie byłoby nas.

JERZY WILMAŃSKI

KSIĄŻKI PISARZY ŁÓDZKICH W 1969 ROKU

„Wszystko, co ważne, dzieje się poniżej literatury, autentyczni bohaterowie współczesności, autentyczne konflikty światopoglądowe, obywatelskie, moralne, autentyczne dramaty wyboru, rozterki i dobrej woli — nie znajdują swego literackiego kształtu. Literatura nie ma w ogóle narzędzi, aby treści te przekształcić w wartości. Ona milczy...” — stwierdza autorytatywnie Włodzimierz Maciąg w szkicu „Czy literatura ma obowiązki?” przyłączając się do oskarżeń, jakie pod adresem naszego piśmiennictwa gromko rozlegają się ze szpalt czasopism.

KONRAD FREJDLICH

Wartości i nadzieje

Krytyk tych możliwości co Maciąg, dysponuje znacznie większą ode mnie skalą porównawczą, lepiej też wie ode mnie, o co mu chodzi, sądzę jednak, że nie mógłby powtórzyć swoich zarzutów, gdyby przeczytał książki tylko pisarzy łódzkich, jakie ukazały się w roku bieżącym. A przecież książki te są integralną, nierozerwalną częścią całej współczesnej literatury polskiej. Nie przypuszczam też, mimo swego skromnego w porównaniu z Maciągiem oczytania, aby książki te jakoś szczególnie odbijały, poniżej, albo powyżej, propozycji, jakie przynosi współczesna literatura polska.

Zanim przejdę do szczegółowego przedstawienia tych propozycji w oparciu o książki pisarzy łódzkich, muszę uczynić ważne zastrzeżenie. Otóż, odpowiadające na oskarżenia krytyki, literatura czyni jej zarzut, że pomimo upływu ćwierćwiecza zawodowi oceniacze książek nie potrafili wytworzyć żadnego systemu wartości i że dezorganizuje nas brak kryteriów. Jest to oczywista nieprawda, ponieważ od ładnych kilkunastu lat książki ocenia się według prostego i niezawodnego klucza: wszystkie co najlepsze — w Warszawie i Krakowie, reszta jest milczeniem. Być może, że tak jest naprawdę, być może, zgodnie z Taine'owską teorią wpływu środowiska, Wisła rozstrzygnęła raz na zawsze spór o wartości literatury polskiej na rzecz dwóch miast wymienionych. Czemuż to jednak odbiera się, należne mu z tytułu nadrzecznego położenia, takież prawa Toruniowi? Nie znajduję na to pytanie odpowiedzi, a zresztą Maciąg i tak wie wszystko lepiej, przenoszę się więc na teren reszty objętej milczeniem, na bezpieczne łódzkie podwórko, szczęśliwie do tej pory przez zawodowych oceniaczy nie obczytane.

Czym jest literatura łódzka[1]) w roku 1969? W jakim stopniu towarzyszy sporom artystycznym i ideowym w naszym kraju, tym wszystkim sporom, które mają za cel przeobrażenie i ukształtowanie nowego człowieka?

Nie jest łatwo dać jednoznaczną i ostateczną odpowiedź na to pytanie dysponując skalą jednego tylko roku. Wszak będzie tu mowa tylko o części propozycji tematycznych łódzkiego środowiska literackiego o propozycjach z ostatnich dwunastu miesięcy, obraz ich będzie więc dalece niepełny. Biliński, autor doskonałej i, o dziwo, dostrzeżonej powieści „Nagrody i odznaczenia”, która ukazała się w roku ubiegłym, będzie tu reprezentowany zaledwie tomem reportaży. Koprowski, autor świetnych opowiadań (przed rokiem) będzie tu autorem ledwie kryminalnej powieści. Nie będzie tu mowy także o Stanisławie Czerniku, Wandzie Karczewskiej, Bernardzie Sztajnercie, Janie Czarnym, o wierszach Jana Huszczy, Marka Wawrzkiewicza, Zbigniewa Kosińskiego, Romana Łobody czy też Tadeusza Chróścielewskiego, chociaż twórczość tych pisarzy w sposób istotny stanowi o literackiej randze Łodzi. Stosując nieubłagane kryterium doboru w oparciu o datę metryczki wydawniczej musimy pominąć w naszych rozważaniach także twórczość Ewy Ostrowskiej, która tylko w roku ubiegłym opublikowała dwie wartościowe książki prozy. Przy całej swojej niechęci do dzielenia literatury na młodą i starą, będę też musiał pominąć tutaj propozycje debiutantów, które omówię wkrótce w odrębnym artykule.

Jakaż więc jest ta literatura łódzka w roku 1969?

Myślę, że na to pytanie najwłaściwiej będzie odpowiedzieć słowami, które kończą powieść Wiesława Jażdżyńskiego „Sprawa”: „Otóż musisz wiedzieć, że twoja sprawa wcale się nie skończyła. Twoja — nie, i moja nie. Odkryłem wreszcie prawdę o stateczną: póki człowiek żyje — jest sprawą. Czasem złą, jak twoja, czasem dobrą. Trafisz i na taką”.

Nie chodzi mi o odkrywczość tej prawdy, dość oczywistej, tylko o stosunek do niej. Przecież jest to propozycja czynnej postawy wobec życia, której interesującą egzemplifikacją są losy Wojciecha, bohatera książki Jażdżyńskiego. Okupacyjne doświadczenia wyniesione z oddziału partyzanckiego mają swoje przedłużenie w czasach już całkowicie współczesnych, kiedy na nowo trzeba odkrywać znaczenie takich pojęć, jak: solidarność, przyjaźń, zaufanie, nawet miłość. Konfrontacja z rzeczywistością odziera dawne przeżycia z romantycznej i mitologicznej zarazem zasłony, na ich miejsce przychodzą nowe wartości, mniej może efektowne, bardziej za to sprawdzalne. Dochodzenie do nich i walka o nie stanowi zasadniczy przewód myślowy „Sprawy”. Wojciech ma w sobie coś z tradycji ideowej żeromszczyzny, jest jednak jednocześnie zupełnie inny od bohaterów powieści Żeromskiego. Klasyczny doktor Judym czy też Andrzej Radek obracają się w świecie wartości danych z góry i bezspornych. Wojciech musi samodzielnie dokonywać rozróżnienia pomiędzy dobrem i złem, realizacja dobra wymaga wcześniejszego uświadomienia sensu tych podstawowych kategorii emocji moralnych, powieść Jażdżyńskiego bowiem, pomimo że zawiera natrętne niekiedy obserwacje obyczajowe, jest przede wszystkim moralitetem.

Spustoszenia, jakich ostatnia wojna dokonała w świadomości człowieka, stały się osnową najnowszej powieści Leona Gomolickiego pt. „Wydarzenie”. Ten znakomity prozaik przyzwyczaił nas już do tego, że co roku ogłasza kolejną książkę (w ub. roku ukazała się książka „Dzikie muzy”), przyzwyczaił nas też do tego, że każda z nich jest ewenementem. Gomolicki nie ma szczęścia do krytyków, piszą o nim niechętnie i poniżej jego zasług dla literatury polskiej, ale tym razem, może ze względu na tytuł odpowiadający istocie rzeczy: „Wydarzenie”, powieść trafiła do rubryki „Giełda książek” w tygodniku „Kultura”, gdzie Witold Zalewski nazwał ją „studium świadomości porażonej okrutnym doświadczeniem”. W innym miejscu określa to jeszcze precyzyjniej: „Ukazano nam dramat ludzkiej świadomości, obezwładnionej, dotkniętej chorobą nieprzystosowania”.

Bo rzeczywiście bohater „Wydarzenia” jest przeciwieństwem Wojciecha ze „Sprawy” Jażdżyńskiego. Przeżycia obozowe pozbawiły go jakiegokolwiek oparcia w świecie, nie może nic z jego wartości zrozumieć, nie zaakceptować. Zabito w nim wszystkie instynkty jakie sczepiają człowieka ze światem. Pierwowzory takich sytuacji znajdziemy niewątpliwie u Tadeusza Borowskiego, ale, wydaje mi się, nie ma jeszcze w naszej literaturze książki, która byłaby równie ważkim oskarżeniem przemocy, co powieść Gomolickiego. Ta rozumna książka jest w swej istocie doniosłym aktem oskarżenia przeciwko wojnie w ogóle, której konsekwencje rozciągają się poza pola bitew i poza czas bitewny.

Tematyka okupacyjna, w sposób pośredni jak u Jażdżyńskiego, Gomolickiego czy Papiera, o którym za chwilę, czy też bezpośredni jak u Adama Ostoi i Andrzeja Ostoi, często przewija się przez książki pisarzy łódzkich ostatniego roku. Chciałbym tu zwrócić uwagę najpierw na powieść „Waleczny domek” Ostojów, którą znamionuje nowe podejście do czasów pogardy, nowe przynajmniej w literaturze, bowiem nasycili swoją prozę cierpkim humorem, który był przecież udziałem każdego, kto okupację przeżył. Ten humor był takim samym elementem walki jak ruch zbrojny, stanowił skuteczne antidotum na wyniszczające działania okupanta, ocalał przed zagładą psychiczną jednostki i naród, zapobiegał tym pookupacyjnym doświadczeniom, o których w taki przejmujący sposób mówi powieść Gomolickiego. Przedstawiony z plastycznością scenariusza filmowego zwykły okupacyjny dzień w Warszawie obfituje w momenty zabawne i śmieszne, ale za tym wszystkim czai się przeraźliwa groza, tym właśnie przeraźliwsza, że skontrastowana z pozorami normalności. I jeśli książka Gomolickiego jest studium porażonej świadomości, powieść Ostojów jest przykładem studium świadomości, która porażeniu nie chce się poddać i nie podda. „Każdy dzień mijający jest przez los darowany. A co jutro? Co pojutrze? Jak powinien myśleć, co powinien czynić słaby i bezbronny człowiek wobec tygrysa, wobec grzechotnika, wobec wściekłego psa?” — zapytuje sam siebie bohater „Walecznego domku” i przecież, mimo całej okupacyjnej beznadziei, żyje i pozostaje sobą.

Książka Tadeusza Papiera „Narodziny Gerty” wraca do problematyki niemieckiej w sposób całkowicie odmienny od przedstawionych już tu powieści. Nie tylko zresztą dlatego, że dotyczy sprawy centralnej dla polskiej racji stanu — powrotu Ziem Zachodnich do macierzy. Nie polityczne przecież kwestie, tylko nasze racje moralne uczynił Papier osnową swej powieści przedstawiając losy rodziny chłopskiej osiadłej na Mazurach. Podjął przy tym zagadnienie jakże aktualne, wobec perspektywy dialogu z Niemcami w sprawie normalizacji stosunków — wszak główny nacisk położył na sprawę samookreślenia Gerty Boenigk, tej samej Gerty, którą okoliczni ludzie przezywają Niemką. „Macie synową, Niemkę — powiadają do Melanii — a nie wiadomo, czy jej ojciec albo brat nie zabijał naszych”. Mimo tylu lat, które minęły od zakończenia wojny, problem niemiecki nie stracił na swojej ostrości. Łatwo tu pójść na łatwiznę, ale Papier szczęśliwie uniknął tanich efektów publicystycznych. Jego książka przepojona jest wiarą w człowieka, stawia sprawę Gerty w sposób uczciwy i rozumny. „Życiorys Gerty jest jeszcze nie zakończony — stwierdza Papier — każdego roku Gerta poznawać będzie nowe sprawy — w tych historiach każda rzecz ma swoje znaczenie — i każde zdarzenie, choćby działo się bardzo dawno, choćby w nich Gerta nie brała udziału. Ale czy możemy powiedzieć, że nie bierzemy udziału w tych sprawach, które uznajemy za swoje?”.

Zupełnie odmienną propozycję tematyczną przynosi powieść Władysława Rymkiewicza „Czas pojedna, trawa porośnie”. Zawiera ona, obok opisu wydarzeń powstania czerwcowego roku 1905 w Łodzi, dramat wyboru inteligenta, który, podobnie jak Gerta z książki Papiera, musi się określić, opowiedzieć za rewolucją albo przeciwko niej. Wojnicz, bohater powieści Rymkiewicza, przechodzi pod wpływem rozgrywających się wydarzeń gwałtowny proces reedukacji społecznej, proces pełen splątań i rozdarć wewnętrznych. Czy wybierając którąkolwiek z możliwych dróg ocali siebie, zachowa tożsamość, czy też musi się narodzić na nowo? Głęboka to książka, wcale, mimo pozorów, nie regionalnego wymiaru, a przy tym, co ważniejsze, nie pozbawiona ostrych treści politycznych.

Tematykę par excellence łódzką reprezentuje natomiast tom gawęd Heleny Duninówny „Kwiaty wśród dymów”. Świadczy ona o tym, że nasi pisarze nie uchylają się od podejmowania spraw własnego regionu. Potwierdzeniem tego jest zresztą książka felietonów Włodzimierza Krzemińskiego stanowiąca wybór coty godniowych publikacji „Odgłosowych” z cyklu „Lewym okiem”.. Krzemiński często sięga po przykłady z naszego, łódzkiego podwórka, kreśląc paradoksy współczesnego życia. Jest więc jego tom, już choćby z tego powodu, dowodem bezpośredniego, publicystycznego zaangażowania. Podobnie przedstawia się rzecz z tomem reportaży Wacława Bilińskiego pt. „Szkic do portretu”, który jest jedną z najciekawszych pozycji literatury polskiej tego gatunku w roku bieżącym.

Na tym przecież nie koniec. Trzeba zasygnalizować interesujące pozycje wydawnicze dla młodzieży, których autorami są: Zbigniew Nienacki („Niesamowity dwór”) oraz Edward Kopczyński („Ślady na śniegu”). Wznowienia doczekała się młodzieżowa powieść Zofii Lorentz „Wakacje pod blaszanym człowieczkiem” oraz zbeletryzowana biografia poety Klemensa Janickiego pt. „Laur padewski” pióra Stanisława Czernika.

Rok bieżący przyniósł także dwie interesujące pozycje wydawnicze w dziedzinie poezji. Po dłuższej przerwie przypomniał się tomem wierszy „Dyliżans” Jerzy Waleńczyk, poeta średniego pokolenia. W niektórych utworach powraca do motywów wielkomiejskiej codzienności, które tak dobrze oceniono przy jego debiucie w roku 1957, poszerza jednak swoje doświadczenia twórcze o nowe treści i mimo patetycznej maniery, zdobywa się na tony szczerej wypowiedzi lirycznej.

Znacznie jednak ciekawszy wydaje mi się tom wierszy poety młodego pokolenia Mieczysława Michała Szargana pt. „Stół”. Zyskałby on jeszcze na ocenie przy staranniejszej selekcji utworów, jest to bowiem jak na książkę poetycką pozycja wydawnicza stosunkowo obszerna, ale przy całym gąszczu propozycji lirycznych nie została w nim zagubiona bezpośredniość i szczerość, a przy tym, co wydaje mi się najważniejsze, jest to książka wolna od taniego sentymentalizmu i dowodzi znamiennych przeobrażeń, jakie przeszedł ten uzdolniony, a przy tym pracowity poeta.

Skorośmy więc już przedstawili tutaj skrótowo obraz literatury łódzkiej w roku 1969 odwołajmy się raz jeszcze do cytowanego na początku Maciąga, aby mu raz jeszcze zaprzeczyć. Wydaje mi się bowiem, że już z tego tylko omówienia wynika wniosek oczywisty: literatura łódzka podejmuje sprawy autentycznych bohaterów współczesności, autentycznych konfliktów światopoglądowych, obywatelskich, moralnych, dramatów wyboru, rozterki i dobrej woli. Nadaje im kształty wyraziste i plastyczne. Można oczywiście zastanawiać się, czy znalazła dla tych spraw narzędzia na tyle precyzyjne, aby przekształcić wszystkie zaproponowane treści w wartości ponadczasowe i trwałe. I miejmy nadzieję, że przynajmniej niektóre. A to przecież niemało.

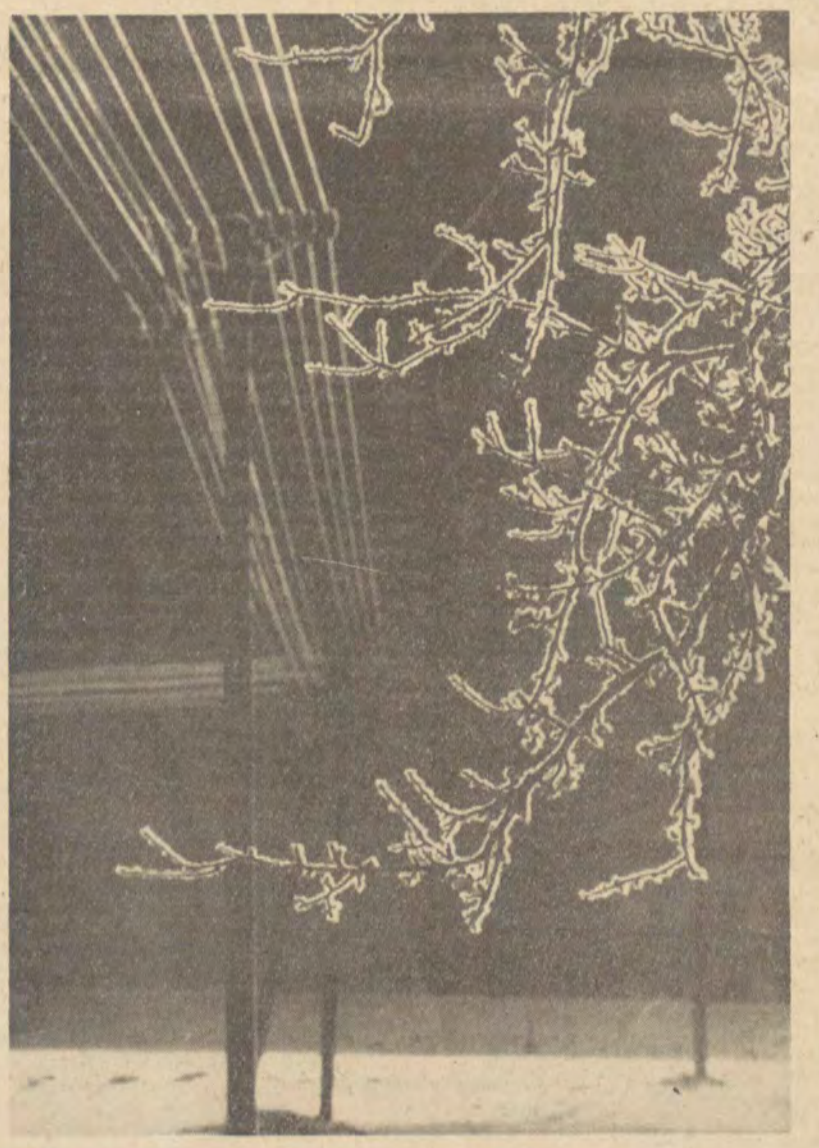

---

1) Literatura łódzka to termin czysto techniczny, oznaczający po prostu książki pisarzy łódzkich. Przy zastrzeżeniu, że literatura polska jest jedna, niepodzielna.

Niech się w dobre zdrowie obróci!

Dalszy ciąg ze str. 3

wychodzi tygodnik, czy miesięcznik. Vide, bracie miły, Śląsk, Dolny i Góry, Koszalin, Kraków, Poznań i inne miasta.

Ale może to i lepiej. Gdyby bowiem nasz „Głos" miał drukować literaturę w guście „Dziennika Łódzkiego", owe sławne fraszki — „Miałcie w aucie", doczekalibyśmy się upowszechnienia kiepskiego smaku. A tak to niczego żeśmy się nie doczekali, prócz recenzyjek, które atakują poklepując, mówią — niczego nie mówiąc.

No, więc, w górę kielichy za dostrzeganie trudu nie tylko pisarza, mniejsza o nas, nie milczmy o naszych kolegach plastykach, muzykach, doceńmy pracę naszych twórców z filmu nie tylko oświatowego, czy animowanego, ale i fabuły, boć przecież nasi fabularze zdają się odradzać, może i wolno czy nieśmiało, odzyskują jednak stracony teren ponad wszelką wątpliwość. Czy dopraw dy notatka o życiu rodzinnym piłkarza ŁKS więcej znaczy niż dużego formatu wydarzenie, jakie raz po

raz demonstruje nam — na przykład — nasze Muzeum Sztuki? Trudno to pojąć.

Zgodziłbym się i na trzeci kielich wody odwagi, gdybyśmy ją tylko w roku następnym okazać chcieli. Czytelnik naszych gazet, ledwie je tylko otworzy, od razu znajdzie się w przedziwnym świecie. Nikt tu nikogo nie uraża, niczego nie wytyka, wszystko jest miłe, poczciwe i pływa w tym samym mdłym sosie. Poeta, który nie wyszedł poza twórczość powielaczową egzystuje na równi z poetą znanym w kraju i poza jego granicami, książka zdecydowanie zła dostaje taką samą czwórkę z minusem, co i znakomita, ambitna, przedstawienie teatralne, którego końca nie sposób dotrwać tak samo życzliwie zaprząta głowy znudzonych recenzentów, co i ciekawe, kontrowersyjne. I pocóż dyskutować w tym świecie, kiedy wszystko jest dobre, potrzebne, choć niekiedy w gruncie rzeczy tylko zakichane.

Krytyka, ta prawdziwa, zawsze była i być powinna szczególną postacią, powiedziałbym nawet tak: namiętności. Przecież jeśli tylko do naszych gazet nie piszemy, mówimy: to mi się podoba, zachwyca, wstrząsa, zachęca, a tamto jest liche, tandetne, oszukuje współczesnego czło-

wieka, za którego my odpowiadamy w niemałym stopniu. Są i muszą istnieć wydarzenia sporne, wielkie osiągnięcia, i knoty, najzwyczajniejsze knoty.

Powiadają niektórzy — w Łodzi brakuje wody, choć mamy łódkę w herbie. W sferze kultury i sztuki rzeczy stoją inaczej. Mamy za dużo wody, ale tej letniej, leniwej, w której wszystko co żywe żyje niechętnie, lub samo leniwieje. Zyjemy w wodzie zapomnienia, nie pamiętamy dużych wydarzeń, mówimy — jak w owej sławnej audycji telewizyjnej poświęconej kulturze łódzkiej — książki o Łodzi, pisarze, poważne wydarzenia? A nic takiego nie pamiętam, a poza tym wszyscy zdrowi, żyjemy sobie jak Bóg zdarzy, zrywamy kartki z kalendarzy.

No, więc, niech już będzie nawet i ten czwarty, więcej nie wypada zalecać w piśmie tak szacownym jak nasze „Odgłosy". Pod warunkiem wszakże, iż wodę zapomnienia istotnie na wodę odwagi zamienimy. Naj lepszego!

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ROMAN ŁOBODA

„Życie jest snem"

Najlepsze przedstawienie roku

Pół sezonu teatralnego mamy już za sobą i pytania, który ze spektakli łódzkich był najciekawszy w tym czasie nie uważam, na szczęście, za kłopotliwe.

Sądzę, że spektakl, który wywarł na mnie najsilniejsze wrażenie był nie tylko najciekawszy, był on po prostu wybitny bez uciekania się do „lokalnych przymiarek". Na fakt ten złożyło się sześć zasadniczych przyczyn: znakomity utwór dramatyczny („ŻYCIE JEST SNEM" — Pedro Calderon De La Barca), znakomite przystosowanie utworu do współczesnej sceny polskiej (imitował — **Jarosław Marek Rymkiewicz**), świetna reżyseria **(Witold Zatorski)**, doskonała gra zespołu aktorskiego, niezwykle sugestywna i trafna scenografia **(Henri Poulain)** oraz przystające do całości i niebanalne opracowanie muzyczne **(Anna Płoszaj)**.

Zacznijmy od utworu „Życie jest snem"; oto tytuł, jeden z tych, które stanowią niejako stwierdzenie, tezę następnie w utworze uzasadnianą i pointowaną. Nie dotyczy to oczywiście procesu twórczego, który mógł przebiegać akurat odwrotnie.

Calderonowska fabuła, oparta na alegorycznych motywach baśniowo-romansowych, posłużyła autorowi za tło do rozważań na poły filozoficznych, na poły politycznych. Jest to bowiem utwór niezwykle złożony w swej bogatej wymowie. Można się spierać o jego filozoficzność, gdy przyjmie się, że tej filozoficzności głównym tematem jest problem przeznaczenia, losu czy fatum. Jeżeli jednak przyjąć, że tezą filozoficzną w dramacie jest obsesyjnie permutowana sprawa osobowości człowieka, jego świadomość, jego „JA", to wówczas ta filozoficzność utworu nie tylko nie budzi wątpliwości, ale staje się bliska dociekaniom współczesnej filozofii i psychologii.

Polityczność dramatu, to poddanie osobnika próbie władzy. Tym osobnikiem u Calderona, z wzorca renesansowej literatury wyjętym, jest książę od urodzenia łańcuchami skuty. Życie jest snem. Książę Segismundo nie wytrzymuje próby przebudzenia, lub być może, jak dwoiście sugeruje poeta, w sen zapada przedziwny, gdzie jego nie wyżyte pragnienia i nie spełnione żądze erupcją wybuchają okrutną. Książę wraca na basztę. Życie jest snem. Te krótkie chwile niepohamowanego szaleństwa władzy czymże były? Ale lud, lud i żołnierze przywracają swemu „księciu" władzę, której nauczyły go te krótkie chwile życia czy może snu.

Baśń o nieubłaganym fatum, o przeznaczeniu rozbija poeta tym „Ja", świadomością, tym dążeniem do poprawy nieubłaganego losu, którego ślepota tkwi w samym człowieku.

Ale tu już „imitator", jak nazywa siebie J. M. Rymkiewicz wkroczył z całym arsenałem wiedzy o historii i współczesnym świecie i „przysposobił" poemat XVII w. do odbioru współczesnych. Tłumacz-poeta niczego nie uronił, co stanowi urok arcydzieła, udramatyzowanej poezji. Co najlepszego mogło się ostać próbie czasu; więc śpiewność i potoczystość języka, więc lekkość frazy i wieloznaczność metafor i głębia „aforyzmów" a finezyjność gry słów oraz paradoksalność sformułowań poetyckich.

Z wielowarstwowości znaczeń dramatu „imitator" wypreparował metaforę o życiu i śnie z echami jungowskich dociekań, metaforę na tyle szeroką i na tyle obiektywną, że tragedia władzy z jej blaskami i cieniami przemawia do widza nieomal jak opowieść współczesna. Mozaikowość metafory politycznej pobudza wyobraźnię wedle jej możliwości zasięgu, ale determinuje kierunek jej (wyobraźni) ruchu.

Stąd na miarę doświadczeń i na doświadczeń szerokość geograficzną można osobnika poddanego próbie władzy ujrzeć zarówno w merze małego miasteczka jak i w sołtysie z Chlapkowic; w dyrektorze wielkiego koncernu, jak i w zastępcy kierownika zakładu produkującego plastikowe guziki. Życie jest snem.

To „ja" i „nie ja" nie jest tylko poetycką grą słów, jak to niektórzy sugerują. Trzeba również „wyjątkowego talentu", żeby z calderonowskiego „Życie jest snem" zrobić dziwaczne romansidło. Romans w interpretacji Rymkiewicza zachował wszystkie cechy renesansowych umowności sytuacyjnych, lirycznych naiwności i utajonego humoru. Honor, jako to drugie, sprzeczne nieraz z pierwszym, „ja", najczęściej wywodzący się z afirmacji wartości niematerialnych, wydaje się nam na ogół irracjonalny w calderonowskich „życiowych" przykładach. Ale jakże ta nuta donkichotowskiego zapamiętania jest powabna i sugestywna w swym brzmieniu dla nas, współczesnych, którym tak często brak odwagi w przeciwstawianiu się zwyczajnej podłości lub intrydze.

Arcydzieło pierwszej połowy XVII w. nie poddało się niszczącej próbie czasu.

Rymkiewiczowska „reanimacja" włączyła poemat w krążenie naszych uczuć i myśli.

Życie jest snem niedługim wprawdzie, ale pouczającym. Nikt nie pozna sensu życia, miłości, władzy, mądrości świata, jeżeli nie usiłuje wpierw siebie poznać. A że może nigdy siebie nie pozna do końca i „to jest jego tragedia", jego historia, jego sen", co nie przesądza jego losu, i nie jest nieuchronnym fatum, to jest konieczność warunkująca postęp.

Nie jestem pewien czy Calderon i to chciał powiedzieć także, wydaje mi się jednak, że mimo wszystko znakomity tłumacz nie uniknął tego naporu, optymistycznej determinacji, która sięga poza Sartre'a.

A może reżyser? Wydaje się, że konsekwentnie, z umiarem ale zdecydowanie przejął całe „dobrodziejstwo inwentarza" i nie bez pasji i żaru, unikając afektacji i krzykliwości, jasno i klarownie wyprowadził, nie tak jednostkową myśl przecie, do pointy, któ-

ra mówi, że wprawdzie życie jest snem, lecz współczesny człowiek zaczyna rozumieć z czego sny się rodzą.

Nie ma dłużyzn, jąkającego się tempa, czy nerwowej gonitwy słowa. Panta rei nurtem uregulowanym. Muzyka dyskretnie towarzyszy obrazowi, który dostojnym ascetyzmem przydaje patosu królewsko-ludzkiej tragedii. Kolumny, wnętrze pałacu i więzienie, to scenografia sugestywna i lapidarna.

I wreszcie szósta i bardzo istotna przyczyna, że „Życie jest snem" już po premierze, czemu dałem wyraz, odczułem — obym się nie mylił — jako **wydarzenie teatralne**: aktorstwo!

Nie była dla mnie niespodzianką kreacja **Andrzeja Maya**, bowiem już w poprzednich rolach tego młodego aktora widziałem zapowiedzi rodzajów, w których może on na scenie rozkwitnąć.

Tragedia? Drapieżność i bujność fizyczna, dynamizm wewnętrzny to cechy, które przystają do roli uwięzionego i szalonego księcia. May, wydawało mi się, drąży w głąb, stara się uzasadnić zarówno rozpacz jak i rezygnację, pychę i szaleństwo, pokorę i chytrość środkami ekspresji, wynikającymi z logiki uzewnętrzniania stanów emocjonalnych.

Nie sposób omówić gry całego wyrównanego zespołu, chociaż równie trudno pominąć doskonałą grę **Janusza Kłosińskiego** w roli Clotalda. Z dużym wdziękiem i swobodą grała **Izabella Pieńkowska** (Rosaura, dama). Kapitalny, nawet w dość powierzchownej roli Żołnierza I, był **Bogusław Sochnacki.** Również ciekawie i kulturalnie rozwiązał swą rolę Astolfa, księcia Moskwy, **Bogusław Mach.** Zbyt może oschłą i nerwową interpretację zaprezentował **Bolesław Nowak** w roli Basilia, króla Polski, ale jest to niełatwa rola. Estrellę, infantkę grała **Róża Czaplewska**; bardzo wyraziście i naturalnie grał Clotalda **Wojciech Pilarski.** Dworzanie: I **Andrzej Wohl**, II **Eugeniusz Korczarowski.** Żołnierz II — **Maciej Grzybowski.**

A więc na pytanie, który ze spektakli łódzkich w bieżącym sezonie uważam za najbardziej interesujący mogę z czystym sumieniem powiedzieć: „ŻYCIE JEST SNEM" uważam za wybitne przedstawienie.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

„Dzień przed żniwami"

Najciekawsza książka roku

W wydanych w 1961 r. przez Wydawnictwo Poznańskie wspomnieniach i materiałach pod tytułem „Okolica Poetów" Stanisław Czernik formułuje swój wybór postawy twórczej, zwanej „autentyzmem" w następujący sposób: „... podstawą mojej liryki będą przeżycia autentyczne" „...czyli to"... ..."co bezpośrednio w sensie realistycznym działało na wyobraźnię poetycką wywołując nastrój liryczny". Było to przeciwstawieniem się pozornej poetyczności i złudnemu fantazjotwórstwu Młodej Polski, jak pisze Czernik, oraz dążeniom Awangardy do rozwiązań formalnych, wśród których trafiały się takie zaskakujące metafory, jak „koniak krwi", „jajko natchnienia", „półmisek radości" itp. W dyskusjach, jakie się wywiązały na temat nowego kierunku Czernik wykazywał odmienność swego programu poetyckiego od manifestów różnych innych grup podkreślając, że „autentyzm" ma swe źródła w doświadczeniach młodych poetów pochodzenia wiejskiego, w zadaniach stawianych poecie, z których głównym jest wierność prawdzie wewnętrznej, a nie — rzeczywistości, oraz silnie akcentował znaczenie elementów moralnych w selekcji tworzywa. Najciekawsze z tych haseł wydaje mi się jednak oświadczenie dodatkowe, że zwrot do przeżycia autentycznego nie oznaczał u poety całkowitego zerwania z 'innego rodzaju materiałami („z drugiej ręki"), a więc — z elementami marzeń, z lekką igraszką fantazjotwórczą i z reminiscencjami.

Bo czy nie ma w tym czasem sprzeczności? Skoro zasadą ma być wierność prawdzie wewnętrznej, autentyzm, czyli przeżycie rzeczywiste, niepodrobione, to przecież „materiał z drugiej ręki" i „reminiscencje" znajdują się chyba na granicy imitacji czyli są zaprzeczeniem autentyzmu?

„Dzień przed żniwami" jest właśnie uderzającym przykładem praktyki poetyckiej z pogranicza naśladownictwa *).

Skromny objętościowo, lecz estetyczny w kształcie introligatorskim i opracowaniu graficznym Antoniego Boratyńskiego tomik zawiera utwór tytułowy (nazwany „sielanką w trzech aktach") oraz poemat „Msza Węgla i Lilij" i dramat pt. „Bezprym".

„Dzień przed żniwami" jest świadomie stylizowaną na modłę „Wesela" i „Wyzwolenia" sztuką, o której Karol Irzykowski pisał, że „pełno tu wypsiańszczyzny (...) ale na pochwałę zasługują jędrne charakterystyki osób wsiowych i miejskich oraz wiersz elastyczny, obrotny , zarówno w partiach humorystycznych, jak w podniosłych tyradach". Znakomity krytyk miał — jak zawsze chyba — rację.

„Bo to z tego tak wychodzi,
że diabeł to ksiądz dobrodziej".

Te zwrotki z „Dnia przed żniwami" są przecież wyraźną modyfikacją z „Wesela":

„To któż moich groszy złodziej,
Czy Żyd jucha czy Dobrodziej?"

Podobnych reminiscencji można by przytoczyć więcej, sielanka jest napisana z wyraźnym „przymrużeniem oka", poetę bawią przestarzałe chwyty komediowe, jak na przykład zdanie w didaskaliach: „Niespodziewanie wchodzi Deus Ex Machina — pan w stroju automobilowym".

Irzykowski dostrzegł w utworze „literaturę, mitologię i politykę" („mit zbiorowy"). Dodałbym, że sielanka jest podbudowana nie gdysiejszym solidaryzmem, ideą naturalnej wspólnoty wszystkich warstw i klas, z „dobrym" Dziedzicem na czele, który rozdaje chłopom ziemię i wygłasza budujące tyrady w rodzaju:

„Jedna wiara — jeden cud:
Z szlachtą polską polski lud".

Odczytujemy dzisiaj tę uroczą sielankę jako naiwną baśń, pełną swoistego ludowego wdzięku, ale Czernik pisząc ją przed 43 laty zdawał sobie jasno sprawę z nicości solidarystycznych marzeń i w końcowych partiach utworu Student pod maską Harfiarza rozbija drewniane znalezisko, „białą rzeźbę" bożka z czasów pogańskich, symbolizującą — złudzenie „jednej wiary — jednego cudu".

„A to jest moja ludzka pięść
Walę nią w złudy jak młotem".

We wzmiankowanych tutaj wspomnieniach i materiałach do „Okolicy Poetów" Czernik pisał: „Nie mając właściwego rozeznania sytuacji, poddawałem się w tym czasie złudzeniom powstawania „trzeciej siły", jakiejś wypadkowej ze starcia świata kapitalistycznego z ideologią marksizmu". Jesteśmy więc chyba u źródeł „Dnia przed żniwami".

Poemat dramatyczny „Msza Węgla i Lilij" to utwór symboliczny. Zawsze odnosiłem się nieufnie do symbolizmu, do którego nie mogły mnie przekonać nawet dzieła laureata Nagrody Nobla z 1911 roku Maurycego Maeterlinc-

ka. Nie przeczę, że wrażliwość moja pod tym względem może jest przytępiona, dlatego wolę się nie wypowiadać na temat „Mszy Węgla i Lilij".

Natomiast trzeci utwór w tomiku, „Bezprym", jest chyba dowodem, że liryzm, wierność prawdzie wewnętrznej i autentyzm nie zdołały udźwignąć bardziej złożonego zagadnienia, które może być rozwiązane artystycznie tylko przez gatunki literackie rozporządzające szerszą skalą środków, a więc przez dramat lub powieść.

Chrobry, oddając pierworodnego syna, Bezpryma, do pustelni Benedyktynów w Italii, aby w ten sposób utorować drogę do tronu młodszemu synowi, Mieszkowi, popełnił brzemienny w następstwa błąd. Po śmierci wielkiego monarchy Bezprym wraca do Polski, odbiera młodszemu bratu koronę i dla utrzymania się na tronie zwraca insygnia królewskie cesarzowi Niemiec, zaprzepaszczając zdobycze ojcowskie: niepodległość państwa na zewnątrz, niepodzielność wewnątrz i staczając się do roli feudalnego wasala. Rezultatem wewnętrznego rozbicia kraju jest utrata przez Polskę Łużyc, Moraw i Grodów Czerwieńskich. Ten z grubsza (bez wdawania się w ważne szczegóły historyczne) zarysowany rozpad daje chyba pojęcie, że sprawa Bezpryma to potężny temat, który nie mieści się ani w „próbie poetyckiej rekonstrukcji" losów obu synów Chrobrego, ani w „dramatycznej balladzie" (...) „gdzie chodziło o poezję", jak pisze autor w przedmowie do „Bezpryma".

Dlatego chwaląc Czernika za poetycki tekst „sensu stricto", trzeba powiedzieć, że po przeczytaniu tej „dramatycznej ballady", dochodzi się do przekonania, że „wierność prawdzie wewnętrznej" nie pomaga pisarzowi i nie uwalnia go od kształtowania artystycznego zamysłu w formie, która musi jak najściślej przylegać do wyrażonej treści.

*) „Dzień przed żniwami" Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. 1969.

CARTER BROWN

kudłaty pies

Czy młody detektyw Peter Kidd mógł przypuszczać, że z powodu kudłatego psa popadnie w takie tarapaty?

Pierwsze spotkanie z psem Roverem nastąpiło w hallu Wheeler Building w pobliżu windy. Trzymał go na smyczy jakiś krępy, pyzaty człowieczek. Pies zaczął okazywać czułe zainteresowanie osobą detektywa oplątując go smyczą. Detektywowi z trudem udało się wyplątać ze smyczy i wejść do windy.

Na piątym, ostatnim piętrze budynku mieściło się biuro Kidda założone przed dwoma dniami. Wszystko tam było nowe wraz z blond sekretarką siedzącą przy maszynie do pisania.

— Dzień dobry, panie Kidd — pozdrowiła go sekretarka — Byli już pierwsi nasi klienci. Mężczyzna i kudłaty pies. Mają tu przyjść za kwadrans.

— Zapomniałem zabrać druki firmowe, muszę jeszcze zjechać na dół. Zaraz wrócę — rzekł detektyw.

Drukarnia Hendersona mieściła się na parterze. Drzwi były uchylone. Kidd zatrzymał się w progu zdziwiony. Zobaczył przy ladzie człowieka z kudłatym psem.

— Dobrze — mówił człowieczek. — Przyjdę po bilety wizytowe w środę. Kosztują dwa dolary? — Wyjął z wypchanego portfela banknot dziesięciodolarowy i położył go na stole. Henderson wydał resztę. — Dziękuję, panie Asbury — skłonił się uprzejmie.

Tymczasem Peter stanął w drugim końcu lady i załatwiał swe sprawy z urzędniczką.

— Pańskie druki firmowe już są wykonane. Zaraz je przyniosę.

W czasie, gdy kobieta wyszła do sąsiedniego pokoju, Kidd pochylił się nad ladą i przeczytał adres wypisany na karcie zleceń: Robert Asbury, ulica Kenmore 633, nr telefonu 3-3434. Właściciel psa wyszedł, nie zauważywszy detektywa.

Powróciwszy na górę z paczką druków Peter zastał pyzatego człowieka w poczekalni swego biura.

Sekretarka przedstawiła klienta: — Oto pan Smith, który chciał z panem rozmawiać.

— Pragnę powierzyć panu moją sprawę — zaczął Smith. I nie czekając na odpowiedź dodał: — O ile wiem, detektywi prywatni żądają zadatku. — Pośpiesznie wyjął z portfela plik banknotów dziesięciodolarowych. — Czy sto dolarów wystarczy?

— Dobrze — zgodził się Peter — Co mogę dla pana zrobić?

Człowieczek uśmiechnął się bojaźliwie. — Nie jestem całkowicie pewny, ale... Ktoś dwa razy próbował mnie zabić. Chciałbym aby pan odszukał właściciela tego psa. Rover wszędzie za mną chodzi.

— Gdzie i jak pan go znalazł?

— Wczoraj po południu na ulicy Vine. Był zagubiony i głodny. Gdy do niego przemówiłem, poszedł za mną aż do domu. Tam znalazłem kartkę przyczepioną do obroży.

— Kartkę? Proszę pokazać!

— Niestety, wrzuciłem ją do pieca, gdyż bałem się żony. Jest bardzo nerwowa. Był tam krótki tekst, przypominam sobie każde słowo:

„Jestem psem człowieka zamordowanego! Unikaj jego losu, panie, jeżeli ci się jeszcze uda...".

— A jak było z tymi napadami? — zainteresował się Kidd.

— Dziś w nocy nie mogąc zasnąć wyszedłem na spacer. W pewnej chwili, gdy chciałem przejść na drugą stronę ulicy, blisko mego domu, jakieś auto usiłowało na mnie najechać.

— Może to był przypadek?

— Bardzo wątpię. Auto specjalnie zboczyło z drogi. Udało mi się jednak odskoczyć na chodnik.

— Czy rozpoznałby pan samochód? Zapisał pan numer?

— To było niemożliwe. Byłem przerażony a maszyna jechała szybko. Zauważyłem, że była to niebieska lub szara limuzyna.

— A może szofer był pijany?

— Tak początkowo myślałem, dopóki nie usłyszałem strzału z pistoletu w momencie, gdy znalazłem się tuż przed domem.

— Czy pan ma nieprzyjaciół?

— Nie mam. To ten pies przynosi nieszczęście.

Kidd przyglądał się klientowi. — Co pan chce, abym zrobił?

— Trzeba zbadać skąd pochodzi pies i odprowadzić go tam. Ciekawi mnie, co się pod tą historią kryje.

— Dobrze. Czy pan zostawił sekretarce swój adres?

— Owszem, tak. Lecz bardzo proszę nie telefonować ani nie pisać do mnie. Nie chcę, aby moja żona dowiedziała się o tej sprawie. Po co ma się niepokoić? Wolę tu wpaść za kilka dni. Psa mógłby pan oddać tymczasem do schroniska.

Gdy mężczyzna oddalił się, sekretarka zapytała: — Czy mam przepisać na maszynie notatki z rozmowy?

— Nie potrzeba, panno Latham.

— Czy nie zajmie się pan tą sprawą?

— Już się nią zająłem i już jest zamknięta.

Peter podrapał pieszczotliwie psa, który łasił się uszczęśliwiony.

— Sprawa tak wygląda — ciągnął dalej Kidd. — Prawdziwe nazwisko naszego klienta brzmi Robert Asbury. Znam jego prawdziwy adres i numer telefonu. Jest bezrobotnym aktorem. Psa nie znalazł, podarował mu go niejaki Sidney Wheeler, który kupił psa specjalnie po to. Wyłożył też z góry sto dolarów. Nie zachodzi tu żadne przestępstwo.

Opowiadając to Peter był bardzo dumny, że tak szybko rozwiązał swoją pierwszą sprawę — nie wychodząc nawet z biura.

Lecz nie wiedział najważniejszego: że przestępstwa związane z kudłatym psem dopiero się zaczęły.

Robert Asbury wszedł do swego domu, pogwizdując. Mieszkał w pensjonacie artystów. W hallu znalazł kilka listów i bieżące gazety. Ledwo zaczął czytać rubrykę drobnych ogłoszeń z ofertami pracy, gdy drzwi hallu otworzyły się i weszła właścicielka pensjonatu.

Asbury szybko odłożył gazetę i przybrał swój najprzyjemniejszy uśmiech.

— Dzień dobry, pani Drake. Mówiąc to wyciągnął ostentacyjnie z kieszeni banknot pięciodolarowy. — Chciałbym wpłacić zaliczkę za komorne z ubiegłego miesiąca. Jeszcze kilka dni, a...

— Wiem, wiem — przerwała kobieta. — Zwykła historia, pan Asbury, ale być może tym razem sprawdzi się, bo przyszedł jakiś nieznajomy i chce pana zaangażować do teatru. Kazałam mu czekać w pana pokoju.

— Dziękuję pani — ucieszył się aktor.

Szedł na górę zamyślony. Kto mógłby zaoferować mu rolę? Było wielu producentów, ale który z nich fatygowałby się osobiście? Może i to jakiś eksperyment?

Dziś czuł się podniecony mając tyle banknotów w portfelu. Sto dziesięć dolarów! Niestety — tylko dziesięć należało do niego. I w jak dziwny sposób doszedł do tych pieniędzy! Czego to ludzie nie wyczyniają, aby zrobić komuś kawał. A może kryje się pod tym jakaś nieczysta sprawa? Na pozór pan Sidney Wheeler wydał mu się porządnym człowiekiem. I bogatym — miał kilka domów czynszowych. Dla niego sto dolarów — to drobne pieniądze.

Może to Wheeler przysyła kogoś z poleceniem, aby udać się jeszcze raz do biura adwokata Kidda? Można by zarobić drugie dziesięć dolarów!

Drzwi pokoju aktora były uchylone. Asbury otworzył je szeroko — i natychmiast chciał się cofnąć.

Naprzeciw drzwi siedział w fotelu jakiś mężczyzna, który trzymał w ręku pistolet z tłumikiem. Lufa była wycelowana w kierunku trzeciego guzika kamizelki aktora. Przerażony Asbury wyciągnął ręce, aby się zasłonić i potknął się.

Człowiek w fotelu nacisnął cyngiel.

* * *

„Jestem psem człowieka zamordowanego. Unikaj jego losu, panie, jeżeli ci się jeszcze uda" — recytowała sekretarka.

— Nic z tego nie rozumiem.

Peter Kidd uśmiechnął się i spojrzał na kudłatego psa, który drzemał w cieple promieni słonecznych, wpadających przez okno.

— To jest po prostu kawał, który mi wyrządził Sid Wheeler, Wydaje mu się, że jest mi winien sto dolarów.

— Jak mam to rozumieć?

— To stara historia. Uczęszczaliśmy razem na uniwersytet. Już wówczas Sidney miał wiele sposobów na zrobienie majątku w krótkim czasie. Pewnego dnia zaproponował mi, abym przystąpił ze stu dolarami do spółki w realizowaniu świetnego, jak mówił pomysłu. Niestety, nie udało się, straciliśmy pieniądze. Jednak Sidney uważał, że jest moim dłużnikiem i gdy zaczęło mu się później powodzić, usiłował oddać mi pieniądze. Ja naturalnie odmówiłem.

— I pan sądzi, że on zobowiązał tego Smitha, czy Asbury...

— Rozumie się. Czy nie widzi pani, że ta cała historia jest śmieszna? Dlaczego ktoś miałby wieszać kartkę na obroży psa, a potem zabijać człowieka, który tego psa znalazł na ulicy?

— I co pan ma teraz zamiar zrobić?

Adwokat zamyślił się. — Przede wszystkim oddam Sidowi pieniądze. A może też odpłacę mu jakimś kawałem?

* * *

Człowiek, który zabił Roberta Asbury, był zdenerwowany i wystraszony. Aktor wpadł mu wprost w ramiona i poplamił krwią przód marynarki. Zabójca wytarł mokrym ręcznikiem plamy na ubraniu, a potem klamki, krany — i wszystko to, co mogłoby nosić odciski jego rąk. Rzucił ręcznik w przedpokoju i wyszedł.

Na schodach nie spotkał nikogo. Wybiegł szybko na ulicę. Po kilkunastu minutach znalazł kabinę telefoniczną i nakręcił numer. Usłyszał znajomy głos.

— To ja... — mówił prawie szeptem. — Widziałem go... Nie miał już ich... O nie, nie mogłem go zapytać... Ja... Bo on już nigdy nie będzie mówił. Czy pan mnie zrozumiał?

Słuchając odpowiedzi, spochmurniał. — Musiałem tak zrobić, chciał się na mnie rzucić. To wszystko... Whee... ten drugi? Idę tam zaraz.

Wciągnął głęboki oddech i ruszył w dalszą drogę. Wreszcie stanął przed wysokim budynkiem. Wszedł do biura.

— Czy jest pan Wheeler?

— Tak — odpowiedziała urzędniczka. — Kogo mam zameldować?

— Nie zna mego nazwiska. Chciałbym wynająć w jego domu lokal na biuro.

— Proszę tam wejść. — Urzędniczka wskazała drzwi gabinetu szefa. — Teraz właśnie telefonuje, jak skończy, zaraz pana przyjmie.

— Dziękuję — rzekł człowiek z poplamioną marynarką.

Skierował się ku drzwiom z napisem „Prywatne — Sidney Wheeler". Otworzył je i zamknął za sobą.

* * *

Peter Kidd włożył sto dolarów do koperty i schował do kieszeni. Nakręcił numer telefonu biura Wheelera.

— To ty, Sidney?

— Proszę zaczekać, w tej chwili rozmawia — wyjaśnił urzędnik. Adwokat usłyszał odgłos słuchawki położonej na biurku.

— Halloł — zawołał po kilku minutach. W aparacie panowała cisza. Kidd położył słuchawkę na widełki.

— Co się stało? — zapytała sekretarka.

— Zapomniał podejść do telefonu. Może to i lepiej. Zbyt łatwo wymigałby się z tej sprawy. Muszę mu odpłacić pięknym za nadobne.

— Ale jak? — zainteresowała się.

— Wymyślę jakiś kawał związany z psem. Dlatego muszę dowiedzieć się, skąd wzięli Rovera. Pójdę do aktora, będzie mi potrzebny. Biorę także psa. Chodź, Rover! Może pani poda mi jeszcze numer domu, w którym mieszka Asbury.

Sekretarka speszyła się. — Przykro mi bardzo, nie zanotowałam. O numerze mówił pan później.

— Nie szkodzi. Poproszę o to drukarza.

Henderson przyjął Kidda natychmiast. Przyglądał się Roverowi ze zdumieniem. — Czy nie widziałem już tego psa z kimś innym? Godzinę temu? — zapytał.

Kidd przytaknął. — Z człowiekiem, który nazywa się Robert Asbury. Zamawiał tu bilety wizytowe. Przyszedłem, aby dowiedzieć się o jego adres.

— Zaraz sprawdzę. Ale co to wszystko znaczy? Asbury zgubił psa, a pan go znalazł?

Kidd zawahał się. Potem przypomniał sobie, że przecież Henderson znał dobrze Wheelera. Opowiedział więc pokrótce historię z kawałem.

Drukarz uśmiechnął się. — A pan chce mu odpłacić. Wspaniale! Oto adres pana Asbury.

Peter podziękował i wyszedł.

Przybywszy na ulicę Kenmore zauważył, że coś się tam dzieje. Przed domem 633 stała grupa ludzi i kilka samochodów policyjnych. Po chwili ukazał się lekarz z dwoma pielęgniarzami, którzy nieśli nosze przykryte prześcieradłem. Peter przeraził się.

Jakiś mężczyzna wybiegł z domu i z trudem torował sobie drogę wśród tłumu. Adwokat rozpoznał swego przyjaciela Powella, dziennikarza.

Schwycił go za rękę i zapytał: — Co się stało?

— Jakiś Asbury. Ktoś go zastrzelił. Nie żyje.

Kto to zrobił?

— Nie wiem. Właścicielka domu zeznała, że ktoś oczekiwał aktora w jego pokoju. Potem zabił go i zwiał. Pani Drake słyszała jak schodził po schodach. Poszła na górę, aby dowiedzieć się, czy aktor otrzymał posadę. Zobaczyła trupa. Czy znałeś zmarłego?

— Spotkałem go tylko raz — stwierdził Kidd. — Czy ktoś mówił o psie?

— Co to znaczy?

— A no, miał psa.

— Nie wierzę w to. W pensjonacie nie wolno trzymać psów. Skąd mógłbym tu zatelefonować?

— Za tym rogiem jest cukiernia — odparł Kidd.

Weszli do lokalu. — Dwie herbaty! — zamówił Powell i pobiegł do telefonu.

Adwokat przysłuchiwał się rozmowie, lecz nie znalazł nic interesującego.

Powell wrócił do stolika. Po chwili wstał i wyjrzał przez okno na ulicę. — Ciekawe. Ten typek na chodniku przed domem... śledzi mnie czy ciebie?

Kidd zauważył wysokiego i szczupłego człowieka, który stał w bramie. — Nie znam go — stwierdził. — Dlaczego sądzisz, że nas śledzi?

— Widziałem go przed domem, w którym dokonano morderstwa. Teraz stoi przed cukiernią. Skąd wziąłeś tego psa?

Peter spojrzał na Rovera. — Podarowali mi go. Jak myślisz, czego od nas chce ten człowiek na chodniku?

— Spróbujemy to zbadać. Wyjdziemy stąd razem i pójdziemy w przeciwne strony. Ja do miasta, a tym nad rzekę. Zobaczymy za kim pójdzie.

Gdy wyszli, Kidd zatrzymał się po jakimś czasie udając, że zapala papierosa. Nieznajomy był za nim o kilkanaście kroków. Nagle Kidd przypomniał sobie, że budynki stojące obok zajęte były na magazyny i dla tego nikt tędy nie przechodził, ani nie przejeżdżał.

Odwrócił się jeszcze raz i zobaczył, że człowiek odpiął poplamioną marynarkę i wyciąga pistolet z tłumikiem.

Kidd puścił smyczę i krzyknął: — Bierz go, Rover!

Pies skoczył do przodu i rzucił się na mężczyznę. Pistolet strzelił w próżnię. Kidd pobiegł za psem. Lecz Rover lizał teraz twarz napastnika. Mężczyzna odtrącił psa i zaczął uciekać. Po chwili zniknął w bocznej ulicy.

Peter wziął psa na smyczę czyniąc mu gorzkie wyrzuty. Rover machał ogonem zadowolony z zabawy.

A więc — prawdą była historia opowiedziana przez Roberta Asbury — rozmyślał adwokat. To już nie żart, aktor rzeczywiście został zamordowany. Czy ten człowiek z pistoletem śledził Kidda dlatego, że rozpoznał zwierzę? Może to szaleniec zdecydowany zabijać każdego nowego właściciela psa?

Trzeba szybko porozumieć się z Wheelerem! Jeżeli istotnie wymyślił żart, to zbrodnia byłaby tylko fatalnym zbiegiem okoliczności.

Wstąpił do baru i zatelefonował do biura Sida.

— Pana Wheelera nie ma — odpowiedział głos kobiecy. — Godzinę temu zawieziono go do szpitala. Ktoś do niego strzelał.

— Jak to się stało, panno Ames? — zapytał Kidd.

— Przyszedł jakiś nieznajomy i twierdził, że ma interes do pana Wheelera.

— Jak wyglądał przestępca?

— Był wysoki i szczupły, w jasnym ubraniu. Przód marynarki miał lekko poplamiony.

— Panno Ames, czy szef kupował jakiegoś psa?

— Tak, właśnie wczoraj. Duży, biały kudłaty, pies. Pan Wheeler powiedział, że chce komuś zrobić kawał.

— Co się stało z psem?

— Dał go jakiemuś śmiesznemu człowieczkowi. Nie wiem jak się nazywał.

Kidd odłożył słuchawkę. Spojrzał na psa i przypomniał sobie wierszyk. „Pies człowieka zamordowanego"! Trzeba telefonować do policji!

Przedtem nakręcił numer swego biura. — Tu mówi Peter Kidd. Panno Latham, proszę zamknąć biuro i natychmiast iść do domu.

— Tak, ale... policja jest już tutaj. Przyszedł jakiś porucznik i chce z panem rozmawiać.

— Niech poczeka, zaraz przyjdę — odpowiedział Kidd.

— Porucznik West, adwokat Kidd — przedstawiła sekretarka.

— Przyszedłem w sprawie Roberta Asbury. Czy pan go znał? Znaleźliśmy pański adres na kartce, którą miał w kieszeni.

— Pana Asbury poznałem dzisiaj. Przysłał go prawdopodobnie Sidney Wheeler. To skomplikowana historia, najlepiej będzie, jeżeli panu opowiem wszystko od początku.

Porucznik słuchał z wielkim zainteresowaniem. Od czasu do czasu spoglądał na psa.

— I pan ma te pieniądze przy sobie? — zapytał, gdy Kidd zakończył. — Czy mogę je zobaczyć?

Kidd podał mu kopertę. West obejrzał zawartość i wsunął wszystko do kieszeni.

— Panie poruczniku, proszę oddać pieniądze Wheelerowi. Chyba, że panu przyszła do głowy ta sama myśl, co mnie. Sądzę, że tak — inaczej nie wziąłby pan pieniędzy.

— Jaka myśl? — zapytał West.

— Zaraz wyjaśnię. Myślę, że pies nie ma nic wspólnego ze sprawą zabójstwa Roberta Asbury oraz próbami zastrzelenia Wheelera i mnie. W grę wchodzi coś zupełnie innego: pieniądze — i tylko pieniądze.

— W jakim sensie, panie Kidd?

— Pieniądze są przyczyną zbrodni. Przestępca chciał je odzyskać.

— Nie rozumiem do czego pan zmierza.

— Te dolary są fałszywe, panie poruczniku!

— Możemy je łatwo zbadać, ale dlaczego pan tak myśli?

— Nie znajduję innej pobudki działania mordercy. Jeżeli przypuścimy, że pieniądze są fałszywe, to wszystko da się wyjaśnić. Przypuśćmy także, iż jeden z lokatorów Wheelera jest fałszerzem.

West zmarszczył czoło. — Zgoda, przypuśćmy.

— Sid mógł wczoraj pobrać komorne w sumie stu dolarów. Lokator zapłacił fałszywymi pieniędzmi. Zrobił to przez pomyłkę, gdyż wiadomo, że żaden fałszerz nie działa w środowisku, które go zna. Sid dał te pieniądze aktorowi i...

Adwokat przerwał wyjaśnienia i krzyknął: — Ależ to jasne!

— Co jest jasne? — mruknął West.

— Wszystko! Wszystko prowadzi do Hendersona!

— Kto to jest?

— Henderson jest drukarzem. Mieszka tu na parterze. Jedyny drukarz wśród lokatorów Wheelera. I właśnie dziś Asbury płacił Hendersonowi za bilety wizytowe dolarami otrzymanymi od Wheelera. Drukarz widział wypchany portfel aktora, zauważył w nim swoje fałszywe pieniądze, te same, które dał Wheelerowi za komorne. Odtąd Henderson musiał szybko działać, aby odzyskać fałszywe banknoty. Wysłał wynajętego człowieka do Roberta Asbury. Zabity aktor nie miał jednak przy sobie pieniędzy, gdyż zostawił je u mnie. Trzeba było więc zabić Wheelera i tych, którzy mają fałszywe pieniądze, aby policja nie mogła trafić do źródła, do drukarni.

Ja sam narobiłem sobie kłopotów, gdy poszedłem do Hendersona w sprawie adresu aktora i wszystko mu opowiedziałem. Także o tym, że mam pieniądze i że pochodzą od Wheelera. Morderca oczekuje mnie przed domem zmarłego aktora, potem idzie za mną... Chwileczkę, chciałbym panu coś pokazać.

Kidd uchylił drugą szufladę biurka. Włożył tam rękę, wyciągnął pistolet i skierował w stronę porucznika Westa.

— Ręce do góry! Panno Latham, proszę wezwać policję!

* * *

— Jestem zdumiona — rzekła sekretarka, gdy policja zabrała Westa. — Jak pan do tego doszedł, że to nie był prawdziwy policjant?

— Nie byłem pewny. Lecz w miarę opowiadania wypadków przyszło mi do głowy, że banda fałszerzy nie porzuci sprawy z tego powodu, że im się ze mną nie udało.

Gdyby się okazało, że to prawdziwy policjant — wyszedłbym na idiotę. Ale wolałem to niż ryzykować życiem.

Sekretarka wzdrygnęła się — Zabiłby nas obojel — Otworzyła nowiutką księgę główną.

— Nasza pierwsza sprawa: sto dolarów fałszywych i kudłaty pies.

Peter spojrzał na psa i roześmiał się. — Taki bardzo kudłaty to on nie jest!

Oprac. A. S.

Powiedzonka roku

Człowiek wcale nie jest tak doskonały jak wygląda w podaniach o posadę.

WERNER FINK

Flirt — to spędzenie czasu z poprzednikiem tego jedynego wymarzonego.

CONNY FROBESS

Fala plotek jest szybsza od fali dźwięku.

MARIO DEL MONACO

Od nastolatka wymagają, by zachowywał się jak dorosły, a dał się traktować jak dziecko.

CONNIE FRANCIS

Z biegiem czasu żałuje się popełnionych grzechów oraz tych, które nie zdążyło się popełnić.

BRIGITTE BARDOT

Nie sposób wybrać sobie rodziców, ale przynajmniej przy wyborze teściów należy zachować ostrożność.

GUS BACKHUS

Wielu mężczyzn nie odważa się na kłótnię z żoną, obawiając się zbyt wygórowanych kosztów pojednania.

FRANK SINATRA

Zamiast zamartwiać przyjaciół twoimi kłopotami — sprawę przyjemność twoim wrogom.

BING CROSBY

Trzeba się uczyć na obcych błędach. Przecież nikt nie jest w stanie sam wszystkich popełnić.

PETER VON EYCK

Niesłusznie zarzuca się meteorologom, że ich przepowiednie są fałszywe. Z upływem czasu wszystkie się sprawdzają, trzeba tylko cierpliwie czekać.

FERNANDEL

(Zebrał Igrek)

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

GRY I ZABAWY DZIECIĘCE JAKO TEMAT W SZTUCE

Interesujące jest prześledzenie tematu, bardzo zresztą obszernego, jakim są gry i zabawy dziecięce w malarstwie i rzeźbie na przestrzeni wieków. Krótko i dość syntetycznie omówił ten temat Josef Giesen w ostatnim numerze miesięcznika „Die Kunst und das schone Heim".

Gry dzieci, jako treść obrazu czy rzeźby znane są od najdawniejszych czasów, choć różnie przedstawiane. I tak np. artyści starożytni przedstawiali dzieci i młodzież głównie przy grach sportowych, wyrabiających sprawność fizyczną, dzielność i bystrość umysłu.

Odrębnym niejako działem są zabawy dzieci ze zwierzętami. Motyw ten przeplata się w sztuce od choćby „Dziewczynki z gołębiem i wężem" z ok. 80 roku przed naszą erą, czy słynnej statuetki „Chłopiec z gęsią" z roku 180 przed n. e., aż po współczesne nam „Dziecko z gołębiem" Picassa.

Trzecia grupa w tym temacie — to zabawa dzieci polegająca na pomaganiu starszym w ich zajęciach lub naśladowaniu ich codziennych domowych czynności. Często w dziełach sztuki dzieci występują jako małe duszki domowego ogniska w okresie późniejszego antyku, aniołki w późniejszym średniowieczu, czy pucołowate amorki w czasach baroku i rokoka.

Mali święci grający w kulki. Dzieło nieznanego malarza z drugiej połowy XV wieku

Chłopiec powożący kozłem. Płaskorzeźba z rzymskiego sarkofagu

Charakterystyczne, że bawiących się dzieci nie ujrzymy niemal wcale, ani na obrazach, ani w rzeźbie, w czasach surowej, scholastycznej myśli średniowiecznej. Rzadko (z biegiem lat coraz częściej) pojawia się jedynie obraz zabawy dziecięcej małego Jezusa. Dopiero z końcem XIV wieku znowu temat bawiących się dzieci wraca powoli do sztuki choć ciągle jeszcze związany jest z myślą religijną. Dzieci przy grach i zabawach występują teraz, jako aniołki lub mali święci i zajmują się tak świecką rozrywką, jak np. gra w kulki. Wizerunkami tak wyobrażanych dzieci ozdabiane bywały wnętrza kościołów. Później dzieci występowały nieraz w zabawach ruchowych na drugim planie obrazów religijnych. Stopniowo motyw bawiących się dzieci wyodrębnia się stając się samodzielnym tematem obrazu.

Dziełem wyjątkowym i stanowiącym prawdziwy przełom stał się około roku 1560 obraz Bruegla zatytułowany „Zabawy dziecięce". Od tego czasu malarze coraz śmielej i częściej sięgają po ten temat.

Pieter Bruegel zwany Chłopskim lub Starszym, słynny malarz niderlandzki namalował w zamkniętej, zwartej kompozycji aż dwieście dzieci zajętych osiemdziesięcioma przeróżnymi rodzajami gier i zabaw. Obraz jest prawdziwą kopalnią wiedzy dla historyka kultury. Płótno Bruegla jest specyficznym zjawiskiem w historii sztuki nie mającym ani precedensu, ani kontynuatorstwa. W późniejszych dziełach malarz wykorzystywał motyw bawiących się dzieci jako element ruchu.

Malowaniem zabaw i gier dziecięcych zajmowało się następnie i zajmuje do dziś dnia wielu artystów. Wystarczy wymienić takie nazwiska, jak Murillo, Goya, Manet, Renoir czy nasz Daniel Chodowiecki (1726—1801), który narysował wiele bawiących się dzieci.

GIACOMETTI

„Nie po to tworzę, aby wykonywać piękne obrazy lub piękne rzeźby. Sztuka jest tylko sposobem widzenia. Wszystko na co patrzę przerasta mnie i zadziwia" — mówił kiedyś Giacometti. Innym razem wyznawał: „Dążeniem współczesnych artystów jest przede wszystkim chęć uchwycenia, posiadania czegoś co wciąż ucieka".

Toteż jeśli dzieło jakie wykonał nie odpowiadało całkowicie jego wizji, niszczył je lub wielokrotnie przerabiał z ogromną pracowitością i wysiłkiem. Niezmordowany w artystycznej pracy, oddany jej bez reszty tworzył dzieła na wskroś oryginalne.

Dziś prawie w cztery lata po jego śmierci paryska wystawa retrospektywna Alberto Giacometti'ego zgromadziła ok. 300 dzieł, rzeźb, rysunków, portretów budząc żywe zainteresowanie, zwłaszcza, że jak dotąd jest to największa wystawa dzieł tego artysty.

Alberto Giacometti urodził się w 1901 roku w Stampa w Alpach szwajcarskich, jako syn malarza impresjonisty. Od dziecka zdradzał niepospolity talent artystyczny. Gdy miał lat trzynaście wyrzeźbił popiersie swego starszego brata, Diego. Po latach, w okresie najwyższych osiągnięć twórczych, Giacometti powie, że jego najlepszym dziełem, jakie kiedykolwiek stworzył było to właśnie popiersie.

Studia artystyczne odbywa Alberto Giacometti najpierw w genewskiej Ecole des Arts et Metiers. W roku 1921 wyjeżdża do Paryża, by studiować w pracowni słynnego rzeźbiarza Bourdelle'a. Przez lat blisko dziesięć pozostaje pod przemożnymi wpływami surrealizmu nim wypracuje sobie własną drogę twórczą. Będąc w Paryżu odwiedza często Luwr, studiuje eksponaty starożytnej sztuki etruskiej, zabytkowe przedmioty artystyczne starożytnego Egiptu, interesuje się później sztuką ludów afrykańskich i mieszkańców Polinezji.

Odszedłszy od surrealizmu dorabia się własnego stylu twórczego, który charakteryzuje ekspresjonistyczne wydłużanie form. Jest w tym dziwna siła ekspresji, a postacie, jakie rzeźbi robią wrażenie jakby znajdowały się w ruchu.

Łodzianie mieli możność choć fragmentarycznego zapoznania się z twórczością Giacommeti'ego na Wystawie Współczesnego Malarstwa Francuskiego w grudniu 1968 r. i styczniu 1969 roku, gdzie oglądaliśmy portret, rysunek grafitem na papierze z roku 1963.

POLONICA

INICJATYWA ZASŁUGUJĄCA NA REALIZACJĘ

W organie białoruskiego Ministerstwa Kultury „Litaratura i Mastactwa" z 21. X. 1969 roku ukazał się artykuł znanego poety, Anatola Wiarcińskaha, poświęcony parudniowemu pobytowi Jana Huszczy w Mińsku w ub. roku. Autor wyraża zadowolenie z powodu ukazania się „na stronicach łódzkiego czasopisma „Odgłosy" grunt townego reportażu" o tym pobycie, o spotkaniach z białoruskimi pisarzami, a następnie wymienia należące do J. Huszczy przekłady z białoruskich poetów, które ukazały się w „Poezji", w „Szpilkach" i w „Karuzeli", wreszcie konkluduje:

„I jeszcze jedna dobra, zasługująca na pochwałę, inicjatywa naszego przyjaciela Jana Huszczy — doprowadzić do wydania zbiorów poetyckich przekładów w Łodzi i w Mińsku. Jan Huszcza i inni poeci, jacy mieszkają w Łodzi a biograficznie związani są w podobny sposób z Białorusią (na przykład: Kononowicz i Chróścielewski), przetłumaczą i wydadzą książkę z naszą poezją, my zaś wydamy w Mińsku zbiór ich wierszy. Huszcza wysunął tę propozycję wcześniej, gdy był w Mińsku, niedawno zaś znowu rozmawiał o niej z Janką Brylem, który odwiedził Polskę. Początek zrobiono: nasze wiersze ukazały się w druku w Polsce, czasopismo „Maładość" podjęło się prezentacji wierszy poetów łódzkich. Doprowadźmy tę sprawę do końca! Jan Huszcza dał nam dobry przykład".

(xy)

POLONICA

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TP OBIEKTYW

EMISJA NOWOROCZNA

Telewizja staje się organizmem programowo-technicznym coraz bardziej skomplikowanym, coraz oporniej poddającym się globalnym ocenom. Stąd i podsumowanie programu za rok 1969 staje się zadaniem nad siły. Czy zadowolił nas? Z pewnością nie! Ale czy w ogóle można sobie wyobrazić sytuację, w której bylibyśmy w pełni zadowoleni z tego, co nam telewizja nadaje?

Przede wszystkim rośnie armia odbiorców programu. Szacunkowo przekroczyła już 10 milionów. A więc co trzeci obywatel polski — telewidzem! Czy można liczyć na jedność poglądów i życzeń przy takiej masie zindywidualizowanych gustów? Do rzadkości należą programy, których ocena jest jednoznaczna (to znaczy, że przeważa jednomyślna opinia). Trzon stanowią pozycje średnie, podobające się jednym, odstręczające innych.

Pewnym remedium na obecną sytuację może stać się II program Telewizji Polskiej. Można by obrazowo powiedzieć, że puka on już do naszych bram. Rok 1970 będzie pod tym względem przełomowy. Program ten odbieralny na razie tylko w Warszawie, Łodzi, Krakowie i Katowicach (z najbliższą okolicą tych miast) mo-

że pokusić się o emitowanie pozycji nieco trudniejszych, przeznaczonych dla bardziej wyrobionego widza.

Ale możliwość wyboru, i to na ograniczonym terenie, nie załatwia wiecznie aktualnej sprawy podnoszenia atrakcyjności poszczególnych pozycji programowych. Pamiętam, że rok temu pisałem w tym miejscu o wysiłkach, jakie kierownictwo TVP zamierza podjąć, by program nie był „przegadany". Jednocześnie, by podnieść poziom publicystyki. Czy udało się coś osiągnąć na tym odcinku? Zlikwidowano parę magazynów, których ilość była nadmierna, wprowadzono więcej dźwiękowych relacji filmowych. Niewiele to, ale zaznacza się pewien postęp.

Niejakie ożywienie dało się zauważyć na odcinku programów artystycznych i rozrywkowych. Rusza z martwego punktu dramaturgia telewizyjna, coraz więcej pojawia się filmów telewizyjnych, w tym popularnych seriali. Nadal natomiast pewien impas przeżywa tak lubiana przez telewidzów „Kobra". Wyeksploatowały się stare źródła tematyczne, z trudem znajduje się nowe.

W zakresie rozrywki — sporo inwencji, ale nie zawsze dobre rezultaty. Udany „Wielokropek" zastąpiono zdecydowanie słabszą pozycją (mimo zaangażowania do pisania tekstów znanych satyryków). Honor domu ratuje wciąż tandem Gruza-Fedorowicz, ale i jego pomysłowość nie jest niewyczerpana.

O udziale Łodzi na antenie ogólnopolskiej mówić można z uczuciem pewnego niedosytu. „Wejścia" ŁOT były raczej przeciętne. Do ciekawszych zaliczyć można dwa programy rozrywkowe zrealizowane wespół z Teatrem Wielkim. Nowoczesna aparatura sceniczna pozwoliła na skonstruowanie dużego show o charakterze rewiowym — formy grawitującej ku włoskiemu „Studio Uno" (toutes proportions gardées!). Warto te próby kontynuować.

Do aktywów zaliczyć także należy, że w ubiegłym roku aktualności łódzkie zaczęły coraz częściej wkraczać do Dziennika Telewizyjnego w drodze bezpośrednich przełączeń na Łódź. Dawniej z zazdrością patrzyliśmy, że ubiegają nas w tym inne ośrodki regionalne, a zwłaszcza Katowice, Kraków i Gdańsk. Obecnie sytuacja uległa radykalnej poprawie.

Parę słów na usprawiedliwienie ŁOT. Zwracałem już nieraz uwagę na to, że ośrodek nasz z przodującego technicznie w kraju, (jakim był w 1958 roku) przesuwa się stopniowo na coraz dalsze miejsce. Jest to wynikiem polityki inwestycyjnej Komitetu d/s Radia i Telewizji. Nie wypominając już katowickiego Bytkowa i krakowskich Krzemionek, stwierdzić trzeba, że wszystkie niemal ośrodki regionalne wzbogacały się o coraz nowe zdobycze techniczne. Łódź stała jakoś w miejscu. A w telewizji kto stoi w miejscu, ten się cofa.

No i wreszcie następują pewne symptomy poprawy! Przyszła i na nas kolej w doinwestowaniu. Przede wszystkim wyczekiwany od lat wóz transmisyjny! Mamy go wreszcie! W ślad za nim przydzielona ma być kamera dźwiękowa, czyli — jak mówią filmowcy — 100-procentowa.

Zaistnieją więc warunki, by wzrósł udział naszego ośrodka w telewizyjnych programach publicystycznych i popularno-naukowych. Bo wóz transmisyjny, to nie tylko możliwość relacjonowania na żywo meczów sportowych i innych imprez. Programowcy z ŁOT (poinformował mnie o tym redaktor naczelny Edward Szuster) zamierzają wykorzystać nowoczesny sprzęt dla specjalizowania się w problematyce społeczno-obyczajowej.

W I połowie 1970 roku oddane ma być do eksploatacji studio małych form. Odciąży ono w znacznym stopniu duże studio ŁOT, przejmując studyjne programy publicystyczne. Zwiększą się tym samym możliwości programowe dużego studia w zakresie dużych form artystycznych.

Tyle zmian w najbliższej przyszłości. Są jednak perspektywy na dalsze. W początkach 1970 roku CeTeBe przeniesie się z wieżowca przy ul. Sienkiewicza do własnego biurowca, pozostawiając Łódzkiemu Ośrodkowi Telewizyjnemu cały swój użytkowany obecnie stan posiadania w zakresie lokalowym. Wtedy przystąpi się do adaptacji uzyskanych tą drogą powierzchni dla celów produkcyjno-technicznych telewizji. Między innymi zabudowane zostanie i zamienione w pomieszczenia warsztatowo-magazynowe wewnętrzne podwórze wieżowca.

Ale i na tym nie koniec! W latach 1971—72 rusza budowa łódzkiego centrum radiowo-telewizyjnego na terenach przyległych do Rozgłośni Polskiego Radia przy ul. Narutowicza.

Nie popadajmy jednak w tani optymizm. Potrzeby telewizji rosną z zawrotną szybkością. Na całym świecie trwa wyścig w postępie technicznym. Musimy dołożyć wielkiego wysiłku, by z obecnej dość zacofanej pozycji wysunąć się znów na miejsce przodujące w kraju, dorównujące standardem zagranicy. Potrzeba nam nowoczesnych kamer i aparatur rejestrujących program, stołów trickowych i urządzeń od elektronicznego montażu. Potrzeba wreszcie ludzi, którzy umieliby z aparatury tej robić jak najlepszy użytek w interesie programu i telewidzów.

I tu dochodzimy do jeszcze jednej dziedziny, w której telewizję łódzką czekają poważne zadania. Łódź

ma się bowiem stać kuźnią kadr telewizyjnych dla całego kraju. Rozmowy, jakie aktualnie toczą się między kierownictwem Telewizji Polskiej, a rektoratem Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej im. L. Schillera w Łodzi zmierzają do stworzenia ścisłych form współpracy przy tworzeniu zrębów studiów telewizyjnych. Łódzki Ośrodek Telewizyjny wespół z PWSTiF będzie miał przy tym do spełnienia niezwykle ważne dla przyszłości całej naszej telewizji zadania.

Tym mimo wszystko optymistycznym akcentem zamknijmy noworoczne rozważania.

EWA NURCZYŃSKA

KINO 1969

Do niedawna pojęcia kino i film były używane wymiennie. Nadeszły jednak lata, gdy coraz silniej zaczynamy sobie zdawać sprawę z tego, iż słowo film stało się pojęciem bardzo szerokim, odnoszącym się nie tylko do rejonów działania artystycznego. Niemały w tym udział ma telewizja, w której olbrzymia ilość programów to także prezentacja filmów i zdarzeń zanotowanych na taśmie. Użytkowa rola filmu w rejestracji najprzeróżniejszych form ludzkiej działalności i inwencji każe choćby dla porządku i jasności posługiwać się coraz częściej określeniem „kino" dla wyodrębnienia z potoku najprzeróżniejszych form filmowych tego co jest sztuką, a więc kinem artystycznym. Nie bez przyczyny autentyczni wielbiciele sztuki filmowej w spotkaniu z wybitnym czy interesującym jej przykładem mówią z satysfakcją: — „Ale kino!" A więc kino! Jakież ono było na polskich ekranach w odchodzącym 1969 roku? Jak zwykle — i dobre i złe.

Osobliwością lektur filmowych jest niemożność częstych do nich powrotów i to w ogromnej mierze decyduje o ulotności przeżytych wrażeń. Przypomnijmy zatem pokrótce, które filmy mijającego roku dostarczyły przeżyć szczególnych, jakie zjawiska tego roku warto odnotować.

Przyzwyczajeni od lat do narzekań na polski film, przerzucając kartki ki nowych lektur stwierdzamy z niejakim zdumieniem, że 1969 rok był dla polskiej kinematografii i polskich widzów wyjątkowo szczodry. Był to rok, który przyniósł małą ilość filmów nijakich, że polskie filmy, choć nie zawsze w pełni udane, nie pozostawiały nas na ogół w stanie obojętności.

Wydarzeniem nr 1 była oczywiście premiera „PANA WOŁODYJOWSKIEGO" J. Hoffmana. To dzieło w pierwszych założeniach stworznoe „ku pokrzepieniu serc" zjednoczyło, jak rzadko się zdarza publiczność i krytykę. Akcentując tu rolę sienkiewiczowskiego geniuszu, z satysfakcją odnotowujemy jeszcze raz zasługi reżyserskiego, operatorskiego i aktorskiego wkładu w ów nowy, dla milionów przeznaczony, kształt opowieści o dziejach „małego rycerza". Jeszcze raz polska kinematografia udowodniła, że wypracowała sobie swój model supergiganta, może skromniejszego w środkach, za to ambitnego w rozwiązaniach artystycznych, do których realizacji angażuje najwybitniejszych swych twórców.

Odchodzący rok był bardzo pracowitym okresem dla artysty, który jest w świecie pierwszym ambasadorem polskiego kina. Andrzej Wajda przedstawił publiczności dwa filmy: „WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ" i „POLOWANIE NA MUCHY". Kim jest Wajda dla polskiego odbiorcy, czym są w społecznej świadomości jego filmy, niechaj świadczy fakt, że po premierze obu filmów a zwłaszcza „Polowania na muchy" rozległy się głosy, że Wajda takich filmów robić nie powinien. Zrealizowany przez niego dramat psychologiczno-obyczajowy, a potem komedia obyczajowa to filmy, które w oczach niektórych krytyków są nieporozumieniami w twórczości artysty, że jego przeznaczeniem niejako, jest temat bohaterski, temat tragizmu losu narodowego. Z absurdalnością tych zarzutów nie miejsce tu dziś polemizować. Można tylko powiedzieć, że w obu filmach odnaleźliśmy takie bogactwo artystycznych środków wyrazu, taką wielość wnikliwych ocen współczesnego społeczeństwa — a przynajmniej pewnych jego kręgów, w „Polowaniu na muchy" zaś nie spotykaną w polskiej kinematografii umiejętność wykorzystania dla tych celów intelektualnego żartu, że życzyć by sobie można, by te nowe rejony tematyczne pozostały nadal w centrum uwagi Wajdy. Tylko sztuka filmowa może sobie pozwolić na to, by „klasyk" był jednocześnie interpretatorem współczesności. Od Andrzeja Wajdy można tego oczekiwać.

Inny reprezentant dawnej „szkoły polskiej" Jerzy Kawalerowicz przedstawił w bieżącym roku „GRĘ", film, w którym chciał spotkać się z wymogami nowoczesnego kina. Jak pamiętamy, zmagania te, formalnie interesujące, nie przyniosły jednak ani publiczności, ani chyba samemu twórcy pełnej satysfakcji, choć udowodniły jeszcze raz, iż Kawalerowicz zna dobrze swe rzemiosło.

W kategorii filmów psychologicznych na wyróżnienie zasługują filmy: Stanisława Różewicza — „SAMOTNOŚĆ WE DWOJE", i Stanisława Lenartowicza „CZERWONE I ZŁOTE". Oba ciekawe, zrealizowane z dużą kulturą, drążące ponadczasowe problemy człowieczego szczęścia, pozostawiały jednak pewne uczucia niedosytu. Może dlatego, że nie szukały bohaterów wśród ludzi współczesnych.

W świat problemów psychologicznych i społeczno-obyczajowych, penetrowanych jednakże w rejonach bliskiej współczesności, wkroczyły filmy, które są pełnometrażowymi debiutami trzech reżyserów — Wojciecha Solarza, Krzysztofa Zanussiego i Władysława Ślesickiego. Zwłaszcza „MOLO" i „STRUKTURA KRYSZTAŁU" pozwalają wierzyć, że okres „trzeciego kina polskiego" ma szansę, by stać się faktem. Kontrowersyjne „Molo" Solarza, przy wszystkich zastrzeżeniach, które można zgłosić, jest nie tylko wyrazem

aktywnej postawy reżysera wobec rozterek i problemów współczesnego człowieka, ale i niewątpliwie świadectwem dużego wyczucia reguł nowoczesnego kina.

„Struktura kryształu" Zanussiego stała się znakomitą wizytówką dużego talentu reżysera, którego film wyróżnia się zarówno nośnością intelektualną, jak i dojrzałą świadomością warsztatu reżyserskiego. Film ten to znakomity debiut i jedno z tych dzieł, na które czeka odbiorca szukając w kinie problemów, które są również jego własnością.

Przy okazji tych filmów warto zwrócić uwagę, że rok 1969 był w polskiej kinematografii popisem wielkich talentów i umiejętności polskich operatorów. J. Lippman, S. Matyjaszkiewicz, A. Nurzyński, Z. Samosiuk, J. Laskowski i inni byli aktywnymi współtwórcami sukcesów wielu filmów. Sądzić należy że dostrzegła to również publiczność i określenie „operator — istota nieznana" przestanie wreszcie funkcjonować.

Nurt tematów historycznych z czasów tragicznych lat wojny reprezentowały dwa filmy Jerzego Passendorfera „KIERUNEK BERLIN" i „OSTATNIE DNI" oraz film Ścibora-Rylskiego „SĄSIEDZI". Uznaliśmy te filmy za poprawne, lecz jednocześnie przyznajemy, że czekamy jeszcze na filmowe relacje godne wielkiego tematu.

Zupełnie nie zadowoliły nas w tym roku pozycje rozrywkowe polskiej kinematografii. Przyjemny, lecz bardzo konfekcyjny „CZŁOWIEK Z M-3", grubiańska, mało dowcipna „RZECZPOSPOLITA BABSKA" i żałosna w swym ubóstwie „PRZYGODA Z PIOSENKĄ" dostarczały samych rozczarowań widzom, którzy na rozrywkę made in Poland czekają przecież zawsze z nadzieją. Honor tej gałęzi produkcji rodzimej ratuje trochę kryminał Kąkolewskiego i Majewskiego pt. „ZBRODNIARZ, KTÓRY UKRADŁ ZBRODNIĘ", lecz dla tych, co go widzieli, film ten na pewno nie był tylko kryminałem, a więc tylko rozrywką.

Dość wiele miejsca w tegorocznym przeglądzie repertuaru filmowego poświęciliśmy polskiej kinematografii. Chyba jednak na to zasłużyła. I by zachować uczciwość trzeba tu podkreślić, że nie tylko dlatego, że cały kinowy repertuar tego roku był bardzo ubożuchny. Nie było w tym roku zbyt wielu wielkich premier. Najwięksi twórcy światowego kina przemawiali z polskiego ekranu nader rzadko. Jak zwykle w ostatnich latach, polityka zakupów Centrali Wynajmu Filmów budzi wątpliwości, jeśli nie wprost oburzenie.

„BUNT" M. Kobayashi, „PERSONA" Bergmana, „KRÓL EDYP" Passoliniego, „MURIEL" Reesnais to przykłady dzieł niewielu wybitnych reżyserów, którym udało się dotrzeć do polskich kin. Zachodni film artystyczny i zaangażowany jest niemal na polskich ekranach nieobecny. Pozostaje znów pytanie, kiedy wreszcie będziemy oglądać filmy o których się w świecie mówi. Tak przecież wiele robi się u nas od lat upowszechnienia filmowej kultury. Zdołano wychować duże grupy świadomych, aktywnych odbiorców, a proponuje im się repertuar, którego poziom ogólny, w tym roku przynajmniej, był poniżej przeciętnego. W repertuarze kin studyjnych i klubów filmowych najgorliwsi kibice kina artystycznego też nie mieli wiele okazji do głębszych przeżyć.

Proponowano nam za to w tym roku wyjątkowo dużą porcję zachodniego kina komercjalnego w najżałośniejszym jego wydaniu. Oglądaliśmy dla przykładu „Polowanie na mężczyznę", „Kobietę-węża", „Milion lat przed naszą erą" i trzeciorzędne westerny. Z rozrywką zatem klapa była również absolutna.

Honor swój ratowała Centrala Wynajmu Filmów prezentacją istotnie ciekawych pozycji bratnich kinematografii. To co w nich najlepszego mogliśmy w zasadzie oglądać na naszych ekranach.

Prym wiodła w tym roku kinematografia radziecka, a jej filmy istotnie zasługiwały na uznanie. Zostawmy na boku wielkie realizacje adaptacyjne „WOJNY I POKOJU" i „BRACI KARAMAZOW", które programowo miały być głównymi wizytówkami tej kinematografii. Ich ocena, jak to w przypadku adaptacji bywa, jest oceną często bardzo surową, ale i bardzo indywidualną. Osobiście uważam, że znacznie ciekawsze w ostatecznym rozrachunku były inne propozycje adaptacji literatury rosyjskiej i radzieckiej, jak choćby „ZŁOTE CIELĘ", „WIRYNEJA" czy „DLA ZABICIA CZASU".

W centrum uwagi stanęły jednak filmy o tematyce współczesnej. „DOŻYJEMY DO PONIEDZIAŁKU", „TWÓJ WSPÓŁCZESNY" J. Rajzmana, „TRZY DNI WIKTORA CZERNYSZEWA" M. Osepjana są przykładami odwagi, świetnej orientacji w rzeczywistych problemach własnego społeczeństwa, zaangażowania i umiejętności ingerowania. Realizm idzie w tych filmach w parze z umiejętnością wykorzystania najnowszych tendencji nowoczesnego kina.

Poza dyskusją pozostaje premiera filmu Sergiusza Eisensteina „PAŹDZIERNIK", który w 42 lata po realizacji wszedł na polskie ekrany budząc podziw współczesnego widza dla geniuszu jego twórcy.

Wspomnienie „Października" niechaj będzie swego rodzaju memento dla tych, którzy nie zawsze chcą wierzyć w wielkie artystyczne kino i w jego odbiorcę. Czekajmy teraz na rok 1970, może będzie bardziej łaskaw dla tych, którzy chcą widzieć w polskich kinach to, co w kinematografii całego świata najlepsze.

PARYSKI DZIENNIKARZ, JEAN GRANDMOUGEN, OPUBLIKOWAŁ INTERESUJĄCĄ W UKŁADZIE KSIĄŻKĘ, KTÓRA JEST NIEJAKO MINI-ENCYKLOPEDIĄ ŻYCIA WSPÓŁCZESNEJ FRANCJI. W OPARCIU O KONKRETNE DANE, NIE KUSZĄC SIĘ BYNAJMNIEJ NA ANALIZĘ, AUTOR SYGNALIZUJE W SKRÓCIE WIELE CIEKAWYCH PROBLEMÓW, KTÓRE — JEGO ZDANIEM — SĄ JUŻ DZIŚ TRUDNE DO ROZWIĄZANIA.

ZAMIESZCZAMY NIEKTÓRE HASŁA.

Francuskie ABC

ALKOHOLIZM. Chociaż konsumpcja napojów alkoholowych spadła (27 litrów na głowę rocznie), Francja pod względem spożycia alkoholu znajduje się nadal w grupie światowych liderów. Wskutek nadużywania alkoholu umiera rocznie 50 tysięcy Francuzów. Francuzi tracą 16 miliardów franków rocznie na napoje alkoholowe, tj. więcej niż na mieszkania.

BADANIA NAUKOWE. We Francji przypada 9 pracowników naukowych na 10 tysięcy mieszkańców, w USA — 21. We Francji wydatki na prace naukowo-badawcze wynoszą 15 dolarów na każdego Francuza w ciągu roku. W USA, na każdego Amerykanina — 78 dolarów.

BIUROKRACJA. Ustawy, które określają przepisy odnoszące się tylko do oświaty, mogłyby utworzyć foliał liczący 10 tysięcy stron. Aktów prawnych, ustalających wymiar kar za oszustwa jest 7 tysięcy.

Załatwienie formalności związanych z otrzymaniem prawa jazdy przechodzi przez 25 instancji.

BUDOWNICTWO MIESZKANIOWE. Nasze domy mieszkalne doczekały się, średnio, 70-lecia. Większość z nich powinna już przejść na „emeryturę". Z dziesięciu izb, sześć zbudowano przed I wojną światową, więc niemal co drugi Francuz zajmuje mieszkanie, zbudowane przeszło pół wieku temu.

Budujemy bardzo drogo. Trzypokojowe mieszkanie z kuchnią kosztuje w Paryżu dwukrotnie więcej, niż w Hamburgu czy Amsterdamie. W roku 1963 wybudowano 330 tys. izb mieszkalnych, według 35 tysięcy różnorakich projektów.

BURŻUAZJA. Co piąty Francuz jest z pochodzenia chłopem, ale wśród stu uczących się Francuzów w szkołach II stopnia, spotkacie tylko siedmiu chłopskiego pochodzenia. Na stu Francuzów tylko sześciu pobiera wyższe wykształcenie. Dzieci ludzi „wolnych zawodów" stanowią trzecią część studentów, podczas gdy dzieci robotników (30 procent ludności), nie mówiąc już o dzieciach proletariatu wiejskiego — jedną dwudziestą część... Nasze wykształcenie od zarania znajdowało się w rękach burżuazji. Szkoła podstawowa wprowadziła selekcję, otwierając drogę do dalszej nauki tylko tej części młodzieży, która dzięki swemu pochodzeniu mogła uniknąć doli majstrów, robotników i żołnierzy. Do liceów trafiły latorośle burżuazji, urzędników państwowych i w ogóle dzieci zamożnych rodzin.

CASUS PATENTY. Jeszcze w roku 1950 ze stu patentów zarejestrowanych w naszym kraju, sześćdziesiąt sześć było francuskich. Dziś 62 spośród 100 są cudzoziemskie. Trzy czwarte, ze 150 tysięcy używanych przez nas patentów, znajduje się w rękach cudzoziemców, a wypłacone im z tego tytułu sumy wzrosły trzykrotnie na przestrzeni ostatnich dwunastu lat. Czy nie grozi nam nowa forma kolonizacji?

DROGI i AUTOSTRADY. Gdy w roku 1970 będziemy mieli 1500 kilometrów autostrad, Włochy i Niemcy zachodnie będą miały 15 tysięcy kilometrów dobrych dróg, tj. dziesięć razy więcej.

W okresie ćwierćwiecza ruch samochodowy zwiększył się czterokrotnie. Środki przeznaczone na konserwację dróg zmniejszono o jedną czwartą.

EKONOMIKA. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat globalna produkcja zwiększała się we Francji dwa razy szybciej, niż w zachodnich Niemczech, szybciej, niż we Włoszech i Holandii.

FLOTA. Nasza flota handlowa zajmuje 11 miejsce w świecie. 12 lat temu zajmowała piąte...

GRABIEŻE. W roku 1963 zarejestrowano we Francji 1.011 zabójstw, 28.196 obrażeń cielesnych, 883 napady z bronią w ręku, 8.008 oszustw.

Rośnie przestępczość wśród dzieci. W roku 1954 przed sądami przewinęło się 13.504 nieletnich przestępców. W roku 1963 — 35.974. Dziś dwa tysiące młodych ludzi włóczy się po ulicach Paryża; nie mają ani dachu nad głową, ani środków na utrzymanie.

HANDEL NA KREDYT. Sprzedaż na kredyt wzrosła czterokrotnie w ciągu ostatnich ośmiu lat.

INFORMACJA O PARYŻU. W mieście, rozrzuconym na powierzchni 87 kilometrów kwadratowych mieszka 3 miliony ludzi.

Ponadto zjeżdża tu cały niemal zdolny do pracy element w poszukiwaniu zatrudnienia, z 7 i pół milionowego rejonu podparyskiego. Co się stanie z Paryżem w 2000 roku, kiedy jego zaludnienie wzrośnie o 60 lub nawet 100 procent?

JĄDROWA ENERGIA. Zapotrzebowanie na energię elektryczną wzrastało o 100 procent na przestrzeni każdych dziesięciu lat. Czy zdołają zaspokoić ten wzrost zapotrzebowania nasze stacje hydroelektryczne? Tak, ale tylko do 1975 roku. Dlatego wyłoniła się potrzeba budowy elektrowni atomowych. Niezależnie od tego, otrzymamy połowę energii elektrycznej, którą będzie produkować francusko-belgijska hydroelektrownia w Moose, w Ardenach. Energia atomowa przejmuje pałeczkę sztafety...

KOBIETY. Co piąty pracujący Francuz — to kobieta. Z pięciu zamężnych kobiet, jedna pracuje poza domem. Do roku 1906 pracowało w przemyśle 34 proc. kobiet, teraz nie więcej niż 23 procent. W gospodarstwach rolnych w r. 1906 pracowało 44 proc. kobiet, obecnie 33 procent. Zwiększyła się liczba kobiet, zatrudnionych w handlu i usługach.

KSIĄŻKI. Amerykanin zużywa 200 kg masy papierowej rocznie. My? Nie więcej niż 60 kg. Każdego roku wydajemy 12 tysięcy tytułów książek, dwa razy mniej, niż wydają Stany Zjednoczone, mniej niż Niemcy zachodnie i Włochy. W Związku Radzieckim wydaje się 32 tysiące tytułów, w Japonii — 25 tysięcy.

Francja wydaje na oświatę proporcjonalnie mniej, niż Jugosławia i Egipt. Znajdujemy się w tej dziedzinie na poziomie Hiszpanii i Portugalii. Ludzi nie umiejących czytać mamy więcej, niż w Anglii, Belgii i Stanach Zjednoczonych.

LUDNOŚĆ MIEJSKA. W okresie sześciu lat, od jednego spisu ludności do drugiego, liczba Francuzów, zamieszkałych w miastach zwiększyła się z 22 do 28 milionów.

MEDYCYNA. Mniej niż 50 tysięcy praktykujących lekarzy. Francja, która ma jednego lekarza na tysiąc mieszkańców, zajmuje pod tym względem 22 miejsce w świecie. Wyprzedzają nas: Belgia, Dania, Włochy, Niemcy zachodnie nawet Hiszpania.

Dlaczego tylu lekarzy narzeka na swój los? Pracują średnio po 12 godzin dziennie. 50 konsultacji i 40 wizyt tygodniowo. Weźcie przy tym po uwagę przejazdy: w ciągu tygodnia lekarz przebywa 500 kilometrów w rejonach wiejskich i 250 km. w rejonach miejskich.

NIESZCZĘŚLIWE WYPADKI NA DROGACH. Siadając do swego samochodu, spójrz na zegar na tablicy rozdzielczej. Za każdym razem, gdy wskazówka zegara odmierzy dwie minuty, jeden Francuz będzie ranny na drodze. Po upływie każdych trzydzieści minut jeden człowiek zostanie zabity. Rocznie, liczba rannych w wypadkach drogowych wzrasta o 15 tysięcy, zabitych — o 800 osób.

Przekroczyliśmy już liczby: 200 tysięcy kalek i 10 tysięcy zabitych. Jedno z czterech dzieci, przychodzących na świat w naszym kraju, zostaje ranne na drogach, nie osiągnąwszy piętnastego roku życia.

NIESZCZĘŚLIWE WYPADKI PRZY PRACY. Na 9 i pół miliona robotników przypada rocznie 1 milion 300 tysięcy nieszczęśliwych wypadków przy pracy. Co siedem sekund ktoś zostaje kaleką. Co czterdzieści minut jedna osoba traci życie.

ODPOCZYNEK. — W Paryżu co trzeci student musi pracować, żeby opłacić mieszkanie. Przyjmuje pracę nocnego dozorcy, magazyniera, sprzedawcy czy opiekuna dzieci w godzinach wieczornych. W okresie urlopów około miliona Francuzów poszukuje pracy dorywczej.

PARK SAMOCHODOWY. Francja zrównała się z USA: 18 samochodów na stu ludzi. Występują jednak problemy zbytu i parkowania.

W przeciągu dwóch lat nasz przemysł samochodowy zrobił duży skok: 40-procentowy wzrost produkcji, dwa miliony samochodów rocznie. Jednakże rynek francuski może przyjąć tylko połowę tej liczby. Co zrobić z drugą połową?

Liczba samochodów zwiększa się rokrocznie o 10 procent. W departamencie Seine (okręg Paryża — red.) w roku 1950 wynosiła ona 475 tysięcy samochodów. Dziś wynosi 4 i pół miliona.

PODATKI. — Jeden z trzech dni pracy oddajemy na podatki.

POLITYKA. Pół wieku temu, człowiek, który pragnął zrobić karierę, rzucał się w wir polityki. Dziś woli być technokratą, co daje mu realną władzę: polityk, mąż stanu, nie posiadając określonej wiedzy, będzie go i tak prosić o radę, będzie na nim polegać. Sama polityka zmieniła się w porównaniu z tym, czym była za życia naszych przodków. Podnosi coraz bardziej złożone problemy techniczne, które mogą rozstrzygać tylko specjaliści.

ROLNICTWO. 46 milionów hektarów ziemi uprawnej, podzielono pomiędzy 2 miliony 300 tys. gospodarstw rolnych, z których ponad połowa — 1300 tysięcy — ma mniej niż 10 hektarów. Powierzchnia ziemi ornej zmniejszyła się o jedną czwartą w przeciągu 75 lat. 160 tysięcy chłopów rocznie opuszcza wieś. Na przestrzeni ośmiu lat, jeden chłop na czterech w ogóle porzucił ziemię...

Przed 150 laty na roli pracowało 85 Francuzów na stu. Około roku 2000 liczba ta zmniejszy się do dziesięciu na stu.

SPORT. Spośród 100 młodych Francuzów 25 uważa kino za najprzyjemniejszy sposób spędzenia czasu, a tylko sześciu interesuje się sportem.

SPOŻYCIE. Francuzom zmieniły się upodobania. W roku 1950 wydatki na produkty żywnościowe stanowiły połowę ich miesięcznego budżetu. Dzisiaj — 40 procent. Wydajemy więcej, niż przedtem na mieszkania, higienę, podróże i rozrywki.

„SZARE MASY". Spośród 100 dzieci wstępujących do szkoły II stopnia, kontynuuje naukę 20, ale tylko 6 kończy wyższy zakład naukowy...

16 krajów asygnuje większe sumy na kształcenie swoich młodych obywateli, aniżeli my. Oznacza to, iż 16 krajów spogląda dalej w przyszłość i widzi więcej od nas.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Amerykanie zwabili do siebie ponad tysiąc brytyjskich uczonych. Ogółem, na przestrzeni tego czasu wyemigrowało do USA 9 tys. uczonych i 13 tys. inżynierów z różnych krajów. Dodajcie do tego 5 tysięcy stypendystów, którzy po ukończeniu studiów za granicą nie wracają do kraju. Licząc średnio, że przygotowanie jednego pracownika naukowego kosztuje 35 tysięcy dolarów, Amerykanie zarobili na tym ponad miliard dolarów.

SZPITALE. Średni wiek budynków naszych szpitali? 150 lat!....

ŚLUBY. Mężczyźni stają na ślubnym kobiercu w wieku (przeciętnie) 25 lat, kobiety w wieku 21 lat. Kwiecień jest miesiącem największej ilości ślubów. Najmniej ślubów notuje się w maju i listopadzie.

ŚMIERTELNOŚĆ. W jednakowym wieku umiera więcej mężczyzn, niż kobiet. W wieku do lat 40 mężczyzn umiera dwa razy więcej.

TELEFONY. Pod względem zagęszczenia sieci telefonicznej, Francja znajduje się na 16 miejscu w świecie. Tylko w samym Nowym Jorku jest tyle telefonów, co w całej Francji.

TERENY ZIELONE. Im ciaśniej robi się na naszej mapie geograficznej, tym trudniej znaleźć jakiś niedrogi zazieleniony kącik: nawet „zapadłe dziury" rosną w cenie, jeśli mają choć ślad zieleni. Grządka kapusty i maleńka działka stają się majątkiem. Czynsz jest wyższy, jeśli przed oknami naszego mieszkania rosną drzewa. Ponieważ nadszedł czas, że zieleni jest coraz mniej, zaczynamy już głośno mówić o polityce rozwoju terenów zielonych.

TRANSPORT W MIASTACH. Budowa podziemnych magistrali w Paryżu na przestrzeni 130 kilometrów będzie kosztowała 5 miliardów franków. Nie przewyższy to strat, które poniosą paryża nie z powodu zakłóceń w ruchu w przeciągu 12 lat budowy magistrali.

Jest to interesująca myśl — zaprojektować miasto „przekładaniec": główny ciężar komunikacji pod ziemią. Postoje środków transportu — na powierzchni, perony, wolne od ruchu kołowego — na najwyższym poziomie.

Czy w przyszłości Paryż stanie się trzypiętrowym miastem?

TURYSTYKA. Turystyka, jako źródło francuskiego dochodu narodowego, zajmuje trzecią pozycję. Daje ona zatrudnienie 500 tysiącom ludzi, a 200 tysiącom spośród nich — stałą pracę. Roczne obroty przemysłu turystycznego wynoszą 20 miliardów franków.

URZĘDNICY PAŃSTWOWI. 2 miliony 300 tysięcy Francuzów zatrudniają instytucje państwowe. Co ósmy Francuz jest urzędnikiem.

WYNAGRODZENIA. To prawda, że ustalono u nas minimum wynagrodzenia, ale kto we Francji może dać człowiekowi gwarancję,że otrzyma on pracę? Robotnik ma żonę i, najczęściej, dziecko. Zdarza się, że jego matka, albo ojciec, żyją z nim pod jednym dachem i musi im pomagać: dzielić zarobek pomiędzy ilość osób, pozostających na jego utrzymaniu. Jeśli otrzymuje owe minimalne uposażenie, członkowie jego rodziny otrzymują trzecią lub czwartą część tego minimum. W ten sposób wielu Francuzów nie rozporządza tym, co prawodawcy uznali za minimum potrzebne do egzystencji.

ZANIECZYSZCZENIE WODY I POWIETRZA. Zawartość tlenku węgla w powietrzu Paryża zwiększyła się trzykrotnie w przeciągu 3 lat. Nad miastem unosi się zasłona z pyłu, w zimie na wysokości ok. 500 metrów, w lecie na wysokości 2 tysięcy metrów. Ten duszący obłok spowijający miasto wchłania każdego dnia około 200 tysięcy metrów sześć. dwutlenku siarki i ok. 30 milionów m sześć. dwutlenku węgla. Przybywając do Paryża samolotem lub samochodem zanurzacie się w ten obłok z gazów i pyłu. Podczas mgły samochody paryżan pokrywa warstwa lepkiej mazi. Promienie słoneczne coraz trudniej przenikają na Ziemię. 90 lat temu widoczność w mieście była słaba w ciągu 23 dni w roku, 20 lat temu — w ciągu 45 dni w roku, a 6 lat temu — 125 dni w roku.

We Francji 24 miasta liczą po 100 tys. mieszkańców. A wiecie, w ilu z nich oczyszcza się wody ze ścieków? W pięciu.

(WST)

Zewsząd o wszystkim

„Ameroazjaci"

„SCHWEIZER ILUSTRIERTE" — ZURYCH

W ostatnich latach pojawiło się na świecie pokolenie, o którym nikt nie chce wiedzieć. Po nocnej przygodzie amerykańskiego żołnierza z azjatycką dziewczyną, przychodzi na świat nieślubne dziecko. Według amerykańskiego ustawodawstwa, dzieci urodzone z takiego związku nie istnieją w ogóle.

Takich dzieci nie chcą również uznać w krajach azjatyckich. Są tam pozbawione prawa do nauki i nie mogą liczyć na pomoc państwa. Gdy osiągną pełnoletniość nie przysługują im żadne prawa obywatelskie. Dzieci zrodzone z Azjatek i amerykańskich żołnierzy, otrzymują przezwisko „ameroazjatów" i są pokoleniem zapomnianym i zagubionym. Ich matki obrzucają wyzwiskami i wyrzucają z pracy, przeto, w większości, zostają prostytutkami.

Według przybliżonych danych, co dziesiąty amerykański żołnierz w Wietnamie, Korei Południowej, Japonii, na Okinawie i na Filipinach jest ojcem „ameroazjatyckiego" dziecka. Takie nieszczęśliwe dziecko, jeśli nie umrze zaraz po urodzeniu, rośnie o głodzie i chłodzie, jest skazane na analfabetyzm, żebrze na ulicach.

Amerykańska pisarka, Pearl Buck, postanowiła pomóc tej „nowej rasie". W Filadelfii otworzyła przytułek dla dzieci, nazwany jej imieniem. Jednak trafia tutaj naprawdę znikoma część „ameroazjatyckich" dzieci. Usiłowania Pearl Buck, aby uzyskać pomoc od wojskowych władz USA, okazały się płonne.

Jeden z amerykańskich generałów w Wietnamie powiedział zupełnie poważnie: „Moi żołnierze nie mogą mieć nieślubnych dzieci, po prostu nie mają czasu, a jeśli go nawet mają, wolą baseball..."

Pearl Buck zwróciła się więc do żołnierzy amerykańskich, którzy odbyli służbę, lub walczyli w Azji, z prośbą o przysyłanie jednego dolara rocznie na pomoc „ameroazjatyckim" dzieciom. Apel pisarki wywołał falę oburzenia niektórych kobiecych organizacji amerykańskich.

„Pearl Buck powinna raczej postarać się o podniesienie morale naszych żołnierzy" — głosi oświadczenie tych organizacji.

Pisarka odpowiedziała: „Nie mogę podnieść morale waszych mężów i synów ponieważ jest ono produktem waszych szkół, waszych tradycji, waszej religii".

Niektórzy byli żołnierze przysyłają pieniądze do przytułku, jeden przysłał nawet od razu 5 dolarów (nadawcy z reguły nie podają zwrotnego adresu). Ale na wychowanie „ameroazjatyckich" dzieci tych pieniędzy jest oczywiście za mało.

Kino traci widzów

„STAMPA" — TURYN

We wszystkich krajach zachodniej Europy następuje stały spadek frekwencji w kinach. W konsekwencji, w wielu z nich zamyka się sale kinowe. W ubiegłym roku, tylko we Włoszech, zlikwidowano 104 kina. Ogółem, kina włoskie straciły w ciągu ostatnich 14 lat 260 milionów widzów.

O ile poprzednio opłaty za bilety do kina stanowiły 71 proc. wydatków na rozrywki kulturalne, o tyle teraz stanowią zaledwie 43 procent.

Mimo to, w porównaniu z innymi krajami, sytuację kina włoskiego można uważać za pomyślną. We Francji, Belgii i w NRF zjawisko spadku frekwencji w kinach osiągnęło niepokojące rozmiary nie mówiąc już o smutnym rekordzie Anglii, gdzie ilość widzów kinowych zmniejszyła się o 80 procent.

W okresie od 1955 do 1968 roku w sześciu krajach „wspólnego rynku" liczba biletów, sprzedawanych w kinach zmniejszyła się dwukrotnie, chociaż, w tym samym czasie, liczba ludności w tych krajach wzrosła o 20 milionów ludzi.

W 1955 roku, każdy widz oglądał średnio 15 filmów, obecnie chodzi do kina nie częściej, niż pięć razy w roku.

A przecież do iluż środków ucieka się kino, aby odeprzeć atak konkurencyjnej telewizji? Szeroki ekran, panorama, kolor i stereofonia, seks na przemian z gwałtem.. Rezultaty są nikłe.

Staje się jasne, że aby egzystować, kino musi znaleźć nowe, inne, konstruktywne środki wyrazu, a nie schlebiać złym gustom pewnej części widzów.

Bez strachu

Elegia małych stołeczków

Nie ma już małych, kuchennych stołeczków, tych najmniejszych, przypodłożnych, z podłużnym otworem pośrodku, w który można było wsunąć palce aby unieść stołeczek. Kto zakazał produkcji tych stołeczków, które dawniej, w Łodzi nazywano „ryczki", kto nie chce na nich siadać, kto nie wie już, że kiedyś istniały... Kiedy siadywałem na malutkim stołeczku, w kuchni gaszono światło, tylko czerwony ogień żył w przestrzeni. Za oknami nie omieszkał wyć chętny takim wieczorom wiatr. Ktoś powiedział: „Diabeł się powiesił". Dom dygotał w posadach, trząsł się każdą ścianą pełen życiodajnego lęku. To było dawno, na wiele lat przed tym nim padła pierwsza bomba. Zwinięty w kłębek siedziałem w czerni i czerwieni na małym stołeczku — moje stopy były tuż przy czole, krew krążyła w niedużej przestrzeni. Być może ktoś zapukał do drzwi i wszedł kuchennymi schodami, kuchennymi drzwiami w palcie i kapeluszu ociekającym strugami deszczu... Może przychodziły dziewczyny, dorosłe dziewczyny, które głaskały mnie po głowie, a potem w czerni i czerwieni odprawiały czary, wróżyły z kart, z rąk, z wody. Wzywały nie diabła — diabeł przecież właśnie tej nocy się powiesił, wzywały zatem małego kuchennego duszka, skrzata o czarnym ciele i czerwonej głowie. Dziewczyny nigdy go nie widziały, mówiły, że nie chce przyjść, przychodził jednak — ja go widywałem — tańczył w ciemnych kątach kręcił się wokół sukni niewidzących dziewczyn. Przychodził dla mnie, chociaż ja go nie wzywałem, unikał wzywających, był to niezależny, królewski duszek. Widziałem go niemal każdego wieczoru koło nogi małego stołeczka — tańczył i nie dziwił mnie tym tańcem. Po wielu latach, kiedy poszedłem pierwszy raz na koncert symfoniczny usłyszałem jego taniec — w jasnej koncertowej sali nie było duszka, siedziałem w dużym, wygodnym krześle. Panowie we frakach, w białych koszulach grali taniec duszka, nie wiedząc zapewne nic o wieczornym, kuchennym, tańczącym duszku.

Podobno słyszałem koncert pierwszy raz, a przecież znałem każdy akord. Nie było już wtedy owej kuchni, ani stołeczka, dawno przełamały je bomby — zgniotły nawet kuchenny mrok i czerwień. Tańca duszka mógł wysłuchać każdy kto w porę zakupił odpowiedni bilet. Kasjerka zastąpiła wymawiającą zaklęcia dziewczynę, elektryczne światło, blask ognia, krzesło, kuchenną ryczkę. Pomyślałem: „Być może że ja przeżywam stale tę samą sytuację, zmieniają się jej składniki — pozostaje struktura — inne światło, inny mrok, inne zaklęcia, krzesło zamiast stołeczka, a przecież zasadniczo, podstawowo jest to to samo. Dana mi jest tylko, jedna wzorcowa sytuacja — życie to przemienianie składników tej sytuacji. Bezustannie je przetwarzam — zmarłbym gdybym założył na moment niezmienność tego co mnie otacza..." Siedzę na dużym prawdziwym krześle, przy dużym, twardym stole. Dookoła biega dziecko — dziecko tańczy przy nodze krzesła — czy to dziecko ma gdzieś swoją ciemną kuchnię, swój malutki stołeczek. Udam się do domu tego obcego dziecka i zobaczę gdzie ono spędza jesienne, przedwieczorne godziny, wtedy kiedy krzyczy wiatr, wtedy kiedy wiesza się diabeł. W dziecku wyciska się jak głęboka pieczęć kształt i przestrzeń tych godzin.

I tak dziecko będzie rozrastać się, potem więdnąć i maleć i tak będzie umierać. Jeden jest kształt narodzin, życia i zgonu. Żyjąc przemieniamy treść w niezmiennej formie, to inni ustalają w dzieciństwie formę naszego życia — patrzmy na dzieci, patrzmy na tych, którzy bezwiednie i ostatecznie modelują ich czas i przestrzeń. Gdzie jest dziecko, co robi? Ja siedziałem w kuchni na małym stołeczku...

BERNARD SZTAJNERT

Saki

GOŚCIE

— Jak się pani podoba ten widok? — zapytała Annabel — te czereśnie, zielone łąki, strumień w dole i wystająca ponad wiązy dzwonnica? Uroczy krajobraz, co? Rozmarzający, usypiający, kompletna stagnacja. Nic się tutaj nie dzieje. Po zasiewach następują żniwa. Od czasu do czasu mała epidemia odry albo grad.. Co pięć lat nieco gorączki przedwyborczej. I to już wszystko co ożywia monotonię naszego życia. Straszne, nie uważa pani?

— Przeciwnie — odrzekła Matylda — uważam, że to wspaniałe. Mieszkałam w krajach, gdzie dzieje się naraz zbyt wiele i zbyt zaskakujących rzeczy.

— Oczywiście — stwierdziła Annabel — to zupełnie co innego.

— Nigdy nie zapomnę dnia — ciągnęła dalej Matylda — kiedy odwiedził nas niespodziewanie biskup z Bequar. Przy okazji wmurowania w okolicy kamienia węgielnego pod jakąś misję czy coś w tym rodzaju.

— Myślałam, że tam przyjęcie gościa nie sprawia kłopotu.

— Byłam przygotowana na przyjęcie nawet pół tuzina biskupów. Strasznie się jednak zdenerwowałam, kiedy po pięciu minutach rozmowy zorientowałam się, że ten biskup jest dalekim moim kuzynem z tej gałęzi rodziny, którą gwałtowny i ostry konflikt przeciwstawił moim rodzicom. Chodziło o porcelanowy serwis z Derby. Serwis ten przypadł w spadku im, a należał się nam. Czy też odwrotnie, nie pamiętam. W każdym razie znaleźli się niełądnie. A tu jeden z nich zjawia się u mnie w aureoli świątobliwości, domagając się objawów tradycyjnej wschodniej gościnności.

— To istotnie przykre, ale mogła pani przecież zostawić mężowi obowiązek bawienia gościa.

— Mąż znajdował się akurat jakieś osiemnaście kilometrów od domu, wśród mieszkańców pewnej wsi, którym usiłował wytłumaczyć, że jeden ze starszych wsi nie jest tygrysołakiem...

— Tygryso- co?

— Tygrysołakiem. Słyszała przecież pani o wilkołakach? Połączeniu wilka, mężczyzny i diabła? W Indiach mają tygrysołaki. I muszę przyznać, że w tym wypadku mieli niezbite dowody, by tak przypuszczać. Ale my, jako, że od trzystu już lat, zrezygnowaliśmy z procesów o czary, nie lubimy kiedy inni przestrzegają praktyk już przez nas porzuconych. Traktujemy to jako wyraz braku szacunku dla naszej moralności i mentalności.

— Myślę, że jednak nie była pani niemiła dla biskupa — powiedziała Annabel.

— Naturalnie. Był moim gościem i zmuszałam się do okazywania mu uprzejmości. On jednak nietaktownie napomknął o tej starej rodzinnej waśni i stanął w obronie swoich. Gdyby nawet jego pretensje były uzasadnione, uważam, że mój dom nie był najodpowiedniejszym miejscem by to podkreślać. Nie chciałam się z nim sprzeczać, ale wysłałam swojego kucharza na urlop. Drugi kucharz nie był specjalistą od curry. Prawdę powiedziawszy nie sądzę, by kuchnia w jakiejkolwiek formie była jego mocną stroną. Trafił do nas jako ogrodnik. A że nigdy nie zamierzaliśmy posiadać czegoś w rodzaju ogrodu, nieźle się wywiązywał z funkcji pomocnika pastucha. Kiedy biskup zrozumiał, że wysłałam swego kucharza na urlop w momencie kiedy nic mnie do tego nie zmuszało, domyślił się powodu mojego postępowania i od tej chwilii przestaliśmy praktycznie się do siebie odzywać. Jeśli pani gościła kiedyś biskupa, z którym nie rozmawiała pani w ogóle, zrozumie pani moją sytuację...

Annabel przyznała się, że nie ma podobnego doświadczenia.

— A potem — ciągnęła dalej Matylda — sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej. Gwadlipichee wylał, co mu się zdarzało od czasu do czasu w porze deszczowej. Zalane zostały: dolna część domu i budynki gospodarcze. Udało nam się w porę wyprowadzić ze stajni kucyki. Chłopiec hinduski popłynął z nimi do najbliższego wzgórza. Natomiast kozy oraz pastuch z żoną i kilkorgiem dzieci wylądowali na naszej werandzie. Na pozostałej wolnej przestrzeni kręciły się zmokłe kury z kurczętami. Dopiero w czasie powodzi wiadomo ile posiada się drobiu. Poznałam naturalnie smak tego wszystkiego w czasie poprzednich powodzi, ale nigdy jeszcze nie miałam pełnego domu kóz, dzieci, na wpół utopionych kur i na dodatek biskupa, praktycznie nie odzywającego się do mnie...

— To musiało być istotnie przykre — zauważyła Annabel.

— To jeszcze nie wszystko. Nie mogłam pozwolić na to, by banalna powódź zatarła serwisowe wspomnienie. Dałam więc do zrozumienia biskupowi, że musi się zadowolić jednym dużym pokojem sypialnym z małą łazienką, bo biorąc pod uwagę okoliczności, nie dysponujemy zbyt dużą ilością miejsca. Tymczasem około trzeciej po południu, kiedy obudził się po sjeście, wpadł do pokoju normalnie służącego za salon, a w tamtej sytuacji jednocześnie za salon, jadalnię, magazyn i kilka innych jeszcze pomieszczeń. Sądząc po jego ubiorze należało przypuszczać , że traktuje je również jako szatnię. „Obawiam się, że nie mogę panu zaproponować krzesła — powiedziałam bez większej serdeczności — cała weranda jest pełna kóz".

— W moim pokoju też jest koza, — stwierdził tym samym tonem z pewną nutką nagany w głosie.

— Oh! — zawołałam. — Jeszcze jedna ocalona! Myślałam, że resztę już straciliśmy.

— W pewnym sensie ma pani rację. Pożera ją w tej chwili lampart. Dlatego opuściłem swój pokój. Niektóre zwierzęta nie lubią, kiedy ktoś patrzy jak jedzą.

Obecność lamparta można było łatwo wytłumaczyć. W momencie, kiedy wylała rzeka, kręcił się wokół obory. Wszedł po zewnętrznych schodach prowadzących do biskupiej łazienki, przezornie zabierając ze sobą kozę. Niewątpliwie uznał łazienkę za zbyt wilgotną i małą i korzystając z sjesty biskupa, posilał się w jego pokoju.

— Co za okropna sytuacja! — zawołała Annabel. — Mieć w domu otoczonym powodzią wygłodniałego lamparta!

— Wcale nie był taki głodny. Zapchał się kozą, wody mu nie brakowało. I chyba chciało mu się tylko spać. Niemniej sytuacja nie była najlepsza. Jedyny pokój gościnny zajęty przez lamparta; dzieci i zmokłe kury na werandzie i biskup, z którym byłam skłócona, w salonie. Doprawdy nie pamiętam jak przeszły nam te niekończące się godziny. Oczywiście, sytuacja nie ulegała zmianie w czasie posiłków. Kucharz podawał wodniste zupy i klejący się ryż, a że nie mieliśmy w swoim gronie nurka, do piwnicy nie było dostępu. Na szczęście Gwadlipichee uspokaja się tak szybko jak wylewa. Nieco przed świtem chłopiec stajenny wrócił z kucykami.

Było nieco trudności z biskupem, który zapragnął opuścić nas wcześniej niż lampart. A jako, że ten ostatni wygodnie się urządził wśród biskupich rzeczy, mieliśmy sporo kłopotu, by zmienić rozkład odwrotów. Przypomniałam biskupowi, że lampart nie lubi brnąć po wodzie i ponadto po pożarciu całej kozy ma prawo do odrobiny wypoczynku. Gdybym użyła broni palnej, by go wystraszyć, jak mi to radził biskup, opuściłby niewątpliwie swój pokój i wszedł do salonu dostatecznie już zatłoczonego. Z wielką ulgą pożegnałam ich obu. I teraz chyba pani rozumie dlaczego doceniam spokój na sennej wsi, gdzie nic się nie dzieje.

Tłum. A. P.

Lewym okiem

MĄDROŚĆ STOŁOWYCH NÓG

Pewna niemłoda mieszkanka Paryża, podając się za przyrodnią siostrę słynnej, zmarłej przed paroma laty, śpiewaczki Edith Piaf, ogłosiła spory tomik wspomnień o Edith, które stały się — jak czytamy — sensacją zachodnich rynków księgarskich. Drukuje je w odcinkach hamburski tygodnik „Der Spiegel", uzupełniając dość zgryźliwym komentarzem; drukował fragmenty także nasz „Przekrój", wyczulony na wszelkie sensacje, wzmiankowały po trosze i inne pisma. Zbierając te fragmety do kupki wiemy już, że pokrewieństwo śpiewaczki i jej biografki jest wątpliwe, ale niewykluczone, skoro ojciec Edith był wędrownym ulicznym akrobatą i zostawił po sobie około siedemnaściorga dzieci z różnych matek. Wiemy też, że wielki talent śpiewaczki nie szedł w parze z wysokim poziomem intelektualnym, że jej życie było pełne licznych, krótkich, a soczystych romansów, że dużo było w tym życiu alkoholu, trochę narkotyków, dużo obyczajowej niefrasobliwości. Na autorkę książki zresztą parę osób się obraziło, zapowiadają się jakieś procesy, reklama rośnie.

Wśród barwnych, śmiałych obrazków z życia niezapomnianej odtwórczyni „Mylorda", jeden specjalnie zatrzymał moją uwagę. Oto po tragicznej śmierci jednego ze swych przyjaciół Edith zapragnęła za wszelką cenę nawiązać kontakt ... z jego duchem. Zaczęły się seanse z różnymi szarlatanami, wizyty u wróżek i astrologów, no i proszę — udało się. Za wielkie pieniądze kupiła śpiewaczka trójnogi, ozdobny stolik, który stukaniem swej trzeciej nogi manifestował obecność przyjaciela, odpowiadał w jego imieniu na pytania i sam je w jego imieniu zadawał. Stolik opakowany jak najdroższe precjoza jeździł wraz z Edith po całym świecie, rozstawiano go za kulisami scen, na których występowała, w luksusowych hotelach, w których mieszkała, w samolotach i na statkach. Jako chyba jeden z ostatnich osiągnął mistyczną sławę swych przodków — stolików spirytystycznych sprzed stu lat, kiedy pojawiły się po raz pierwszy, aby pół wieku później stać się panującą na całym świecie modą i obsesją.

Już w roku 1852 wpłynęła do senatu amerykańskiego petycja, opatrzona piętnastoma tysiącami podpisów, żądająca zbadania „powszechnych w Ameryce" zjawisk takich, jak: ruch, który udziela się meblom wbrew prawu przyrody; światełka błyskające tam, gdzie nie działa żadna siła chemiczna; dźwięki przypominające instrumenty muzyczne, chociaż nie ma tych instrumentów — i tym podobne. Petycję wrzucono do kosza.

George Sand urządzała spirytystyczne seanse z Teofilem Gautier. Zygmunt Krasiński pisał w liście do autora „Kollokacji" Józefa Korzeniowskiego: „Na własne oczy widziałem stolik sześć razy wirujący. I przysięgam ci, że to, na co kiedyś Orfeusza potrzeba było, dziś czterech lokai sprawia! Widziałem wczoraj zjawisko, powtórzone pod dłońmi mych służących!"

Norwid w liście z Ameryki przestrzegał: „Nie śmiejcie się więc ze stolików wirujących. Przyjdą jeszcze inne, jeszcze dziwniejsze, a wszystkie może będą zartem... Do czasu!"

W Polsce międzywojennej istniało wiele organizacji i klubów, zajmujących się spirytyzmem i mediumizmem, z Polskim Towarzystwem Metapsychicznym na czele. Jeden z największych dzienników, krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny" (słynny Ikac), zamieszczał co dwa tygodnie dodatek metapsychiczny, donoszący o zdumiewających wyczynach stolików w różnych zakątkach świata, przeważnie dalekich i trudno sprawdzalnych. W żartobliwy sposób o manii gadania z duchami pisał Stanisław Wasylewski w książeczce „Pod urokiem zaświatów" (wydana także po wojnie, w 1958 r., w Krakowie), twierdząc, że „badacz obyczajów, który by zaprzeczał istnienia mediów popełniłby większy błąd, niżeli wierząc w ich rzeczywistość".

Trudno być mądrym z takiego przekornego stwierdzenia ale przecież cała książeczka jest w tonie żartobliwym. Natomiast Boy-Żeleński, świetny racjonalista, niedowiarek, sceptyk, Boy-Mędrzec, opisywał z największą powagą i przekonaniem seans odbyty z udziałem Franka

Kluskiego. Kluski był słynnym przed wojną wizjonerem, przy czym jego prawdziwym zawodem było dziennikarstwo, a nazwiskiem: Teofil Modrzejewski. Wcale nie ostatniej rangi publicysta „Kuriera Porannego". W jego obecności igły kompasów kręciły się jak szalone i stawały w różnych pozycjach, gasło w redakcji światło i zapalało się z powrotem, maszyna zaczynała pisać bez dotknięcia rąk.

Podczas seansu (opisany w tomie felietonów „Brewerie. W Sorbonie i gdzie indziej") nad głowami uczestników migocą światełka, pojawia się sylwetka porucznika w eleganckiej garnizonowej czapce, potem postać włoskiego żołnierza-poety, Battistiego, z bródką. Boy cytuje krotochwilny wierszyk po włosku, w pokoju rozlegają się oklaski i okrzyk „brawo!". Przez cały czas uczestnicy zachowują się swobodnie, rozmawiają głośno. Po seansie znajdują na stole odlew ręki ludzkiej z parafiny, cieniutki, kruchy, pusty w środku. Włożenie ręki do roztopionej parafiny, a tym bardziej wyjęcie później dłoni z delikatnej powłoki, byłoby przecież niemożliwe...

Modrzejewski-Kluski nigdy nie brał pieniędzy za demonstrowanie swych dziwnych możliwości. Odrzucał bardzo korzystne oferty, między innymi amerykańską. Seanse wyczerpywały go bardzo i niechętnie je podejmował, kończyły się krwotokiem, kaszlem, gorączką. Boy kończy swoją relację słowami: „Stwierdzam, że jestem zupełnie przekonany o realności zjawisk, na które patrzyłem, i że zarówno mistyfikację, jak sugestię uważam tu za nieprawdopodobne".

Co o tym wszystkim sądzić? Cóż, można by zacytować słowa innego wielkiego niedowiarka, zresztą arcymistrza boyowej dialektyki, Woltera: „Nie wierzę nawet oczywistym świadkom, kiedy mi powiadają rzeczy, sprzeciwiające się zdrowemu rozumowi". Można by, gdyby nie to, że tenże Wolter za sprzeczną ze zdrowym rozumem uznał także teorię, głoszącą że na miejscu gór było kiedyś morze, opartą na znaleziskach skamieniałych muszli morskich wysoko w górach. Bzdura — kpił sobie Wolter. Po prostu ludzie przedpotopowi lub zwierzęta uczestniczyły tam wysoko, pożerając małże zebrane na brzegu morza, daleko stamtąd. Dziś wiemy z całą pewnością, że skamienieliny pochodzą z epoki, kiedy o człowieku nie śniło się na Ziemi, a istnienia mórz tam, gdzie dziś pasma wysokogórskie można dowieść na wiele różnych sposobów.

Więc jeszcze raz: co właściwie sądzić o spirytystycznych seansach? Bo ja wiem.. Przez sto lat rozmów z duchami za pośrednictwem stołowych nóg nikt się niczego ciekawego nie dowiedział, nic z tego wszystkiego nie zostało i nie wynikło. Może się kiedyś ludzie zabiorą do tej sprawy mądrzej, wymyślą inny sposób komunikacji, jakąś meta-fonię czy meta-wizję. Oczywiście stereofoniczną i w kolorze. A może — zanim to nastąpi — dogadamy się z sąsiadami z najbliższej Drogi Mlecznej?

To by dopiero była sensacja! Nie jakieś tam skandalizujące a nieistotne wspominki o paryskiej śpiewaczce której głos, nagrany na płytach, stanowi dla nas najlepsze wspomnienie, a dla artystki — najlepszy pomnik.

ĆWIEK

KRZYŻÓWKA LITERACKA

POZIOMO:

3. Pisarz norweski, autor „Głodu", 7. Zmyślone opowiadanie z morałem, 10. Żywy w tytule utworu Lwa Tołstoja, 11. Wróżba, przepowiednia, 12. Autor „Niebezpiecznych związków", 15. Bohaterka sielanki Fr. Karpińskiego, 18. Autor „Skowronka", „Antygony" i „Zaproszenia do zamku", 19. Francuski pisarz i działacz polityczny, autor powieści „Pierwsze starcie", 20. Członek dawnego ludu turko-tatarskiego, 21. Siostra Balladyny, 22. Najstarszy historyk grecki, zwany ojcem historii, 24. Służy do utwardzania końcówek złotych piór, 25. Bogini zła i występku, 26. Niemiecki kronikarz z Bremy lub imię Asnyka, 29. Imię fenomenalnej śpiewaczki peruwiańskiej, 31. Tylna część kadłuba statku, 34. Niewolnik frygijski uważany za twórcę bajki, 36. Postać z „Trzech muszkieterów" — Al. Dumasa, 38. Poetka okresu Młodej Polski (1813—1930), 40. Żona Cheliona, bohaterka „Księgi", 42. Paciorki, 44. Autor „Opowieści o prawdziwym człowieku", 47. Pieśni operowe, 49. Marka aparatu fotograficznego dla młodzieży, 50. Rzeźbiarz i portrecista fr. (1840—1917) m. in. portret W. Hugo, 51. Tytuł jednego z poematów A. E. Poe, 53. Radziecki statek kosmiczny, 54. Prezent, podarek, 56. Indyjski wyznawca mazdeizmu, 58. Dzieło Galla-Anonima lub poprzedniczka „Odgłosów", 61. Działaczka niemieckiego ruchu robotniczego (1857—1933) redaktor „Fleichheit", 64. Oprawca, 65. Świecenie się powierzchni, 66. Płynie w nas, 68. Opiekun zakochanych, 70. Litera alfabetu greckiego, 72. Czarna Woda, 74. Kosaciec, 76. Jezioro w płd.-zach. Turcji, 77. Autor „Szosy Wołokołamskiej", 78. Niewielka twierdza, zameczek, 80. Miasto w Górach Kocich w woj. poznańskim, 81. Popielnica, 83. Postać sztuki teatralnej opracowywana przez aktora, 84. Forma epigramatu stworzona przez ang. poetę E. Leara, 86. Pierwiastek chemiczny, 89. Broń sieczna, 91. Finansowa instytucja, 92. Odpowiada nam w górach, 93. Przyboczna, 94. Bodziec.

PIONOWO:

1. Ma wielkie oczy, 2. Własnoręczny podpis, 4. Postępowy działacz polityczny Indii (ur. 1886) członek ŚRP, 5. Potoczna nazwa chlorku sodowego, 6. Tytuł utworu Józefa Conrada, 7. Pisarz amerykański (1850—98) autor powieści „W roku 2000", 8. Termin receptowy lub miasto w Iraku, 9. Oznaka żałoby, 12. Filolog i słownikarz polski (1771—1847), 13. Za wsią u Kraszewskiego, 14. Jedna z tytułu sztuki Arystofanesa, lub skuter, 16. Rzadki osobliwy egzemplarz, 17. Bohater hiszpański „ksiąg rycerskich" sparodiowany przez M. Cervantesa, 23. Potraw, 27. Pisarz i dramaturg ang. (1572—1632) autor „Święta szewców", 28. Cyganka z „Chaty za wsią", 30. Herbata paragwajska, 32. Część nogi, 33. Duchowieństwo, 35. Rodzaj statku, 37. Jedno u cyklopa, 39. Wyspa szwedzka na Bałtyku, 41. Utwór J. Joyce'a, 42. Autor powieści „Grypa szaleje w Naprawie", 43. Obsypnik, 44. Duża skrzynia, 45. Żołnierz, 46. Przywódca wyprawy Argonautów, 48. Na kawior, 52. Tytuł dramatu Ibsena, 55. Urzędowe dokumenty, 57. „Wieczne Miasto", 59. Tytuł dramatu Karola Capka, 60. Ludowy Komisariat Spraw Wewn. ZSRR, 62. Jeden z bohaterów dramatu Hauptmanna, 63. Współtwórca „Dwunastu krzeseł", 65. Roślina ogrodowa, 66. Szczyci się jednym z najstarszych uniwersytetów w Europie, 67. Środek nasenny, 69. Kapitan Kloss w cywilu, 71. Jan Koprowski, Wiesław Jażdżyński, Władysław Rymkiewicz, 73. Zderzenie się dwóch statków podczas wymijania, 75. Podziałka kartograficzna, 76. Dychawica, 79. Wykładowca języka obcego, 82. Cios, 85. Posążek bóstwa, 87. Część utworu scenicznego, 88. Rodzaj chustki bułgarskiej, 90. Nasza agencja prasowa.

OPRAC. H. CISKI — J. KAŁUŻKA

Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązanie krzyżówki rozlosujemy następujące nagrody: APARAT DO GOLENIA, BUDZIK IMPORTOWANY, WYDAWNICTWO ALBUMOWE. Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 15 stycznia 1970 r. na adres: ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 96, „ODGŁOSY" z dopiskiem na kopercie „Krzyżówka".

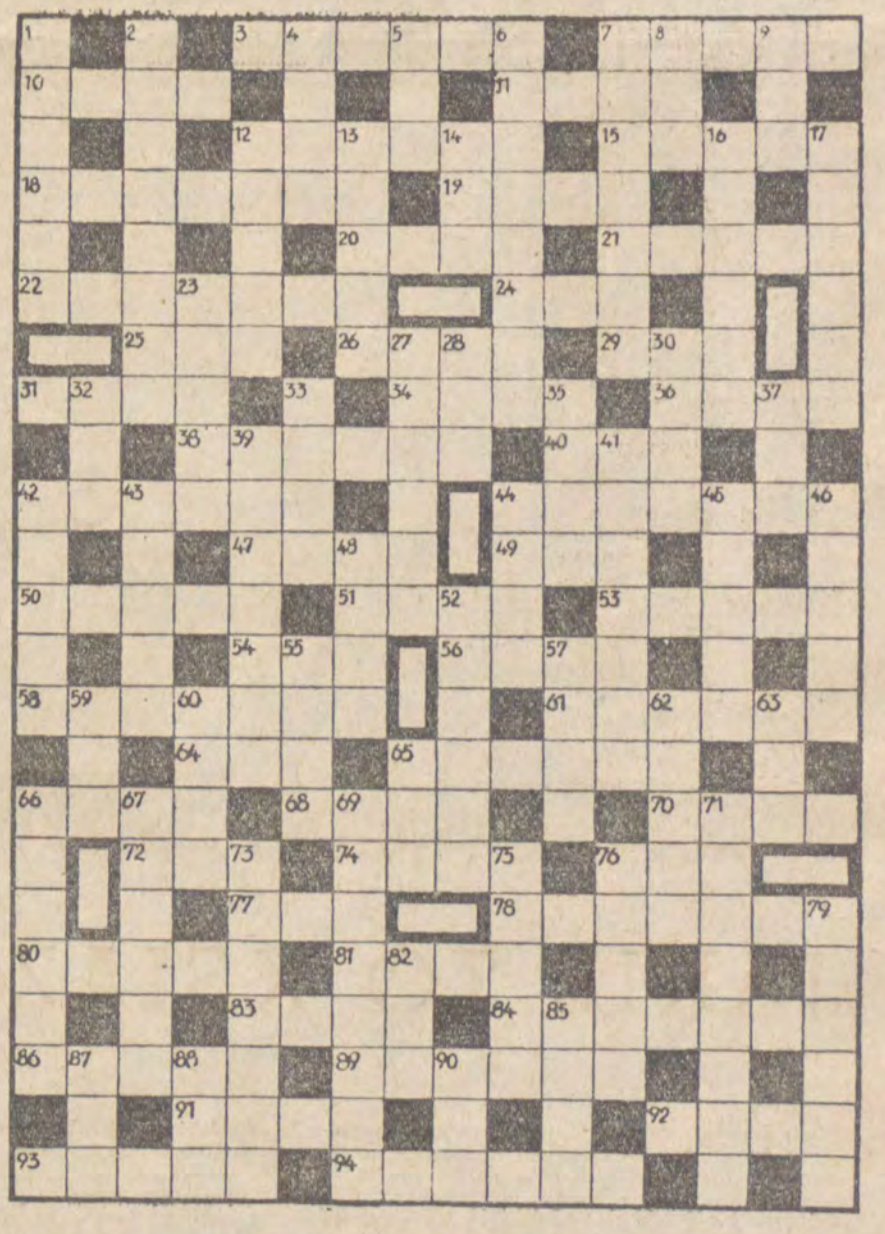

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-38 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2626. B-4.

Świąteczny konkurs „Odgłosów"

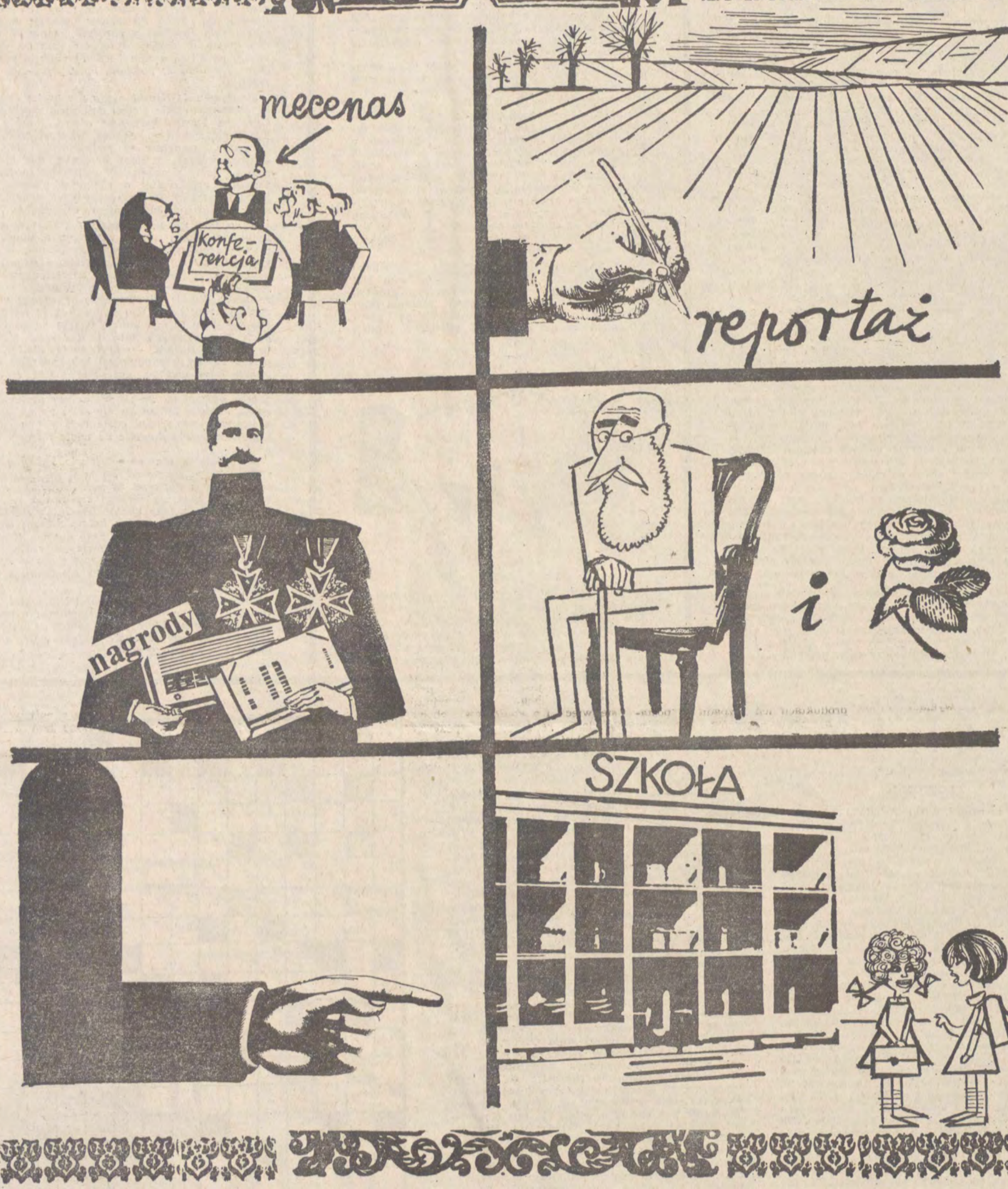

„JAKIE TO KSIĄŻKI?"

Wiele książek napisali i wydali w minionym ćwierćwieczu Polski Ludowej łódzcy pisarze. Niektóre z nich były głośne w całym kraju — otrzymywali za nie nagrody państwowe... Spotykaliśmy książki łódzkich pisarzy na półkach bibliotek, w księgarskich witrynach, czytaliśmy o nich recenzje w czasopismach literackich i w łódzkiej prasie codziennej. Znamy więc te książki i konkurs, którego zadanie polega na rozszyfrowaniu tytułu — nie powinien naszym czytelnikom nastręczać trudności.

Zwłaszcza, że przedmiotem naszego konkursu jest sześć książek, sześciu znanych łódzkich pisarzy — że są to książki przeważnie (choć nie wszystkie) związane z Łodzią.

Powyżej widzicie sześć historyjek obrazkowych, których „bohaterami" są książki pisarzy: Wacława Bilińskiego, Stanisława Czernika, Tadeusza Chróścielewskiego, Wiesława Jażdżyńskiego, Tadeusza Papiera i Władysława Rymkiewicza. Należy na podstawie treści obrazka odczytać tytuł książki. Dla przykładu: gdyby na rysunku znajdował się nowoczesny wieżowiec i rozsypująca się rudera — rozwiązaniem byłby tytuł książki „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego.

Prawda, że proste? Pozostaje więc tylko zmobilizować do pomocy rodzinę i wypełnić kupon. Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 15 stycznia 1970 roku na adres: Łódź, Piotrkowska 96, „Odgłosy" z dopiskiem na kopercie — „Jakie to książki?"

Nazwisko i imię . . . . . .
Adres . . . . . .
Zawód . . . . . .

Autor	Tytuł książki
Wacław Biliński	
Stanisław Czernik	
Tadeusz Chróścielewski	
Wiesław Jażdżyński	
Tadeusz Papier	
Władysław Rymkiewicz	

WiMBP
im.
J. P.
w Łodzi

10840-A